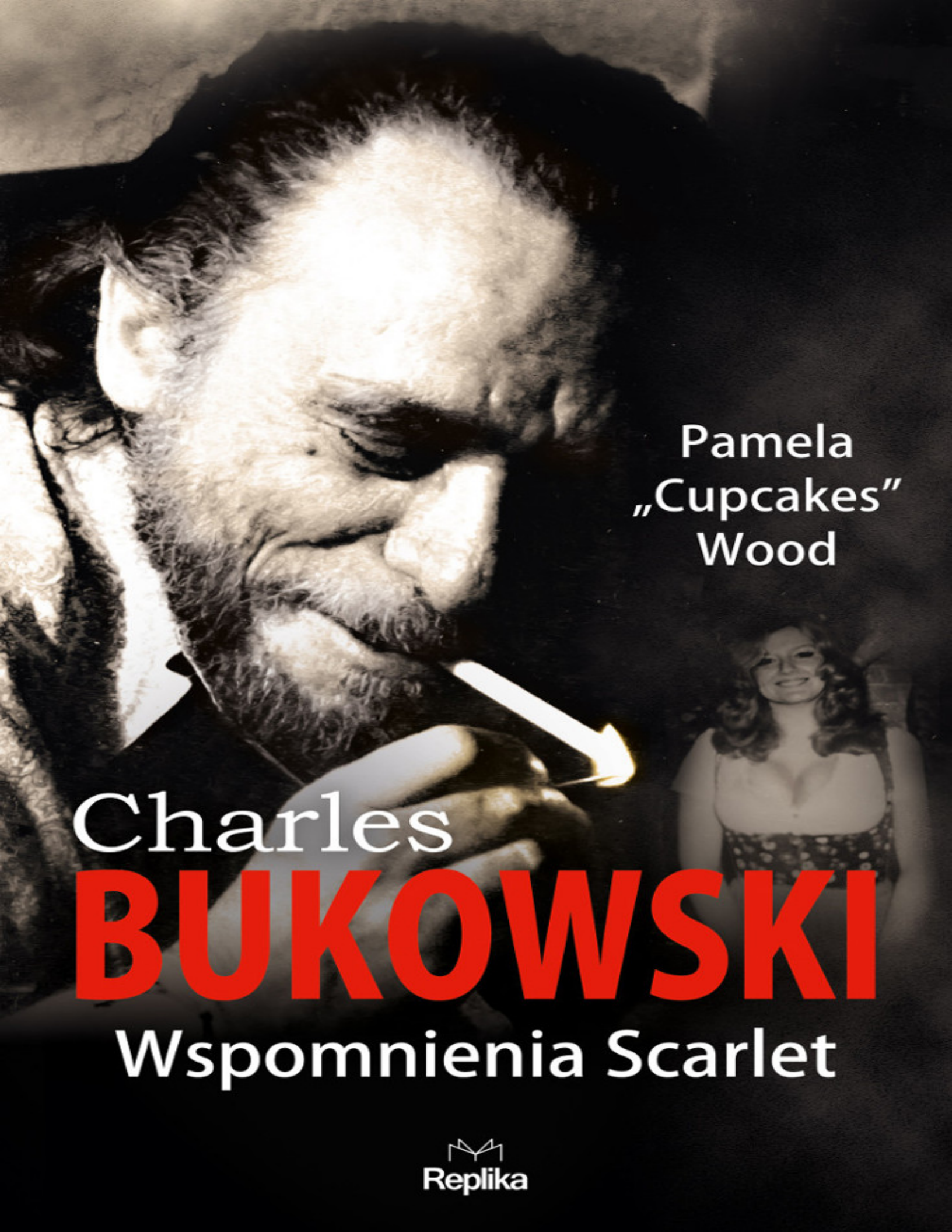

Pamela „Cupcakes” Wood

Charles

BUKOWSKI

Wspomnienia Scarlet

Replika

Charles

BUKOWSKI

Wspomnienia Scarlet

Pamela Wood

Charles BUKOWSKI

Wspomnienia Scarlet

Tłumaczył
Maksymilian Tumidajewicz

Replika

Tytuł oryginału
BUKOWSKI'S SCARLET

Copyright © 2010 by Pamela Wood Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo Replika, 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Ewelina Chodakowska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN 978-83-66217-34-8

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60–175 Poznań
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Niniejsza książka zadedykowana jest dwóm najważniejszym osobom w moim życiu: siostrze Tracey oraz córce Stacey.

1
JEDEN

„Bukowski to, kurwa, największy z żyjących pisarzy!" – krzyczała do każdego, kto chciał słuchać, czyli wyłącznie do mnie.

Zaczęło się to wszystko pod wpływem chwili. Skończyło się tak samo. Pomiędzy tymi chwilami spędziłam z Charlesem Bukowskim prawie dwa lata. W swej twórczości czasem mnie adorował, czasem ganił. Wywyższał mnie jako swoją muzę i brakujący fragment siebie. Zainspirowałam całe tomy prozy i poezji, peanów na moją cześć, na cześć Scarlet. Potem oskarżał mnie o nieszczerość i oziębłość. Zakochał się we mnie do obłędu i do obłędu go doprowadziłam.

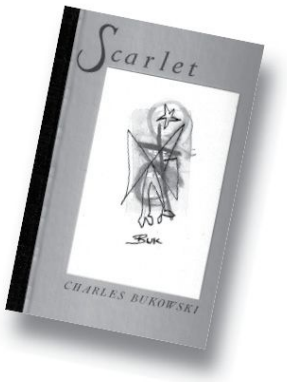

Był 10 listopada 1975 roku; przepiękny, jesienny wieczór w Los Angeles. Większość tego wieczoru spędziłam, włócząc się po barach z przyjaciółką, Georgią. Były to jej trzydzieste

drugie urodziny, a ona chciała je uczcić na klasyczną modłę Bukowskiego: zaliczając każdy bar w Hollywood. Dwie krnąbrne, roztańczone, czarujące dziewczyny z niepełnym wykształceniem, imprezujące z meliniarzami, poczynając od melin po wschodniej stronie miasta, a kończąc po zachodniej.

Poszukiwanie przyjemności było jedną z niewielu rzeczy, w których byłam naprawdę dobra. W wieku dwudziestu trzech lat harowałam jako podrzędna kelnerka, bez szczególnych widoków na znalezienie lepszego sposobu na utrzymanie. Byłam samotną matką z sześcioletnią córką na utrzymaniu, znalezienie czasu i pieniędzy na uzupełnienie wykształcenia nie wchodziło w grę. Podobnie jak wielu w tamtych czasach, byłam zagubiona, żyłam z dnia na dzień, ale nigdy nie traciłam nadziei, że czeka na mnie coś ekscytującego. Nie wiedziałam, co to jest ani gdzie tego szukać, ale wiedziałam, że istnieje.

Ale dopóki tego nie znalazłam, albo to nie znalazło mnie, miałam zamiar kontynuować moją codzienną pogoń za natychmiastowym spełnieniem. Do diabła z tym całym planem na pięć lat, byłam zbyt zajęta życiem chwilą. Nie brałam ani siebie, ani życia szczególnie na serio i generalnie łatwo było mnie zadowolić. Po swojej stronie miałam młodość i atrakcyjny wygląd. Dopóki miałam pełną paczkę papierosów, dobrą muzykę do słuchania oraz butelkę taniego szampana, dzień zaliczałam do udanych.

Tak jak u Alicji z Krainy Czarów, moja impulsywna, awanturnicza natura często sprowadzała mnie na kręte ścieżki, przez co czasami gubiłam drogę.

Tego wieczoru ów głód włóczęgi miał zaprowadzić mnie na trasę wzdłuż ulicy o nazwie Carlton Way. Skręciłam tam w lewo i spotkałam Charlesa Bukowskiego – a moje życie odmieniło się.

Byłyśmy z Georgią już u ostatniej stacji naszej podróży – w huczącym od rock'n'rolla klubie pod nazwą Barney's Beanery w Zachodnim Hollywood. Georgia uparła się, by tam pójść, ponieważ niegdyś przesiadywała tam jej idolka, Janis Joplin. Wedle legendy Janis właśnie tam spędziła swój ostatni wieczór, kiedy umarła pięć lat wcześniej.

Siedziałyśmy przy barze i zbliżała się pora zamknięcia. Wypiłam więcej niż parę stingerów, podczas gdy Georgia, idąc w ślady Janis, upijała się southern comfortem. Kiedy czekałyśmy na następną kolejkę, zaczęła głośno bełkotać coś o swym najnowszym bohaterze – pisarzu, niejakim Charlesie Bukowskim. Przy każdym kieliszku whiskey wznosiła toast za „laureata Poetyckiej Nagrody Śmietnikowej".

– Bukowski to, kurwa, największy z żyjących pisarzy – krzyczała do każdego, kto chciał słuchać, czyli wyłącznie do mnie. – Za Bukowskiego! – powiedziała, po czym odchyliła głowę do tyłu i wlała sobie zawartość kieliszka do gardła.

– Czy to nie jest aby ten gość, który pisze ten cykl we „Freep", *Zapiski starego świntucha*? – zapytałam.

– Tak, to on. Mówię ci, Pam, ten facet to pieprzony geniusz.

Nie licząc jego cotygodniowej kolumny w „Los Angeles Free Press", nie wiedziałam właściwie nic o Bukowskim, jego twórczości ani rosnącej literackiej reputacji. Przeczytałam parę z tych kolumn i nie byłam pod wielkim wrażeniem. Jego styl wydawał się prostacki i wulgarny, pełen ostentacyjnego brudu, obliczony na wywołanie szoku. Nie byłam pruderyjna – podobały mi się sprośne, bezkompromisowe utwory Henry'ego Millera i Huberta Selby'ego Juniora. Ale w kontekście tej odrobiny twórczości Bukowskiego, jaką poznałam, trudno mi było zrozumieć tak gigantyczny entuzjazm przyjaciółki.

– No nie wiem, George… To, co on pisze, wydaje się takie prostackie, prymitywne – spróbowałam, gdy barman podawał następną kolejkę.

– Och, proooszę, Święta Abdelo – powiedziała, przeszywając mnie spojrzeniem zielonych, kocich oczu. – Zwyczajnie nie rozumiesz. Gość pisze wszystko: prozę, poezję… Jest, kurwa, niesamowity. Przeczytaj którąś z jego książek.

Choć byłam młoda i nie całkiem jeszcze wykształcona, kochałam czytać i polegałam na rekomendacjach starszych, bardziej intelektualnych znajomych. Georgia była jedną z moich bardziej ekscentrycznych przyjaciółek, ale zarazem jedną z najbardziej oczytanych osób, które znałam. Uznałam, że wiem zbyt mało o jego twórczości, by polemizować. Stwierdziłam, że skoro ona go lubi, gość musi być dobry.

– Bukowski jest nieuchwytny. Jego rzeczy są tak surowe, tak prawdziwe… I do tego jest kurewsko zabawny. Uwielbiam tego sukinsyna! – powiedziała, z każdą kolejką podnosząc głos.

– Musisz mi pożyczyć którąś z jego książek.

– Kuuurde, za każdym razem, jak sobie jakąś kupię, jakiś skurwiel mi ją podpierdala.

Nie budziło to zdziwienia, bowiem hollywoodzki dom Georgii był magnesem na dziwaków i barwnych przedstawicieli bohemy, którzy żywcem urwali się z filmu Andy'ego Warhola. Na jej chacie ciągle toczyła się jakaś szalona impreza, przeważnie z użyciem alkoholu i narkotyków. Czasami Georgia dodawała do tej mieszanki stroboskopowe światła albo generator dymu. Kradzież książki Bukowskiego byłaby jednym z pomniejszych ekscesów, jakie przydarzyły się pod jej dachem.

– Mówiąc szczerze, George, trudno mi zrozumieć twoje zaaferowanie tym całym Bukowskim. Chyba będę musiała

przeczytać którąś z jego książek, to, co czytałam w prasie, zwyczajnie mi nie podchodzi – powiedziałam, osuszając szkło.

– Słuchaj… Przeczytaj jakąś jego książkę, a potem powiedz mi, czy nie jest najzajebistszym pisarzem. Nie ma drugiego takiego jak on. – Wlała w siebie następny kieliszek, po czym powiedziała: – Chciałabym poznać tego skurwysyna.

W mojej głowie zaświtał pomysł, i jeśli jest coś takiego jak przeznaczenie, to było właśnie to. Wiedziałam, że nie mogę wskrzesić Janis, ale mogłam zrobić coś prawie równie dobrego.

– Chodźmy – powiedziałam, zeskakując ze stołka.

Kręciło mi się trochę w głowie, nie mogłam sobie przypomnieć, ile kolejek wypiłam. Sięgnęłam do torebki Georgii i szperałam w niej, aż znalazłam dexi. Wrzuciłam go do ust i połknęłam.

Georgia była chodzącą apteką. Póki się przyjaźniłyśmy, nigdy mi nie mogło zabraknąć. Panował wówczas inny klimat – za modne uznawane było eksperymentowanie z różnymi psychotropami. Ale moim faworytem była amfetamina. Nałóg zaczął się niewinnie. Chciałam tylko zrzucić parę kilo. Ale, choć straciłam na wadze, nadal brałam pigułki. Uwielbiałam, jaka po nich czułam się nieustraszona, jak wszystko zdawało się być pod kontrolą. Uznałam, że mogę rzucić, kiedy tylko zechcę – nie było żadnego syndromu odstawienia, którym można by się przejmować, co najwyżej prześpię parę dni – prawda?

Głowa Georgii pochylała się coraz niżej i niżej nad barem. Szarpnęłam ją za ramię.

– Zbudź się, George, pora ruszać.

– Nawet jeszcze nie zamykają – wymamrotała.

Obejrzałam się na gościa za mną i zerknęłam na jego zegarek. Była prawie druga. Odwróciłam się z powrotem do

Georgii, ale koleś od zegarka miał inny pomysł. Włożył dłonie w tylne kieszenie moich dżinsów i przyciągnął mnie ku sobie.

– Jak masz na imię, piękna? – wyszeptał mi do ucha, po czym wysunął dłonie z moich kieszeni i przeczesał mi włosy. – Nie mogę się oprzeć rudowłosym – powiedział.

– A ja z kolei nie mogę się oprzeć dżentelmenom – powiedziałam. Po czym spojrzałam mu w oczy i dodałam: – Daj mi znać, jak jakiegoś zobaczysz.

Zmrużył oczy, zastanawiając się, czy powinien się obrazić. Ale potem obejrzał mnie od stóp do głów i uśmiechnął się. Nie mógł się oprzeć magii rudych włosów, nawet po tym, jak mu ubliżyłam.

Nie uważałam się za klasyczną piękność, ale z biegiem lat przyzwyczaiłam się do efektu, jaki wywierałam na mężczyznach. Może to te długie, ogniste włosy. Może to moja filigranowa figura o wymiarach 96-60-90. Ludzie często mówili mi, że wyglądam jak skrzyżowanie Ann-Margret i Susan Sarandon. Był to jakiś wrodzony, potężny seksapil, który potrafił mnie wpędzić w wiele kłopotów – i z wielu kłopotów mnie wyratować.

Kiedy odwróciłam się do Georgii, jej głowa spoczywała już na barze. Do tej pory wypiła już jakąś połowę southern comfortu, więc nie byłam zaskoczona, że odpłynęła. Ale ja miałam misję do wykonania. Miałam zamiar podarować jej noc, której nigdy nie zapomni.

– Proszę, George, zbudź się – powiedziałam, potrząsając ją za ramię. – Dam ci najlepszy prezent urodzinowy w życiu.

Otwarła oczy, ale nie podniosła głowy z baru.

– Wezmę twarz bogini i cycki do kompletu – wybełkotała.

Georgia miała obsesję na punkcie swego wyglądu. Chciała być piękna i szczupła. Niedawno zrzuciła ponad pięćdziesiąt kilo, więc osiągnęła połowiczny sukces. Ale nie była

atrakcyjną kobietą. Jej twarz była długa, prawie końska, a jej rysy zdawały się przesadzone. Miała wydatny nos z zadartą końcówką, jak narta, zwieńczony parą wielkich nozdrzy. Jej usta były nieprzeciętnie szerokie, podkreślone głębokimi zmarszczkami od śmiechu. Choć miała dopiero trzydzieści dwa lata, zaczynała okazywać oznaki starzenia się – zapewne od gwałtownej straty wagi i folgowania narkotykom. Nie, żeby jej wygląd, czy raczej jego brak, przeszkadzał jej w przyciąganiu uwagi mężczyzn. Miała te piękne, zielone oczy i długie, jedwabiste, kruczoczarne włosy. Mężczyźni kochali jej osobowość nie z tej planety, bystry intelekt i kocie usposobienie. Była koneserką męskiego rodu i jedynie najatrakcyjniejsi z nich byli jej godni – i niemal zawsze dostawała to, czego chciała.

– No chooodź, George, nie żartuję! – powiedziałam. – Umrzesz, jak zobaczysz, co zrobię!

– Słuchaj no, Bubbles McGee, czy jak tam nazywał cię ten twój chłopak. Wszyscy kiedyś umrzemy. Nikt nie wyjdzie stąd żywy – mruknęła.

– Cupcakes O'Brien – poprawiłam ją. – A teraz chodźmy!

Jakoś udało mi się wyciągnąć Georgię z baru i doprowadzić do budki telefonicznej koło parkingu. Oparłam ją o budkę i sięgnęłam do kieszeni dżinsów, by wydobyć dziesięciocentówkę.

– Jeśli dzwonisz po Billa [imię nieprawdziwe], daj sobie spokój – powiedziała Georgia, odnosząc się do chłopaka, który z nią mieszkał. – Powiedziałam mu, że nie wrócimy przed świtem.

Wrzuciłam monetę do aparatu, położyłam palec na zerze i zakręciłam tarczą.

– Jak się pisze Bukowski? – zapytałam Georgii, wystawiając głowę z budki.

– Jeśli dzwonisz do biblioteki – powiedziała – to jest, kurwa, zamknięta.

– Po prostu mi przeliteruj – odparłam.

– Pisze się tak, jak się wymawia – powiedziała, po czym oderwała się od budki i polazła w stronę baru, by wysępić papierosa od jakiegoś atrakcyjnego faceta, który go opuszczał.

Nie pamiętałam nawet, jak się wymawia „Bukowski", a co dopiero pisze. BU-kowski? BOO-kowski? BUCK-owski?

Kiedy w końcu odebrała operatorka, powiedziałam:

– Poproszę numer do Charlesa Bukowskiego, Los Angeles.

Nie zapytała mnie, jak to się pisze ani pod jakim adresem mieszka. Od razu wyterkotała numer telefonu.

– Mogłaby pani powtórzyć? – poprosiłam, szperając po torebce w poszukiwaniu czegoś do pisania. Znalazłam ołówek do brwi Maybeline i naskrobałam numer na lewej dłoni.

Gdy odwiesiłam słuchawkę, pobiegłam do Georgii, wciąż zajętej podrywaniem swej młodej ofiary.

– Mam! – zapiszczałam, machając dłonią przed jej twarzą.

Zmrużyła oczy, wpatrując się przez chwilę w numer i z trudem trzymając pion. Po czym odwróciła się do młodego i powiedziała:

– Wybacz na sekundę, kotku. – Po czym znowu do mnie: – Jeśli dzwonisz do AA, to mnie w to nie mieszaj.

– To numer Bukowskiego – powiedziałam, prowadząc ją z powrotem do budki. Oparłam ją znów o ścianę, wrzuciłam dziesięciocentówkę do szczeliny i wykręciłam numer z mojej dłoni.

– Halo? – wyszeptał męski głos z drugiej strony linii.

– Halooo – powiedziałam, starając się brzmieć seksownie. – Czy to Charles Bukowski?

– Taa – odparł, jakby pytanie go znudziło.

– Och, cześć… Mmm… Moja przyjaciółka ma dziś urodziny i jest twoją wielką fanką. Jesteśmy przy Barney's Beanery i zastanawiałyśmy się, czy może mogłybyśmy wpaść do ciebie, żeby się poznać?

– Dobra – powiedział tym samym znudzonym tonem. – Dawajcie.

– Och… dobrze – powiedziałam, nie pomyślawszy, że to będzie takie proste. – Jaki masz adres?

– Jestem przy Carlton Way 5437. To pomiędzy Hollywood a Bulwarem, w bok od Zachodniej Alei. Przedni dom z prawej.

Zapisałam adres obok jego numeru.

– Znajdziemy – powiedziałam, zerkając na Georgię, która ześliznęła się po ścianie budki.

– Przynieście sześciopak – rzekł, po czym dodał: – Och, już po drugiej – odnosząc się do zakazu sprzedaży alkoholu w Los Angeles po tej godzinie.

– Zdziwiłbyś się, co potrafi zdziałać para cycków – powiedziałam.

– Niespecjalnie – odparł.

Odwiesiwszy słuchawkę, obejrzałam się na Georgię, która siedziała już na chodniku. Twarz miała rozciągniętą w głupim uśmiechu, a jej zielone oczy lśniły. Podniosła na mnie wzrok. Jej usta były otwarte.

– I załatwione! Poznamy twojego kochasia! – zakrzyknęłam, podając jej dłoń.

– Załatwione jak chuj – odparła sarkastycznie, otrzepując swoją mini. Po czym zrobiła pauzę i powiedziała: – Robisz mnie w ciula? Lepiej, żeby to nie była ściema, Pam.

– Nie ściemniam. Sama słyszałaś, jak z nim rozmawiam.

Potoczyłyśmy się bulwarem Santa Monica, by odnaleźć moje czerwone camaro z 1967 roku. Georgia na swoich wielkich koturnach, a ja na szpilkach.

– Jak brzmiał? – spytała Georgia.

– Ma dziwny głos… miękki… prawie kobiecy. Brzmi trochę jak ten bohater z kreskówek, Snagglepuss, tylko w depresji. Nie mogę uwierzyć, że o tej porze jeszcze nie śpi.

– A kto śpi?

Gdy wędrowałyśmy wzdłuż ulicy, Georgia zaczęła śpiewać na nutę hitu Janis Joplin *Mercedes Benz*.

– *O Panie, pomóż znaleźć mi, moje camarooo! Moja kumpela to świrka z rudą fryzurooo!*

Tak naprawdę to było camaro mojej matki. W wieku dwudziestu trzech lat wciąż nie miałam własnego samochodu, ani nawet prawa jazdy. Matka pozwalała mi brać wóz, kiedy tylko potrzebowałam. Myślę, że się cieszyła, mając mnie z głowy – a może podświadomie liczyła, że zginę w wypadku, wybawiając ją z całego tego piekła, które sprawiałam jej przez ciągłe poszukiwania nowych podniet. Wciąż się kłóciłyśmy i nigdy nie zmarnowała okazji, by mi powiedzieć, jak bardzo się na mnie zawiodła. Ale trudno mi ją winić. Choć pracowałam i miałam własne mieszkanie, każdy powód był dla mnie dobry do nowej nocnej awantury. Kiedy nie potrzebowałam jej dla samochodu, do niańczenia dziecka, ciągłego pożyczania pieniędzy albo, czasami, dla kąta do spania, nie chciałam mieć z nią nic do czynienia. Dziś została z moją sześcioletnią córką, Stacey. Urodziłam ją, kiedy miałam szesnaście lat. Wiedziałam, że powinnam być w domu i się nią zajmować, ale moje pragnienie ucieczki było silniejsze od poczucia winy. Miałam zbyt wiele obowiązków, kiedy byłam młodsza, więc teraz desperacko poszukiwałam tych straconych lat.

Georgia wbiła mi łokieć pod żebro.

– Hej, Lucy, tam jest ta czerwona gablota!

– Dobra robota, Ethel!

Wskoczyłyśmy do wozu, podkręciłyśmy radio i podjechałyśmy do całodobowego safewaya przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Georgia czekała w wozie, żebym bez przeszkód mogła użyć swej magii rudych włosów dla pozyskania sześciopaku po dozwolonej godzinie.

Zrobiłam, co mogłam, by oczarować sprzedawcę, błyskając uśmiechem i pozwalając mu złapać parę ujęć moich 96D. Miałam na sobie swój typowy strój menelki z wyższych sfer – obcisłe dżinsy, wysokie obcasy, głęboko wycięty top i schludną, tweedową kurteczkę z łatami na łokciach. Choć oczy sprzedawcy mówiły „tak", jego głowa kręciła się na „nie".

– Nie mogę – powiedział.

– Och, proszę – zamruczałam swym najlepszym kocim głosem.

Potrząsnęłam rudą grzywą i spojrzałam mu w oczy. Był młodym dzieciakiem, może jeszcze przed dwudziestką, widziałam jego rozterkę. Chciał być fajnym gościem i pomóc uroczej dziewczynie, ale coś mu nie pozwalało.

– Chciałbym – powiedział, i wiedziałam, że nie kłamie. – Ale po prostu nie mogę.

– No daj spokój… proszę – zamiauczałam, pochylając się w jego stronę.

– No… dobra – wyszeptał – ale nie mogę teraz, bo mój szef stoi zaraz za nami. Kończę za godzinę. Spotkajmy się przed wejściem, na parkingu. Wyniosę piwa pod kurtką. Co ty na to?

– Nie, to nie wyjdzie. Naprawdę potrzebuję na zaraz – powiedziałam, wydymając usta.

– Dobra, zrobimy tak… Spotkajmy się w dziale z nabiałem za pięć minut…

Wtedy jego szef krzyknął:

– Steven, możesz tu podejść na sekundę?

– Jasne, panie Phillips. Już idę.

Zadanie robiło się zbyt skomplikowane. Postanowiłam dać sobie spokój z biednym chłopakiem i wróciłam z pustymi rękami.

Kiedy dotarłam do wozu, Georgia drzemała. Dźgnęłam ją w żebra, a ona podskoczyła do pionu, rozglądając się wielkimi oczami.

– Już dojechałyśmy? – zapytała.

Ruszyłam, rozpędzając się, wzdłuż Bulwaru Zachodzącego Słońca. Z radia rwało *Rhiannon* zespołu Fleetwood Mac. Georgia zawodziła razem z nim, zupełnie mieszając słowa i zagłuszając melodyjne tony Stevie Nicks. Jej głowa toczyła się w tył i w przód, w lewo i w prawo, jak u lalki, gdy gnałyśmy ulicą. Zastanawiałam się, czy zażyła więcej tabletek, kiedy byłam w sklepie.

Kiedy pięć lat wcześniej poznałam Georgię, miała gigantyczną nadwagę i wyglądała jak zaniedbana kura domowa z przedmieścia. Eksperymentowała już z narkotykami, ale tylko rekreacyjnie. Zapaliła sobie marihuany, wypiła parę drinków i od czasu do czasu wzięła jakiś barbiturat albo dwa.

Nie miałam od niej żadnych wieści, odkąd trzy lata wcześniej wyjechała z Los Angeles do swojego rodzinnego Bradford w Pensylwanii – skąd też pochodzili moja matka i ojciec. Więc kiedy weszła do restauracji, gdzie pracowałam, by mnie zaskoczyć, nie poznałam jej. Zmieniła się diametralnie, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Ale wciąż miała ten swój nonszalancki, nieskrępowany styl i sardoniczny humor, które mnie zawsze strasznie bawiły.

Ale teraz, jak podejrzewałam, dojrzała już do twardych narkotyków. Nie wiedziałam, jak często używała heroiny, ale byłam pewna, że przekroczyła już granicę tego

niebezpiecznego terytorium. Uznałam, że im mniej wiem, tym lepiej. Pod wieloma względami byłyśmy kompletnymi przeciwieństwami, w tym odnośnie preferencji w odmienianiu stanów świadomości; ja lubiłam być pobudzona i mieć wszystko pod kontrolą, a ona wolała się znieczulać.

Pędziłyśmy teraz niemal pustymi ulicami. Ale gdy dotarłam do Zachodniej Alei, ruch zrobił się gęstszy – pod każdym względem. Znalazłyśmy się w sercu dzielnicy czerwonych latarni. Samochody pełzły wzdłuż parady dziwek, męskich i żeńskich, dobijano targu, ludzie wskakiwali do wozów albo z nich wyskakiwali.

Na Western skręciłam w lewo i przejechałam kilka przecznic w stronę Bulwaru Hollywoodzkiego. Sex shopy, kluby ze striptizem i salony masażu reklamowały swoje towary szyldami obramowanymi jasnymi, migającymi żarówkami. Wahadło moralności dotarło do drugiego ekstremum, w porównaniu z represją lat pięćdziesiątych. Granice cenzury rozciągano do samego limitu.

Gdy zbliżyłyśmy się do Bulwaru Hollywoodzkiego, pojęłam, że musiałam minąć ulicę Bukowskiego. Zawróciłam na środku Zachodniej Alei i znów pojechałam w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Georgia masakrowała teraz słowa piosenki Eaglesów, *Lyin' Eyes*, co pogłębiało moją frustrację.

– Może dał ci fałszywy adres – powiedziała Georgia.

– Nikt nie daje ci fałszywego adresu, kiedy zamawia sześciopak.

Georgia majstrowała teraz przy czarnych nylonach, które marszczyły się jej na kolanach. Odkąd tak bardzo straciła na wadze, nie mogła znaleźć niczego, co by na nią pasowało. Po latach noszenia ciążówek i elastycznych gaci wreszcie zaczęła się stroić. Tyle że nie wiedziała, co jest modne, więc stworzyła własną modę. Uznała, że modna kobieta ubiera się jak

ulicznica – miniówki, siatkowe pończochy (na pasku), ultra skąpe bluzeczki i koturny. Czasami dodawała do tego boa z piór albo kabaretową opaskę na szyję, bo tak robiła Janis.

Georgia miała później zdobyć pewną popularność, gdy została sfotografowana z Charlesem Bukowskim na tle jego lodówki. Na tym sławnym zdjęciu wygląda jak narąbana prostytutka. I tak też mniej więcej wyglądała tej nocy.

Gdy tak jechałyśmy na południe Zachodnią Aleją zaczęłam się zastanawiać, czy Georgia czasem nie miała racji co do tego fałszywego adresu. Miałam wrażenie, jakbyśmy jeździły w kółko.

– Gdzie my, do diabła, jesteśmy? – narzekała Georgia.

– Cholera, to musi być gdzieś tutaj. Znajdziemy tego twojego geniusza, choćby miało to zająć całą noc!

I wtedy, jak na zawołanie, dostrzegłam znak z nazwą Carlton Way. Skręciłam w lewo i znalazłam miejsce do zaparkowania dokładnie naprzeciw kompleksu, gdzie mieszkał Bukowski.

Georgia poprawiła pończochy i wytoczyła się z wozu. Przeczesałam dłońmi włosy i wyprostowałam grzbiet, szykując się na spotkanie z wielkim pisarzem.

2
DWA

Georgia podniosła wzrok i zauważyła, że Bukowski ją obserwuje. Ponieważ była fanką jego twórczości, zapewne wiedziała, co Bukowski myśli o kobiecych nogach. Może to dlatego rozłożyła się tak szeroko na tej kanapie. A może była zbyt naćpana, żeby się tym przejmować.

Stałyśmy przed dwoma rzędami pospolitych, pudełkowych, beżowych bungalowów, zwróconych ku sobie – trzy po lewej, jeden po prawej. Pomiędzy nimi znajdowało się niewielkie podwórko z chodnikiem pośrodku, prowadzącym do piętrowego budynku na końcu, gdzie mieściły się cztery mieszkania – jedne nad drugimi, przodem do ulicy. Najbliższy bungalow po prawej stał dużo dalej od chodnika niż reszta – to tam mieszkał Bukowski. Razem osiem mieszkań w tym zupełnie tuzinkowym kompleksie.

Zbliżyłyśmy się do jego bungalowu; był tam ganek w typie galeryjki, zajęty w większości przez starą kanapę. Musiałam się nad nią pochylić, by sięgnąć do dzwonka.

W górnej połowie frontowych drzwi znajdowało się okienko, zasłonięte zwichrowanymi żaluzjami. Żaluzje rozchyliły się i ujrzałam tam gapiące się na nas oko.

– Kto tam? – dobiegło warknięcie.

– To my – powiedziałam. – Pam i Georgia, urodzinowe dziewczyny.

Drzwi uchyliły się minimalnie.

– Jesteście same? – zapytał, spoglądając za nasze plecy.

– To tylko my, sikoreczki – powiedziała Georgia.

Upewniony, że jesteśmy same, otworzył drzwi i zaprosił nas do środka. Był dość wysoki i dość stary, z wielką głową i zniszczoną twarzą. Po jednym spojrzeniu odwróciłam oczy. Nie chciałam go urazić, gapiąc się na jego pobliźnioną, podziurawioną skórę. Rany, pomyślałam, gość miał ciężkie życie. Wyglądało to, jakby na jego twarzy wydrukowano mapę piekła.

Bukowski obrócił się nieco, wtedy zobaczyłam, że za plecami trzyma nóż. Nie czułam się zagrożona. Od razu zrozumiałam, że nóż ma do samoobrony, gdybyśmy spróbowały go obrobić. Widząc, jakie ma sąsiedztwo, w ogóle mnie to nie zaskoczyło. Spojrzałyśmy po sobie z Georgią, ale nie powiedziałyśmy nic.

Jego oczy przesunęły się z mojej twarzy na biust, a potem na puste ręce.

– Masz cycki, ale nie masz sześciopaku – powiedział.

Georgia uniosła dłoń. Nosiła dziesięciocentymetrowe koturny, więc jej twarz była na tym samym poziomie, co twarz Bukowskiego – jakieś metr osiemdziesiąt. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Jestem Georgia – powiedziała, wystawiając dłoń.

– Mów mi Hank – odparł tym samym tonem Snagglepussa, przeciągając zgłoski.

W mojej głowie pojawiło się zdanie: *Zejście ze sceny po lewej*. Szybko odsunęłam głupią myśl i przedstawiłam się.

– Jestem Pam, ale przyjaciele mówią mi Cupcakes, Cupcakes O'Brien.

Było to pieszczotliwe miano, nadane mi przez ostatniego chłopaka, kreatywnego scenarzystę, i nigdy nie zawiodło w wywoływaniu pożądanego efektu.

Na twarzy Bukowskiego pojawił się delikatny uśmiech. Pisarz spojrzał jeszcze raz na mój biust, po czym skinął głową.

– Siadajcie, moje panie – powiedział, wskazując na sofę.

Georgia klapnęła na siedzenie i zapaliła papierosa. Rozglądała się po pokoju z ekstazą na twarzy, jakby znalazła się w Kaplicy Sykstyńskiej. Siedziała w końcu w mieszkaniu swojego idola.

Wnętrze apartamentu Bukowskiego przy Carlton Way (dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

Usiadłam na sofie obok niej. Próbowałam spojrzeć na otoczenie jej oczami, ale jego czar mi umykał. Była to najbardziej zapuszczona melina, jaką widziałam: stara sofa z narzuconym na nią wypłowiałym, czerwonym kocem; naprzeciwko rozdęty, zużyty, poplamiony fotel w brązowe i musztardowe prążki; pośrodku okrągły, niski stolik, zbyt wielki jak na ten pokój i zawalony odpadkami, głównie przepełnionymi popielniczkami i pustymi butelkami; chodnik był brudny i zaśmiecony, wszędzie kurz i walające się gazety. Po prawej miałam wejście do kuchni. Ścianka działowa była częściowo pomalowana na czekoladowo. Wyglądało to, jakby ktoś się zmęczył i nie dokończył roboty. Po lewej było wejście do sypialni. Na tyle, na ile widziałam, oba te pomieszczenia wyglądały równie źle, co to. Całe mieszkanie miało jakieś

czterdzieści pięć metrów kwadratowych i pięćset mil do bohemy. Było zwyczajnie zasyfione.

– Panie się czegoś napiją? – zapytał.

– Masz może szampana? – odparłam.

– Jezusz – powiedział, sepleniąc lekko. – Czy wam się wydaje, że to klub nocny?

– Wszystko jedno – powiedziała Georgia, strzelając we mnie promieniami śmierci z oczu. – Cokolwiek tam masz, chłopie.

Poczłapał do kuchni. Usłyszałyśmy, jak woła:

– Hej, panie, macie szczęście.

Wrócił do pokoju, trzymając butelkę szampana i trzy pucharki.

– Zapomniałem, że to mam – powiedział. – Musiało zostać po mojej ostatniej ulubionej.

Kiedy otwierał butelkę, przyjrzałam mu się po raz pierwszy. Nosił biały T-shirt, za mały o dwa numery, więc wystawał spod niego kawałek jego piwnego brzucha. Miał na sobie też workowate, niebieskie dżinsy, które kończyły się dobrze powyżej kostek, oraz stare, czarne skarpetki, ale żadnego obuwia. Jego gęsta, falista czupryna, przywodząca na myśl sól z pieprzem, była raczej dłuższa niż krótsza i przylizana do tyłu, zapewne z użyciem wody albo brylantyny (*Parę kropel i jesteś gotów!*). Ewidentnie to była jedyna rzecz, którą zrobił, by przygotować się na naszą wizytę.

Na jego zniszczonej twarzy tkwił wielki, bulwiasty nos. Miał zabawne usta, które nadawały mu wygląd muppeta, dół twarzy pokrywała starannie przycięta broda. Na ile dojrzałam jego oczy, ukryte pod wiecznie opuszczonymi powiekami, miały piękny, blady, niebieskozielony kolor. Nie licząc niewielkiego brzuszka, był atletycznie zbudowany. Wydawał się być w bardzo dobrej formie jak na swój wiek.

Nalał szampana, stuknęliśmy w szkło.

– Wszystkiego najlepszego, Georgio – powiedział Bukowski.

– Dziś już nie są moje urodziny – powiedziała. – Były dziewiątego. Co mamy dzisiaj… jedenastego listopada?

– To dzień, na który zawsze czekałem, kiedy pracowałem na poczcie – powiedział Bukowski. – Dzień Weterana. To święto.

Georgia roześmiała się.

– Czytałam twoją książkę, *Listonosz* – powiedziała. – Czy całe to gówno naprawdę ci się przydarzyło?

– Niestety tak – powiedział.

Georgia zadała Bukowskiemu jeszcze kilka pytań o jego pisanie. Bałam się, że zapyta mnie o którąś ze swych książek czy kolumn w prasie – i dowie się, że nie wiem właściwie niczego o jego twórczości.

Kiedy rozmawiali, zawędrowałam do kuchni, która mieściła się zaraz przy salonie. Pod ścianę wciśnięty był stół kuchenny w stylu lat pięćdziesiątych, z chromowanymi nogami i laminowanym, plastikowym blatem. Na stole spoczywała stara, czarna maszyna do pisania, obok niej tranzystorowe radio. Małe, pojedyncze, chromowane krzesło z winylowym siedzeniem stało wepchnięte pod stół bezpośrednio pod starym royalem. Na lewo od stołu znajdował się wysoki kosz na śmieci, pełen butelek po piwie i zwitków papieru.

Musiałam się naprawdę głęboko zamyślić, bo następne, co pamiętam, to Bukowski przed otwartą lodówką, wyciągający z niej piwa. Rozejrzał się po pokoju i wyszczerzył zęby.

– Nie tego się spodziewałaś, co?

– Nie wiem, jak tu możesz pisać – powiedziałam. – Nie wygląda to zbyt wygodnie.

– Myślałaś, że pewnie mam przytulną samotnię literacką z buzującym ogniem?

– Coś pomiędzy tym a tym tutaj – powiedziałam mu.

Podał mi piwo, ale w odpowiedzi podniosłam wciąż pełny pucharek szampana.

– Lepiej wypij – powiedział – zanim wydudlimy wszystko z twoją przyjaciółką.

Obrócił na mnie swoje zmęczone oczy i zdawało się, jakby patrzył prosto we mnie. Z jego wyrazu twarzy nie wyglądało, żeby to, co zobaczył, mu się spodobało.

Byłam skonfundowana. Nie pamiętałam ostatniego razu, kiedy mężczyzna nie poczuł natychmiastowego pożądania na mój widok. A ten tutaj wydawał się mnie wręcz *nie lubić*. W mojej obecności nie opuszczał gardy i zachowywał dystans. Był to szok dla mojej samooceny.

Weszliśmy z powrotem do salonu. Usiadł na swym prążkowanym tronie, a ja na sofie, obok Georgii. Przeglądała się w dużym srebrnym lusterku, które trzymała w swej niewymiarowej torebce. Znając Georgię, pewnie otwarła torebkę, by wziąć jakieś pigułki, po czym zawiesiła się i zaczęła gapić na swoje odbicie. Kiedy dostrzegła, że na nią patrzymy, chwyciła za ołówek do brwi i zaczęła je podmalowywać. Przyglądaliśmy się jej z Bukowskim, jakby była artystką malującą interesujący detal jakiejś rzeźby.

Jej nogi leżały teraz rozłożone na kanapie. Spódniczka podjechała do góry, pokazując podwiązki. Niedługo miałam się dowiedzieć, że był on prawdziwym koneserem nóg. Nigdy przedtem ani potem nie spotkałam mężczyzny, który podziwiałby kobiece nogi tak, jak Bukowski. Miał fioła na ich punkcie. Ktoś mi kiedyś powiedział, że wielbiciele nóg to często maminsynki, którzy w dzieciństwie odnajdywali poczucie komfortu i bezpieczeństwa, trzymając się łydek matki. Nogi Georgii były długie i chude, a pończochy miały luz na kolanach. Ogólnie nadawało jej to raczej wygląd szmaty niż

seksownej dziewczyny. Ale Bukowskiemu zdawało się to nie przeszkadzać.

– Nienawidzę rajstop – powiedziała. – Skurwysyn, który je wymyślił, powinien zawisnąć za jaja. Pewnie to był jakiś brzydzący się kobietami homoś.

– Zgadzam się w zupełności – powiedział Bukowski.

Georgia kontynuowała malowanie brwi oraz narzekanie:

– W rajstopach twoja cipka nie może oddychać, więc kończysz z kałużą maślanki w kroku.

Bukowski roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Zobaczyłam dziury po brakujących zębach po bokach jego szczęki.

– Pam nosi rajstopy – powiedziała Georgia, odkładając lusterko i ołówek do brwi.

Choć byłyśmy z Georgią przyjaciółkami, nigdy całkowicie jej nie ufałam. Za każdym razem, gdy miała okazję, nie omieszkała wsadzić mi szpili albo dwóch. Pewnie uznała, że to zniosę. Podziwiałam cierpki, nieuznający świętości dowcip Georgii, ale czasami te szpile bolały, choć nigdy tego nie okazywałam. Uznałam, że zazdrości mi uwagi ze strony płci przeciwnej. Ale teraz to ona przyciągała większość tej uwagi.

– Muszę je nosić w pracy – wyjaśniłam. – To część mojego uniformu.

– Uniformu? – zapytał Bukowski. – Nie mów mi, że pracujesz na poczcie.

Georgia wydała z siebie koński śmiech, w komplecie z parskaniem.

Próbowałam obmyślić jakąś ciętą ripostę, ale uznałam, że wobec tej dwójki, cokolwiek powiem, wypadnie słabo.

– Jestem kelnerką w Alpine Inn przy Bulwarze Hollywoodzkim – powiedziałam z nadzieją, że to zamknie temat.

– Nosi dyrdle – powiedziała Georgia.

– *Dirndl* – sprostowałam.

– Urodziłem się w kraju dirndli – powiedział Bukowski – ale niewiele z tego pamiętam.

– Może powinieneś przyjść do Alpine Inn – odparłam – i odświeżyć sobie pamięć. Możesz założyć swoje *lederhosen*.

Georgia skrzywiła na mnie usta. Było tak, jakbyśmy rywalizowały o jego uwagę. Nie byłam nim szczególnie zainteresowana i nie wydawało mi się, by on był zainteresowany mną – przynajmniej nie w romantycznym sensie. Ale uznałam, że to jej noc, więc nie miałam nic przeciwko, by to ona była w centrum uwagi.

Georgia znów pociągnęła za swoje czarne pończochy. Jej spódniczka była w górze, odsłaniając podwiązki. Teraz próbowała naciągnąć nylony.

– Może pomóc? – zapytał Bukowski, wstając i podchodząc do sofy.

Siadł między nami. Postanowiłam przenieść się na podłogę. Georgia przerzuciła nogi przez uda Bukowskiego, a ten zaczął delikatnie wygładzać jej pończochy.

– To łaskocze – roześmiała się.

Uśmiechnęłam się. Zdecydowanie podarowałam Georgii najlepsze urodziny jej życia.

Poszły następne kolejki. Teraz wszyscy leżeliśmy na podłodze, a Bukowski, pośrodku, psotnie gładził nogi Georgii oraz moje. Jakimś sposobem jego prawa stopa znalazła się w torebce Georgii, która także leżała na podłodze. Przewrócił się na bok, a na dywan wysypały się buteleczki z pigułkami.

– Co tam trzymasz, kobieto? Wygląda, jakbyś obrobiła aptekę.

Usiadł i chwycił parę buteleczek, potrząsając nimi jak marakasami.

– Powiedz, czego pragniesz, kotku, a ja to mam – powiedziała. – Chcesz trochę?

– Pewnie, czemu nie? – odparł tym swoim przeciągłym, powolnym głosem.

Potem miałam się dowiedzieć, że zawsze wszystkiego raz próbował. Nigdy na poważnie nie słuchał niczyich rad, nie osądzał z góry, musiał wszystkiego dowiedzieć się sam. Miał wysoką odporność na próby i błędy. Ale kiedy w grę wchodziły piguły czy dowolne inne narkotyki, Bukowski zwykle kończył chory, żałując, że przeprowadził eksperyment.

Połknął pigułkę i powiedział:

– Dobra, dziewczyny, czas na zabawę!

Byłam zaskoczona, jak bardzo zmienił się jego nastrój. Ostrożny, defensywny, smutny mężczyzna z nożem za plecami zniknął, a w jego miejsce pojawił się wesoły facet, gotów na cokolwiek. Byliśmy już wówczas wszyscy w niezłych humorach.

Bukowski wrócił na swój prążkowany fotel. Georgia rozwaliła się na kanapie, a ja zostałam na podłodze, siedząc obok Bukowskiego. Ten wskazał na Georgię i powiedział:

– Ty masz duszę. – A potem spojrzał w dół, na mnie, i dodał: – Ty masz wygląd.

Pociągnął długi łyk piwa, a jego oczy zwróciły się ku sufitowi, jakby był głęboko zamyślony.

– Chciałbym połączyć was obie w jedną osobę – powiedział nam. – Wygląd i duszę. Wtedy miałbym kobietę idealną.

Spojrzałam na Georgię, zastanawiając się, czy poczuła się równie urażona, co ja. Był to z jego strony dziwaczny, dwuznaczny komplement i/lub obelga.

– Hej, kotku, potwór nie potwór, ale jest otwór – rzuciła Georgia.

– *Je, je, je* – zanuciłam, w intencji rozładowania sytuacji.

Zaczęłam wkładać buteleczki pigułek z powrotem do torebki Georgii. Dała Bukowskiemu dexi.

– Nie zaśnie pan dziś, panie Bukowski – powiedziałam.

– Dlaczego? Zrobimy trójkącik?

Spojrzałam na Georgię w poszukiwaniu pomocy, ale ta zaczęła już odpływać od alkoholu i antydepresantów.

Będąc podchmielona i w nastroju do zabawy, powiedziałam:

– Jeśli mnie chcesz, to będzie kosztować.

– Ile?

– Och… przynajmniej stówę – drażniłam się.

– Dobra.

Obawiając się, że wziął mnie na serio, roześmiałam się.

– Hej, żartowałam tylko.

– Więc ile to będzie kosztować?

Jego zniszczona twarz powoli zaczynała wyglądać mniej odpychająco. Na zewnątrz był gburowaty, ale pod tym kryła się wrażliwość, która mi się spodobała. Nie byłam pewna, czy to działanie alkoholu, ale zaczął mi się wydawać dziwnie seksowny, na swój szorstki sposób.

Spojrzałam mu zachęcająco w oczy, jednocześnie uśmiechając się nieśmiało.

– O nie, Cupcakes – powiedział. – Nie sądzę, bym mógł znowu zapłacić taką cenę.

Teatralnie zaciągnęłam się papierosem i powoli wypuściłam dym.

Po czym powiedziałam moim najlepszym głosem Laurane Bacall:

– Oczywiście, że możesz.

Przyjrzał mi się, przechylając głowę na bok, po czym powiedział:

– Jesteś niebezpieczna, Ruda.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Opuszczał gardę, a ja czułam ulgę. Minęło wiele czasu, odkąd jakikolwiek mężczyzna opierał się tak długo rudym czarom.

– Podobają mi się twoje kolczyki – powiedział, wskazując na wielkie, złote obręcze, które nosiłam.

– Chcesz je? – powiedziałam, zaczynając jeden zdejmować.

– Lepiej wyglądają na tobie – odparł.

Przekomarzaliśmy się tak dalej, śmiejąc się i popijając. Dobrze się bawiłam w jego towarzystwie. W ogóle nie zachowywał się tak, jakby miało to być jedynie preludium do wygibasów w sypialni.

Po jakimś czasie zbudziła się Georgia. Była już prawie piąta rano.

Gdy stałyśmy w drzwiach, gotowe do wyjścia, Bukowski powiedział:

– Dzięki, dziewczyny. Wpadajcie, kiedy chcecie.

Gdy ruszyłyśmy chodnikiem przez podwórko, z bungalowu Bukowskiego dobiegł mnie stukot maszyny do pisania.

– To jest dopiero, kurwa, pisarz – powiedziała Georgia, gramoląc się do camara.

Podwiozłam Georgię do jej mieszkania w Hollywood, gdzie żyła z opieki społecznej razem ze swym chłopakiem, Billem, i dwiema córeczkami. Potem pojechałam na stancję, którą wynajmowałam jakieś dziesięć minut jazdy stamtąd w Los Feliz. Moja córka spała u mojej matki. Ponieważ był to Dzień Weterana, obie miały wolne. Zamierzałam ją odebrać po południu.

Kiedy wgramoliłam się do łóżka, pomyślałam sobie, jaka to interesująca noc, nie podejrzewając, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę tego starszego mężczyznę.

– Ale jazda – powiedziałam do siebie, zanim zasnęłam.

3
TRZY

Od czasu do czasu widziałam, jak zerka na mój biust, potem jego oczy zatrzymywały się na moich nogach, nawet na stopach, ale nie w żaden obleśny sposób. Wyglądało to, jakby oglądał dzieło sztuki i delektował się jego estetycznymi walorami.

W 1975 pracowałam jako barmanka w Alpine Inn przy Bulwarze Hollywoodzkim, autentycznej, niemieckiej restauracji przeznaczonej dla niemieckich imigrantów. Moja zmiana trwała od szóstej wieczorem do drugiej rano, od wtorku do soboty. Czasami potrzebowałam wielu godzin, by zrelaksować się po pracy, i zwykle nie miałam ochoty wracać od razu do domu. Pewnej soboty, jakieś dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu z Bukowskim, miałam ciężki dzień w robocie i czułam się spięta. Postanowiłam wpaść do niego w drodze do domu. Mieszkał jakieś półtora kilometra od mojej pracy. Wspomniał, że żyje w nietypowych godzinach, więc byłam raczej pewna, że o 2.30 w nocy będzie wciąż na nogach.

Kiedy zapukałam do drzwi, warknął ze środka:

– Kto tam?

– To ja, ruda ulicznica – powiedziałam, chichocząc.

Byłam zdenerwowana i zakłopotana – zapewne dlatego, że byłam kompletnie trzeźwa.

Bukowski otworzył drzwi. Tym razem nie miał noża za plecami. Wydawał się zadowolony, że mnie widzi, choć przecież

nie miałam duszy.

Popatrzył na mnie tymi swoimi zmęczonymi, niebieskozielonymi oczami i powiedział:

– Nie masz się gdzie zatrzymać, młoda?

– Czy to jedyny powód, dla którego odwiedzają cię kobiety? – spytałam, wchodząc do salonu.

– Tak. A poza tym zwykle mam coś do picia – powiedział, zamykając drzwi.

Podążyłam za nim do kuchni. Wyciągnął dwie butelki micheloba ze swojej antycznej lodówki. Mieszkanie wyglądało na równie zapuszczone, jak je pamiętałam. Miał na sobie swój zwyczajny, przyciasny podkoszulek i zapięte na brzuchu dżinsy. Nie wyglądało to najlepiej, ale gościnność nadrabiała ten brak.

Był to mój pierwszy alkohol tego dnia. Mogłam tak żyć całe dni, pozostając w czystości – żadnych piguł, picia, imprez – tylko praca i opieka nad córką. Ale potem coś mnie wciągało i wracałam do drugiego życia.

Bukowski wydawał się niemal równie zawstydzony, kiedy prowadził mnie do swej zużytej sofy. Nie była to scena uwodzenia. Ale intrygował mnie jego umysł i chciałam poznać go lepiej.

Usiadłam obok i zrzuciłam białe buciki Myszki Minnie. Zwinęłam nogi pod mój uniform barmanki. Miałam na sobie dirndl, czyli zieloną sukienkę w roślinne wzory, z krótką spódniczką, ciasnym gorsetem i głęboko wyciętą, białą bluzką wieśniaczki pod spodem. Lubiłam ją, bo miała słodki i zarazem seksowny styl mleczarki.

Uniosłam butelkę i stuknęłam się z nim.

– Pana zdrowie, panie Bukowski – powiedziałam.

– Twoje zdrowie, Ruda – powiedział, pociągając długi łyk piwa. – Więc… Jesteś tu prosto z pracy czy też zawsze

ubierasz się jak Heidi?

Roześmiałam się i zaczęłam mu opowiadać o mojej kłótni z jednym ze stałych bywalców baru. Był to całkiem miły facet, ale po kilku głębszych często poruszał sprawę Holokaustu. Ewidentnie czuł się winny i wygłaszał tyrady, w których zaprzeczał, że miał on miejsce. Nie chcąc obrazić dobrze płacącego klienta ani zostać wyrzucona z roboty, zwykle gryzłam się w język i próbowałam zmienić temat. Ale tego wieczoru miałam dość. Powiedziałam mu, że Holokaust bez wątpienia miał miejsce, a on powinien się wstydzić, że sugeruje inaczej. *Jak on śmie zaprzeczać istnieniu milionów Żydów i ich śmierci z rąk szaleńca, którego próbuje bronić?* Byłam tak zdenerwowana, że wyszłam z baru i obeszłam w kółko cały kwartał. Wróciłam po piętnastu minutach, spodziewając się, że z miejsca mnie wyrzucą. Ku mojemu zaskoczeniu właściciel, który widział całe zajście, przeprosił mnie, ale zasugerował, bym w przyszłości trzymała swoje poglądy dla siebie.

Bukowski, choć zgodził się, że był to mroczny okres historii, wydawał się bardziej zainteresowany moimi klientami niż dyskusją o przedmiocie kłótni.

– Wyobrażam sobie, że musisz radzić sobie z całą masą szalonych, pijanych drani – powiedział.

Opowiedziałam mu o kilku stałych klientach; o młodzieńcu z marynarki, który przychodził każdego wieczora i tylko na mnie patrzył. Było to cokolwiek niepokojące, ale zawsze zostawiał wielki napiwek. Był też młody Austriak, który wchodził do lokalu, wrzucał monetę do szafy grającej i nastawiał *Grubaśną polkę*. Po czym wskakiwał za bar, chwytał mnie w pasie i wyciągał na szalony taniec po całej knajpie. Na szczęście właściciel interweniował, by bronić mnie przed tym słodkookim Lawrence'em Welkiem. Ale facetem,

który zawsze poruszał mnie najbardziej, był stary wdowiec, który stracił żonę wiele lat temu i wciąż był w żałobie. Wciąż grał ten sam kawałek i zawsze o niej opowiadał. Piosenka zwała się *Du Du Liegst Mir Im Herzen* (Ty, ty zawsze leżysz mi na sercu). Był to jedyny utwór z niemieckiej listy, który mi się naprawdę podobał, ale los staruszka łamał mi serce i nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć.

Bukowski siedział grzecznie, słuchając mojej gadaniny o osobowościach z baru. Nastrój był zupełnie inny niż przy naszym pierwszym spotkaniu. Byłam bardziej koherentna i rzeczowa. Nie ta kapryśna mądrala, którą poznał dwa tygodnie temu.

Poczułam, że chcę się dowiedzieć czegoś więcej o nim. Był enigmą. Jego styl życia wydawał się przeczyć jego niemal królewskiej manierze. Oczywiście miałam dopiero poznać ciemną stronę tego skomplikowanego człowieka.

– Dobra – powiedziałam – starczy na temat mojej beznadziejnej pracy. Opowiedz mi o sobie. Jesteś z L.A.?

– Urodziłem się w Niemczech – zaczął. – Mój ojciec był żołnierzem armii amerykańskiej i stacjonował tam podczas pierwszej wojny, to tam poznał moją matkę. Pobrali się, zrobili mnie, a on dwa lata później zabrał nas do Stanów. Zamieszkaliśmy w Los Angeles i, nie licząc kilku mrocznych lat, byłem tutaj przez większość życia. Czynsz jest niski i to tutaj wszystko się dzieje, kotku. Nie chciałbym być nigdzie indziej. Tu bije puls wszechświata, tu krew jest najczerwieńsza.

– I na pewno często widzisz ją na bruku ulicy. Musi być z tego dobry materiał – powiedziałam.

– Zwłaszcza kiedy odwiedzają mnie tacy ludzie jak ty.

– Wiele spotykasz takich osób jak ja?

– Powiedzmy, że przychodzą ludzie; nie mogę powiedzieć, że tacy jak ty.

Widziałam, że mnie lubi – zwłaszcza po tym, jak unikał patrzenia mi w oczy. Był jak zawstydzony uczniak na swej pierwszej randce. Miał też nerwowy nawyk zdrapywania naklejki z butelki piwa, kiedy mówił. Po kilku kolejkach postanowiłam go nieco rozluźnić.

Wstałam i podeszłam do kuchennego stołu, gdzie trzymał radio.

– Mogę puścić jakąś muzykę? – zapytałam.

– Czuj się jak u siebie – powiedział, idąc za mną, by wziąć dwa nowe piwa z lodówki. Wracając do salonu, wręczył mi jedno z nich. Umieściłam radio na niskim stoliku i włączyłam je. Zaczęła grać muzyka klasyczna.

– O, nie, tak nie będzie – powiedziałam. – Pośniemy od tego.

– Nie lubisz muzyki klasycznej?

– Nie za bardzo, z wyjątkiem uwertury do *Williama Tella*. Jestem dzieckiem rock'n'rolla. Niczego innego nie słucham.

– A ja nie słucham nic prócz ramolej muzyki. Sprawia, że krew zaczyna krążyć. Poza tym nienawidzę brzmienia ludzkiego głosu. Rujnuje piękno muzyki. Prawdę mówiąc, zwykle rujnuje wszystko.

– Rany, niezły z ciebie cynik, Hank. Musisz się pan wyluzować.

Myślę, że zrozumiał już, iż byłam zupełnie dziewicza w kontekście „Bukowskiego". Nie wiedząc o nim prawie nic, niczego nie zakładałam z góry. Nie musiał się martwić, by sprostać własnemu wizerunkowi. Byłam jak dziecko, nieświadome faktu, iż siedzi w jednym pokoju z szaleńcem – przypominało to scenę z *Frankensteina* z Borisem Karloffem, gdzie mała dziewczynka spotyka monstrum nad jeziorem.

Znalazłam rockową stację, która puszczała topowe 40. Linda Ronstadt śpiewała swoją wersję *Heat Wave*. Podskoczyłam i złapałam go za ręce, ściągając z kanapy.

– No chodź, Hank, zatańczmy!

– Nie, dziękuję, mała. Ty zatańcz, ja popatrzę.

– *Jak fala upałów, co pali me serce* – zanuciłam miękko. – *Jak fala upałów, nie zniosę już więcej, je, je, je, je, je.*

Bukowski obserwował mnie, siedząc i uśmiechając się, gdy tak improwizowałam. Tańczyłam po pokoju jak wariatka, udając, że moja butelka piwa to mikrofon. Będąc niespełnioną performerką, uwielbiałam oczarowaną publiczność. Kiedy piosenka dobiegła końca, ukłoniłam się, a on bił mi brawo.

– I co, nie podobała się piosenka?

– Podoba mi się twój głos – powiedział. – Jest seksowny.

– Mój głos czy głos Lindy Ronstadt?

– Jak ona się nazywa?

– Nigdy nie słyszałeś o Lindzie Ronstadt?

Bukowski pokręcił głową.

– Mówiłem ci, słucham tylko klasyki. Pomaga mi pisać. Czasami nie przeszkadza mi głos kobiety, ale nienawidzę słuchać śpiewających mężczyzn.

I wtedy zaczęło grać *50 Ways to Leave Your Lover* Paula Simona. Tańczyłam i śpiewałam do każdego wersu.

– *Wyjdź z domu wspak, Jack. / Zbuduj nowy plan, Stan. / Nic się nie bój, Roy. / I stań się wolny* – intonowałam.

Kiedy piosenka się skończyła, zapytałam:

– No i co, nie podobało ci się?

– Podobało – zachichotał. – Ten gość ma jakiś styl; jakiś polot. Jak to szło… Wyjdź z domu wspak, Jack? Tak, to było niezłe, młoda.

Kiedy na antenę wszedł DJ i zaczął swą wymiotną nawijkę, Bukowski szybko wyłączył radio.

– Przepraszam, Cupcakes, od tego głosu mnie mdli. Obraża on moją wrażliwość. Słuchając tego, mam ochotę puścić pawia.

Siedzieliśmy chwilę na sofie, sącząc piwo i rozmawiając. Po raz pierwszy, odkąd przyszłam, patrzył mi prosto w oczy. Jego własne oczy były bardzo piękne. Wydawały się nie pasować do tej zmaltretowanej głowy. Nie byłam pewna, czego od niego chcę, ale byłam nim zaintrygowana. Potrzebowałam jakiegoś drogowskazu w moim życiu, a on wydawał się być dobrym kandydatem na zaufanego przyjaciela i mentora.

Po jakimś czasie poczułam, że jakoś dziwnie mnie pociąga. Zawsze czułam sympatię do pisarzy. Być może to ta kombinacja intelektu i dążenia do samodestrukcji była dla mnie tak atrakcyjna. Skończyłam właśnie pięcioletni związek ze znanym scenarzystą. Mój ojciec też był pisarzem. Zostawił nas, kiedy miałam pięć lat – może działał tu jakiś freudowski pociąg.

Widziałam, że ja też go pociągam. Wpatrywał się w moje włosy. Od czasu do czasu widziałam, jak zerka na mój biust, potem jego oczy zatrzymywały się na moich nogach, nawet na stopach, ale nie w żaden obleśny sposób. Wyglądało to, jakby oglądał dzieło sztuki i delektował się jego estetycznymi walorami. Czułam się podziwiana i doceniana, w ogóle nie zażenowana czy zagrożona.

Rozmawialiśmy dalej, przenosząc się z salonu do kuchni i z powrotem. Nie zbliżaliśmy się nawet do sypialni. Bukowski zachowywał się z szacunkiem, niemal dworsko.

Powiedziałam mu, że mam dwadzieścia trzy lata, i zapytałam o jego wiek. Miał pięćdziesiąt pięć. Choć był o trzydzieści dwa lata starszy ode mnie, wydawał się o wiele młodszy, jakby wiele lat spędził w jakimś zamknięciu.

Powiedziałam mu u swojej sześcioletniej córeczce. Wspomniał, że także ma córkę. Miała jedenaście lat i mieszkała z matką niedaleko plaży. Często ją odwiedzał.

Powiedziałam mu również, że podziwiam, jak potrafi wyżyć z pisarstwa (choć wyglądało na to, że sprzedaż jest dość niewielka), i że chciałabym sama mieć do tego talent. Wspomniałam o wielu pisarzach w moim życiu: o scenarzyście; o moim bracie Larrym, który uzyskał dyplom z dziennikarstwa na UCLA; o ojcu, który był reporterem w gazecie i rok wcześniej wydał swoją pierwszą książkę.

– Pragnę pisać, ale nie wiem nawet, od czego zacząć – powiedziałam.

– Zaczynasz od początku. Możesz się nauczyć, jak pisać, jeśli będziesz nad tym pracować – odparł.

– Ale jak mam się z tego utrzymać? – zapytałam. – To, co ty piszesz, ludzie faktycznie kupują.

– Więcej zarabiam na wyścigach niż na pisaniu.

Roześmiałam się. Sądząc po otoczeniu, mogłam mu wierzyć.

– Niech to będzie dla ciebie lekcją, Ruda. Większość ludzi, którym się wydaje, że potrafią pisać, powinna sobie poszukać prawdziwego zajęcia. Jeśli człowieka to nie napędza, jeśli nie jest gotowy do poświęceń, lepiej niech nie marnuje na to czasu. – Po czym uniósł piwo i dodał: – W te poświęcenia wlicza się również wątroba.

Wtedy wreszcie przyznałam, że nie wiem nic o jego twórczości.

Zdjął wydanie *Zapisków starego świntucha* z prowizorycznej półki, wziął pióro i naskrobał coś w środku. Po czym podał mi książkę.

– To jedna z moich wcześniejszych książek. Nie chciałem wypuścić cię z pustymi rękami.

– To ja wychodzę?

Spojrzałam na zegarek. Była czwarta rano.

– Tylko jeśli chcesz.

Kiedy kartkowałam książkę, Bukowski opowiedział mi, jak powstała jego pierwsza powieść, *Listonosz*. John Martin, jego wydawca, obiecał mu sto dolarów miesięcznie – nieważne, czy kiedykolwiek jeszcze coś napisze, czy nie. Te pieniądze pozwoliły Bukowskiemu rzucić pracę i pisać na pełny etat. Trzy tygodnie po odejściu z poczty zadzwonił do Martina i powiedział, żeby przyszedł odebrać książkę. Martin nie wierzył własnym oczom, kiedy zdał sobie sprawę, że Bukowski napisał powieść w trzy tygodnie.

– Każdego dnia dziękuję bogom za Johna – powiedział Bukowski. – Bez niego byłbym wciąż obsmarkaną małpą z czerwonym dupskiem, pracującą dla rządu. A może byłbym martwy.

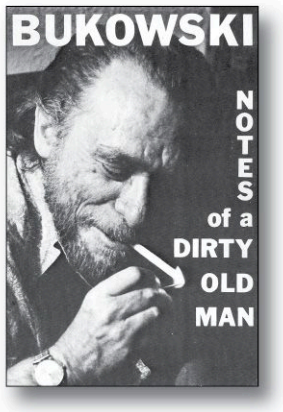

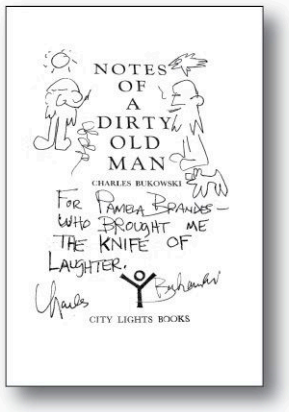

Inskrypcja wewnątrz książki głosiła: „Dla Pameli Brandes – która przyniosła mi ostrze śmiechu. Charles Bukowski”. Po jednej stronie narysował swój charakterystyczny wizerunek mężczyzny z papierosem i słońcem świecącym mu nad głową; po drugiej tego samego ludzika z przelatującym ponad ptakiem i leżącym u stóp psem. Chyba powinnam była być pod wrażeniem. Ale dla mnie wyglądało to jak niewielka

książeczka w miękkiej oprawie, i to niezbyt profesjonalnie wykonana. Nawet mój ojciec publikował w twardej oprawie.

– Dzięki, Hank. To bardzo miłe z twojej strony. Poczytam to dziś do poduszki – obiecałam, chowając książkę do torebki.

Około piątej rano wstałam, żeby wyjść.

– Pozwól, że odprowadzę cię do samochodu – powiedział Bukowski, wsuwając stopy w stare mokasyny.

Kiedy wsiadłam, nachylił się przez otwarte okno i pocałował mnie w usta.

– Mogę dostać twój numer? – szepnął.

Uśmiechnęłam się i zaczęłam grzebać po śmieciach zaścielających fotel pasażera. W końcu udało mi się odkopać długopis. Oderwałam kawałek torby z McDonalda i napisałam na nim moje nazwisko i numer.

Wziął ode mnie papierek i wsunął go do kieszeni dżinsów.

– Dobranoc, Cupcakes – powiedział, po czym wyprostował się i pomachał.

Dojechawszy do końca kwartału, spojrzałam w lusterko. Nadal za mną machał.

4
CZTERY

– I zostałam też Miss Pussycat 1973 roku – powiedziałam.

Bukowski zadzwonił dwa dni później. Był poniedziałkowy wieczór, koło dziewiątej.

– Mogę wpaść? – zapytał.

Układałam właśnie córkę do snu, więc powiedziałam, żeby poczekał godzinę.

Dałam mu swój adres. Ucieszył się, że mieszkałam jedynie jakieś pięć minut drogi od niego. W Los Angeles wiele romansów kończyło się, nim się nawet zaczęło, bo jedna osoba mieszkała przy oceanie, a druga po wschodniej stronie – co najmniej kilkugodzinna wyprawa. Ale Bukowski i ja byliśmy świetnie dobraną parą, przynajmniej geograficznie.

Po zapakowaniu Stacey do łóżka i pocałowaniu jej na dobranoc ogarnęłam mieszkanie. Żyłam na stancji obok „prawdziwego" starego świntucha, który zawsze próbował mnie usidlić, kiedy tylko jego żona wyszła z domu. Nienawidziłam ciągłej konieczności unikania tego zbereźnika, ale mieszkanie było przytulnym lokum w całkiem dobrym sąsiedztwie. Mieliśmy jedną sypialnię, tam spała Stacey; ja spałam na rozkładanej sofie w salonie. Czynsz był tani i miałam stamtąd blisko do mamy oraz do pracy.

Pozbierałam zabawki Stacey i pochowałam naczynia. Moje mieszkanie nie było najporządniejszym ani najbardziej

stylowym lokalem na świecie, ale w porównaniu z chatą Bukowskiego mogłoby się znaleźć w magazynie „Dom i Ogród". Zdążyłam tylko założyć czysty T-shirt do mojej miniówki i przelecieć grzebieniem po włosach, gdy usłyszałam delikatne pukanie.

Zamknęłam drzwi do pokoju Stacey i na palcach bosych stóp podeszłam do drzwi frontowych. Zaczynałam się denerwować. Czułam się swobodnie przy Bukowskim, ale nie wiedziałam, czego się spodziewał po tej wizycie. Rzadko zapraszałam mężczyzn do siebie, kiedy była ze mną córka – a już na pewno nie spałam z nikim w jej obecności. Jeśli chodziło o moje plany, mieliśmy chwilę sobie pogadać, a potem on wróciłby na Carlton Way.

Kiedy otwarłam drzwi, stał w nich Bukowski, ubrany w poliestrową koszulę w okropny zielony wzorek z ptakami, górami i canoe. Uśmiechał się i trzymał sześciopak w każdej dłoni. Wchodząc, wręczył mi jeden.

– Co? Żadnych róż?

– Mój ogródek przed wiosną nie urodzi niczego. Więc przyniosłem coś niemal równie dobrego – powiedział, niezamierzenie rymując.

– Rany, naprawdę jesteś poetą.

Roześmiał się, a ja położyłam palec na ustach i wskazałam na drzwi sypialni. Tak jak u Bukowskiego, nie było tu korytarzy – drzwi prowadziły wprost do drugiego pokoju.

– Córka śpi – powiedziałam.

– Rozumiem – odrzekł. – Ja też mam córkę.

Poszedł za mną do kuchni. Wyciągnęłam dwa piwa, a resztę wstawiłam do lodówki. Siedliśmy z naszymi piwami i papierosami przy stoliczku w kształcie rożka. Nie potrafiłam oderwać wzroku od jego koszuli.

– Więc wystroiłeś się dziś specjalnie dla mnie – powiedziałam.

Zarumienił się, spojrzał na podłogę, po czym się uśmiechnął. Wydawał się szczęśliwy, że zauważyłam. Koszula wyglądała jak prosto ze sklepu. Skądś wiedziałam, że kupił ją wcześniej tego dnia, żeby wieczorem mieć do ubrania coś specjalnego. Ujął mnie.

Stolik był za mały, a światło w kuchni zbyt jasne. Wydawał się cokolwiek spięty, więc sama zaczęłam rozmowę.

– Powiedz mi więcej o swojej córce – powiedziałam.

– Nazywa się Marina, ma jedenaście lat i mieszka z mamą niedaleko plaży. Spotykam się z nią, kiedy tylko mogę. Wie, że jej tato jest inny, ale wie, że ją kocham i staram się, jak umiem. To takie dziwne obserwować, jak staje się tym przepięknym, żeńskim stworzeniem… I do tego już jest bystrzejsza niż jej stary. – Odwrócił wzrok, jakby namyślał się głęboko, po czym rzekł: – Dobra… to wszystko.

– Ożeniłeś się z jej mamą?

– Frances nie chciała wychodzić za mąż. To wolny duch. Dobry duch.

– Jak się poznaliście?

– Była fanką. Lubiła moje pisanie i przez jakiś czas korespondowaliśmy. Powiedziała, że chce mnie poznać. Chyba myślała, że jestem czułym facetem. – Zachichotał. – Też jest poetką. Wyszło tak, że zamieszkaliśmy ze sobą, a ona zaszła w ciążę. Nie chciała małżeństwa, nie jest głupia. To bystra kobieta.

– Więc masz całe rzesze fanek? – zapytałam.

– Niektóre kobiety czytają moje książki, a potem myślą, że chcą mnie poznać.

– Może to i dobrze, że nie czytałam żadnych twoich książek. – Choć z tej odrobiny, którą przeczytałam, „czuły” nie był

przymiotnikiem, który bym mu przypisała.

Roześmiał się. Wyszło to głośniej, niż najwyraźniej planował. Spojrzał w stronę sypialni i zakrył sobie usta dłonią.

– Przepraszam – wyszeptał.

– Nie tak łatwo ją zbudzić – powiedziałam. – A jeśli nawet się zbudzi, nie zobaczy niczego, czego nie powinna.

Spojrzałam mu w oczy, żeby sprawdzić, czy rozumie, co miałam na myśli. Rozumiał.

– Kiedy zadzwoniłem dziś do ciebie – powiedział Bukowski – był to pierwszy raz od lat, kiedy telefonowałem do kobiety. Zwykle to one przychodzą do mnie.

– Powinnam przyjąć to jako komplement? – zapytałam.

– A nie przyjmujesz?

– W połowie przypadków – powiedziałam – wydaje mi się, że mnie bujasz.

– Nigdy bym tego nie zrobił – odparł. – Nienawidzę ogranych numerów.

Łyknął piwa, po czym zajrzał pod stół, żeby spojrzeć na moje skrzyżowane nogi.

– Pobujałbym kiedyś raczej twoimi nogami – powiedział.

Nagle zmarszczył brwi i bardzo posmutniał. Odstawił piwo i zamknął oczy. Opuścił ramiona. Jego całe zachowanie zmieniło się w jednej chwili.

– Co się stało? – zapytałam.

– Przepraszam, nic takiego. Wszystko gra – powiedział, wzdychając ciężko.

– Powiedz mi. Co jest? Czy to z powodu czegoś, co powiedziałam?

– Nie, nie, nic takiego. Twoje nogi przypomniały mi o kimś, nic więcej.

– O Frances?

– Nie, Jane… Chyba można ją nazwać moją pierwszą miłością. Też miała wspaniałe nogi. Nie żyje. Za bardzo lubiła wino. Dobra… to wszystko. Zmieńmy temat. Przepraszam, że to wyciągnąłem – powiedział melancholijnie.

Przyniosłam mu następne piwo. Otwarłam je, po czym położyłam mu dłoń na ramieniu. Wyglądał tak strasznie smutno. Jego oczy zwilgotniały, widziałam, że wspomnienie o tamtej kobiecie jest okropnie bolesne. Jeśli było to przedstawienie, by zdobyć sobie moje względy, to działało. Kiedy już lepiej się poznaliśmy, miał mi powiedzieć więcej o Jane. Ale tego wieczoru dałam temu spokój.

– Przepraszam – powiedziałam.

Jego ból był wprost namacalny. Czułam, co on czuje – przytłaczający smutek i poczucie winy. Nie spotkałam wielu mężczyzn, którzy czuliby cokolwiek równie głęboko – zwłaszcza w odniesieniu do kobiet. Zaczynałam rozumieć, czemu tak wiele z jego fanek pragnie go poznać. Ciężko jest znaleźć wrażliwego faceta.

Resztę piwa wypił w milczeniu. Po jakimś czasie podniósł na mnie wzrok.

– A ty? – zapytał.

– Ja?

– Mężowie? Chłopacy?

Z Bobem

– Wyszłam za ojca Stacey – powiedziałam. – Ale to potrwało tylko coś koło roku. Byliśmy zbyt młodzi na małżeństwo. To znaczy, ja byłam za młoda. Kiedy go poznałam, byłam piętnastoletnią dziewicą. On miał dwadzieścia dwa lata. Rok później zaszłam w ciążę. Pod wielkim naciskiem ze strony jego mormońskich rodziców oraz mojej „o Boże, co też sąsiedzi pomyślą" matki wyszłam za niego. Zostawiłam go wkrótce po tym, jak urodziła się Stacey.

Potem opowiedziałam mu o moich ostatnich dwóch chłopakach – zaczynając od scenarzysty, Boba, który zostawił mnie dla aktorki, Cindy Williams. Bob żył w domku dla gości przy domu Georgii, gdy ta przybyła do Hollywood pięć lat wcześniej. Za dnia pisał, a wieczorami pracował na wózku widłowym. Przyłączał się do imprez u Georgii, gdy po północy wracał z pracy. Miałam siedemnaście lat, a on dwadzieścia pięć. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Zostaliśmy razem, dopóki nie poszczęściło mu się z pisaniem. Parę lat po naszym spotkaniu jego scenariusz został wstępnie przyjęty przez MGM. Poprosili go też o napisanie scenariusza pod Deana Martina. Tytuł brzmiał *Pan Ricco*. Poza Deanem grała tam Cindy Williams, która później zdobyła sławę jako Shirley w serialu *Laverne i Shirley*. Bob i Cindy spotkali się na planie i od razu zaczęli ze sobą chodzić. To był koniec między Bobem i mną, przynajmniej pod względem romantycznym. Niedługo potem zaczęłam spotykać się z wiceprezesem Pussycat Theaters, gdzie wówczas pracowałam. Skończyło się to wyrzuceniem mnie z pracy. Pogwałciłam politykę firmy, zakazującą randkowania ze współpracownikami.

– A co robiłaś w pussycatach? – zapytał Bukowski. Nagle nie wyglądał już tak smutno. Tematyka sieci kin dla dorosły

potrafi pobudzić każdego.

– Najpierw byłam przy ladzie ze słodyczami… – zaczęłam.

– Sprzedają słodycze do ślizgaczy? – zapytał.

– Nie mów mi, że nigdy na żadnym nie byłeś.

– Nie mój styl, młoda – powiedział. – Dla mnie to jak obserwowanie operacji na otwartym sercu. W ogóle nie chcę tego widzieć. Wolę sobie wyobrażać, co kryje się za kurtyną.

Bukowski był chyba pierwszym spotkanym przeze mnie mężczyzną, który nigdy nie widział filmu dla dorosłych. W ciągu całego okresu, gdy byliśmy razem, nigdzie w jego domu nie widziałam żadnej pornografii.

– Romantyk z ciebie, co? – powiedziałam.

– Po prostu staromodny skurwysyn pod tą całą skorupą, kotku. Więc opowiedz mi resztę, co się działo po sprzedaży raisinetsów?

Wyjaśniłam, że miałam wówczas dziewiętnaście lat i szukałam pracy. Odpowiedziałam na ogłoszenie w „Los Angeles Timesie", gdzie szukali dziewczyny do sprzedaży słodyczy w kinie. Nie było tam nazwy kina, tylko adres przy Zachodniej Alei w Hollywood. Kiedy pojawiłam się, by wypełnić aplikację, byłam zaskoczona, że to kino dla dorosłych. Ale specjalnie mnie to nie obeszło, bo potrzebowałam pracy, a nie zamierzałam ani oglądać tych filmów, ani w nich grać, tylko sprzedawać milk dudsy. Kilka tygodni później wpadł do nas spanikowany właściciel całego konglomeratu, szukając kogoś do tymczasowej pomocy w głównym biurze, które było położone tuż za rogiem, przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Jego recepcjonistka rzuciła robotę i był potrzebny ktoś na zaraz do odbierania telefonów. Oryginał ów nazywał się Vince Miranda i był gejem. Zobaczył mnie za ladą i zapytał, czy nie wpadłabym na jeden dzień do głównego biura. Ostatecznie zaproponował mi robotę na pełny etat. Miałam odbierać

telefony, księgować, dzwonić po wszystkich kinach i zbierać dane ze sprzedaży, po czym obliczać dzienne przychody dla każdego z nich. I zostałam też Miss Pussycat 1973 roku – powiedziałam. – Przejęłam to stanowisko, gdy prawdziwa Miss Pussycat wyszła za mąż. Chyba była w ciąży.

Był to kolejny uśmiech losu, kiedy Miss Pussycat zadzwoniła do Vince'a i powiedziała, że odchodzi. Od zaraz. Vince znowu był w kropce, bo miała się tego weekendu pojawić w jednym z normalnych kin, które posiadał w San Diego, i zrobić sobie zdjęcia z żołnierzami.

Bukowski znów się roześmiał. Był to miły śmiech, który emitował pozytywne fale i pokazywał mi, jak bardzo cieszy się z mojego towarzystwa.

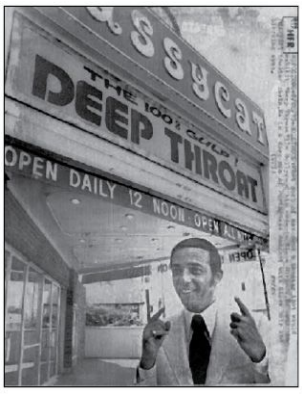

Vince Miranda na tle Pussycat Theater

Kiedy chichotaliśmy, opowiadałam, jak uczestniczyłam w otwarciach nowych kin i uroczystościach przecinania wstęgi. Raz nawet zrobił ze mną wywiad Johnny Grant, honorowy burmistrz Hollywood. Moje imię pojawiało się od czasu do czasu w poświęconych show- businessowi publikacjom, jak „Daily Variety" czy „The Hollywood Reporter", łączono mnie z celebrytami, którzy w rzeczywistości byli

gejami. Wydawcy dzwonili i pytali mnie o pozwolenie. Nie miałam nic przeciwko, wszystko dla dobrej sprawy.

– Brzmi to jak świetna robota – powiedział.

– Było fajnie, póki się nie skończyło – odparłam.

Przyniosłam mu kolejne piwo. Potem zapytał, czy można by się przenieść do salonu. Siedliśmy na kanapie, a ja cicho włączyłam radio. Linda Ronstadt śpiewała *Tracks of My Tears*.

– Podoba mi się ta piosenkarka – powiedział. – Jak się nazywa?

– Linda Ronstadt. Słyszałeś ją, kiedy byłam u ciebie ostatnio, pamiętasz?

– Linda, racja – powiedział, a jego oczy, zdawało się, spochmurniały. – Właśnie zerwałem z kobietą o imieniu Linda.

Zdziwiłam się, że nie słyszałam o tym wcześniej. Po krótkich namowach Bukowski opowiedział mi o swoim pięcioletnim związku z Lindą King. Powiedział, że było w nim wiele dobrych chwil i wiele złych chwil i że bardzo ją kochał. Pod koniec złych chwil było więcej niż dobrych. Uznał, że jest zbyt wybuchowa. Potrzebował wyrwać się z tego dramatu.

– Kiedy zerwaliście? – zapytałam.

– Nie wiem, czy ona wie, że to już naprawdę koniec – powiedział. – Wciąż dzwoni, ale ja nie chcę mieć z nią już nic wspólnego.

– Nie wydaje ci się, że powinieneś jej powiedzieć? – spytałam.

Westchnął tylko. Znów zaczął przybierać ten smutny wyraz twarzy ze zmarszczonymi brwiami. Spojrzał na mnie i położył dłoń na mojej. Zostaliśmy tak przez jakiś czas. Zerknęłam na zegarek. Była trzecia w nocy. Zauważył, że sprawdzam godzinę, ale nie spieszyło mu się do wyjścia. Robiło się późno, a ja byłam zmęczona.

– Możemy położyć się obok siebie? – zapytał. – Mógłbym cię przez chwilę potrzymać?

Spojrzałam na niego, niepewna, co myśleć o tej jego prośbie. Zaczynałam się robić nerwowa. Zamierzał zrobić ruch? Po czym popatrzyłam w te jego smutne oczy. Wyglądał tak słodko i wrażliwie. Nie potrafiłam powiedzieć „nie". Ale dla pewnego zabezpieczenia, postanowiłam trochę podkoloryzować prawdę.

– Dobra, ale żadnego całowania. Przepraszam, mam zepsuty ząb i nie chciałabym cię urazić – powiedziałam, kierowana mechanizmem obronnym.

– Powinnaś pójść do dentysty – powiedział.

– Pójdę – odparłam, wyciągając poduszki z sofy. – Jest dentysta w tym samym budynku, gdzie mój lekarz. Mam wizytę w przyszłym tygodniu, zastrzyk B12. Wtedy się tym zajmę.

Rozciągnęliśmy sofę i przygasiliśmy światła. Wyłączyłam radio, ale zostawiłam telewizor na chodzie, tylko bez dźwięku. Wyciągnęliśmy się obok siebie, ja twarzą do telewizora, a on za mną, oplatając mnie ramionami. Pasowaliśmy do siebie, jak para łyżeczek w kredensie. Trzymał mnie delikatnie i gładził po włosach. Zostaliśmy tak przez chwilę, aż odpłynęliśmy w sen. Było to tak słodkie, że aż bolesne. Widziałam, co do mnie czuje. Czułam się bezpieczna i chroniona.

Kiedy się ocknęłam, było po piątej rano. Obróciłam się i spojrzałam na niego w mroku.

– Hank – szepnęłam, popychając go. – Musisz stąd iść, zanim Stacey się obudzi.

– Pójdę.

– Kiedy?

– Zaraz.

– Już, Hank. Nie chcę, żeby po obudzeniu moja córka zobaczyła jakiegoś obcego faceta w łóżku mamy.

Oboje opuściliśmy nogi z materaca na ziemię. Bukowski wstał powoli i ruszył za mną do drzwi frontowych. Gdy stał

tak w drzwiach, na wpół śpiący, położyłam mu dłoń na policzku i musnęłam ustami jego usta.

– Możemy się znów spotkać, Cups? – zapytał.

Ciężko mi było ocenić mężczyznę, który stał przede mną. Było w nim tyle fascynujących niespójności. Jak przy spotkaniu z eleganckim włóczęgą, chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Ewidentnie był zainteresowany romantyczną relacją ze mną. Nie byłam jeszcze pewna, czy chcę przenieść ten związek na następny poziom. Ale nie chcąc skrzywdzić tego nieśmiałego, czułego, wrażliwego mężczyzny, powiedziałam jedyne, co mogłam powiedzieć. *Tak*.

Cała Rodzinka

U góry, od lewej do prawej: babcia ze strony matki; brat mamy, Gino; mama; za kontuarem dziadek – wszyscy w należącym do rodziny sklepie. Miniatura: Dziadkowie ze strony matki. Pośrodku, od lewej do prawej: matka, rodzice, tata. Na dole, od lewej do prawej: Tracey, ja, Larry. Miniatura, od lewej do prawej: Tracey, ja, Larry, Stacey.
(Zdjęcia dzięki uprzejmości Pameli Wood).

5
PIĘĆ

Pamiętam niejedną noc, gdy siedzieliśmy po ciemku, przy świecach, bo nie było jej stać na elektryczność, albo bez możliwości wzięcia gorącej kąpieli, bo nie zapłaciła za gaz, albo telefon nie działał, z tego samego powodu – nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli te wszystkie trzy rzeczy naraz. Ale mama robiła, co mogła.

Po trzecim spotkaniu z Bukowskim zdałam sobie sprawę, że na mnie leci. Zaczął zostawiać u mnie wiadomości, wiersze, nawet drobne podarunki, kiedy mnie nie było. Był zadurzony w tej, jak się wydawało, pięknej, żywej, młodej kobiecie o czarującym poczuciu humoru, zauważalnej inteligencji i z potencjałem, by zostać kimkolwiek, robić cokolwiek, co sobie upatrzy. Był to bardzo kuszący zestaw, ale atrakcyjny wygląd ukrywał prawdziwą naturę wojny, która kotłowała się za tą uroczą fasadą.

Choć mojego dzieciństwa nie nazwałabym idyllicznym, pierwsze jedenaście lat nie było takie złe. Byłam drugim z trojga dzieci Rose i Lauritza Millerów. Mój ojciec miał irlandzkie, duńskie i niemieckie korzenie. Urodził się w małym miasteczku o nazwie Bradford w Pensylwanii, ale wychowywał się w Detroit w Michigan. Pochodził z patologicznej rodziny, złożonej z sześciu synów i jednej córki. Jego ojciec był oszalałym alkoholikiem, który zostawił żonę i siódemkę

małych dzieci własnemu losowi. Moja matka nazywała babcię Miller pieszczotliwie „Ma Barker".

Tata był inteligentnym, przystojnym, czarującym playboyem, który uważał się za prawdziwie męskiego mężczyznę, w stylu Ernesta Hemingwaya. Był zawodowym oficerem i służył w czasie wojny koreańskiej, ale nie uczestniczył w walkach. Większość służby przesiedział w Japonii, pracując jako reporter dla gazety „Stars and Stripes".

Matka była słodką, naiwną dziewczyną z małego miasteczka, a konkretnie z tego samego Bradford w Pensylwanii. Jej matka i ojciec byli dumnymi imigrantami z centralnej Italii. Pochodzili z małego średniowiecznego miasteczka o nazwie Sarnano, nieco na wschód od Toskanii i w pobliżu wybrzeża Adriatyku. Byli to dobrzy, porządni, ciężko pracujący ludzie, którzy kładli wielki nacisk na wygląd, rzetelność, szlachetność i wiarę katolicką. Mama poznała mojego ojca, gdy ten odwiedzał krewnych w Bradford. Wpadł na lunch do restauracji wujka mojej mamy, Nunzia. Pracowała tam jako kelnerka; on został porażony jej egzotyczną urodą i nieśmiałą manierą porządnej panienki. Ona z kolei zafascynowała się przystojnym, niegrzecznym chłopcem. Pobrali się wkrótce później.

Mój brat Larry urodził się najpierw, a ja cztery lata po nim. Moja siostra, Tracey, urodziła się dwa lata po mnie. Rodzice rozwiedli się, kiedy miałam pięć lat. Mieszkaliśmy wówczas w Tokio, gdzie stacjonował ojciec. I tak samo, jak wcześniej jego ojciec, zostawił nas samym sobie – tym razem dla japońskiej konkubiny.

Zdruzgotana, ale nie pokonana mama wsiadła do następnego „latającego tygrysa" do Stanów i ostatecznie osiadła w Dolinie San Fernando w Kalifornii. Będąc kobietą dumną i, bez wątpienia, pełną obaw o nasze bezpieczeństwo,

trzymała się tylko najlepszych osiedli klasy średniej w dolinie. Często mieszkaliśmy w domach dla służby albo w małych, dwupokojowych mieszkaniach.

Żyjąc z płacy sekretarki i czasami dorabiając jako pokojówka w domach rozpieszczonych kur domowych z okolicy, nigdy nie miała dość pieniędzy na nasze potrzeby. Byliśmy rodziną gorszej kategorii, a ja zdawałam sobie z tego sprawę. Zawsze gdzieś czaił się wstyd i poczucie bycia gorszą. Choć mama zawsze pilnowała, żebyśmy byli porządnie ubrani, nie chodzili głodni i mieli dach nad głową, to zawsze martwiłam się, że bogate dzieciaki, z którymi chodziłam do szkoły, odkryją brak mięsa w mojej kanapce z majonezem albo tekturę w dziurawych butach.

Pamiętam niejedną noc, gdy siedzieliśmy po ciemku, przy świecach, bo nie było nas stać na elektryczność, albo bez możliwości wzięcia gorącej kąpieli, bo mama nie zapłaciła za gaz, albo telefon nie działał, z tego samego powodu – nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli te wszystkie trzy rzeczy naraz. Ale mama robiła, co mogła.

Od bardzo młodego wieku byłam dotkliwie świadoma, że jestem inna od reszty dzieci, i szybko wykształciłam pomniejszy kompleks. Na szczęście byłam atrakcyjną dziewczynką i inne dzieciaki ciągnęły do mnie, przez co byłam w szkole popularna. Kompensowałam też swoje postrzegane braki, stając się wybitną sportsmenką. Zawsze byłam kapitanem drużyny i często nominowano mnie na przewodniczącą klasy. Ale bałam się, że inni odkryją, gdzie mieszkam, więc kiedy któraś mama podwoziła mnie do domu, wysiadałam przecznicę wcześniej. No i, oczywiście, znajomi nigdy nie mogli spędzić u mnie nocy.

Ale nie wszystko było złe. Jednym ze szczęśliwych wspomnień z dzieciństwa jest nieustanny dźwięk muzyki

w domu. Mama uwielbiała pop, a szczególnie ceniła musicale z Broadwayu.

Zamykałam się w sypialni na całe godziny z gramofonem, śpiewając numery z przedstawień. Mając dziewięć lat, opracowałam technikę kierowania promienia ułożonej na łóżku latarki pod takim kątem, że tworzył w ciemności świetlisty krąg, niczym reflektor na scenie. Udawałam, że występuję przed tysiącami oddanych fanów, gdy wyśpiewywałam *Wouldn't it be Lovely* z *My Fair Lady*. Gdy miałam jedenaście lat, znałam już na pamięć każde słowo każdej piosenki z *My Fair Lady*, *West Side Story*, *The Flower Drum Song* i tak dalej. Przyłączyłam się do klubu teatralnego w lokalnym parku. Moim największym osiągnięciem była kreacja Amy w *Małych kobietkach* Louisy May Alcott. Stałam się tym dzieckiem w bloku, które zbiera wszystkie inne i mówi: „Hej, zróbmy widowisko!". A potem, kiedy w wieku jedenastu lat zobaczyłam Ann-Margret w *Bye, Bye, Birdie*, mój los został przypieczętowany. Miała nawet te długie, rude włosy, prawie takie same jak ja. Od tamtej chwili wiedziałam, że odnalazłam swoje powołanie. Niestety, wszystkie te marzenia miały prysnąć rok później, krótko po moich dwunastych urodzinach.

Byłam wtedy w drugiej klasie gimnazjum. Czułam się zagubiona i nie wiedziałam, jak się dopasować. Wyrosły mi też spore piersi, mimo tak młodego wieku – uwaga, którą to na

mnie ściągnęło, była krępująca i kłopotliwa; wszystko to było konfundujące.

Moja najlepsza kumpela od podstawówki, Janet, stwierdziła, że lubi greaserów, i dołączyła do tej kliki. Ale ja nie czułam się komfortowo wśród ubranych w skórzane kurtki, nażelowanych chłopaków i zawadiacko wyglądających, wytapirowanych dziewczyn. Bogate dziewczyny ze społecznych elit zaprosiły mnie do swojego stowarzyszenia, ale tylko mnie to przestraszyło, bo wiedziałam, że z czasem odkryją, iż nie jestem „szlachetnie urodzona", i mnie odrzucą. Surferzy też mnie lubili, ale ja niezupełnie byłam typem Gidget.

Zaczęłam popadać w fobię społeczną. Mój kryzys tożsamości zmienił się w poczucie wyalienowania. Odkryłam, że nie mam ochoty chodzić do szkoły. Moja biedna matka, która ledwie radziła sobie z utrzymaniem siebie i naszej trójki przy życiu, nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Objawiało się to jako swoista depresja i w niektóre dni zwyczajnie nie chciałam wstać z łóżka i iść do szkoły. Nie działo się to codziennie, ale wystarczająco często, by system szkolny w końcu interweniował. Matka błagała i targowała się ze mną, bym wstała z łóżka, ale czasami zwyczajnie nie mogłam. Pisała dla mnie usprawiedliwienia, ale wkrótce szkoła się skapnęła. Wysłali mojej matce ostrzeżenie, że brak kontroli nad córką przyniesie poważne konsekwencje. Nie żartowali.

Szkoła ostatecznie uzyskała nakaz sądowy, by przekazać mnie pod opiekę państwa. (Jedyne, co zrobiłam, to okazjonalne pójście na wagary i oglądanie oper mydlanych w domu, na miłość boską!). Nie przedłużając, zabrali mnie w końcu z domu i przetransportowali do domu dziecka, bym tam czekała, co zdecydują w mojej sprawie.

Mój ojciec i jego nowa żona zaoferowali, że mnie wezmą, ale to wkrótce skończyło się katastrofą (zachowam krwiste

szczegóły na następną książkę). Ostatecznie wylądowałam w sierocińcu dla dziewcząt w Santa Monica. Mieszkałam tam, aż skończyłam szesnaście lat.

To w sierocińcu poznałam mojego pierwszego męża, Pete'a. Byłam piętnastoletnią dziewicą – on miał dwadzieścia dwa lata, ale pozwolono mi spędzać z nim czas poza kampusem w godzinach dziennych. Chodziliśmy ze sobą przez rok, aż wreszcie zaszłam w ciążę. Pod wieloma naciskami poślubiłam go – miałam szesnaście lat i byłam w siódmym miesiącu ciąży.

Sześć miesięcy po narodzinach mojej córki, Stacey, zostawiłam jej ojca i wprowadziłam się z nią do mojej matki. To wtedy poznałam Georgię.

Georgia dopiero co przybyła do Los Angeles i chodziła z moim kuzynem, Butchem. Wychowała się w tym samym miasteczku w Pensylwanii, co moja matka i ojciec. Poznała Butcha, kiedy pracowała jako fryzjerka w salonie mojej ciotki w Bradford. Zaraz potem zaczęli się spotykać. Butch postanowił przenieść się do Los Angeles, by zdobyć sławę i bogactwo jako aktor.

Załamana i samotna Georgia postanowiła zabrać swoje dwie córeczki i przejechać przez pół kraju, by być z nim dalej w Hollywood w Kalifornii. Mój brat Larry i Butch byli przyjaciółmi. Każdy weekend spędzali razem w małym domu Georgii w Hollywood, uczestnicząc w jej szalonych imprezach, wypełnionych artystami i ekscentrykami. Pewnego weekendu zaprosili mnie, bym poszła z nimi. Wtedy właśnie zaczęłam eksperymentować z narkotykami i alkoholem.

Był to w kraju czas rewolucji, wielkiej zmiany społecznej. Większość mojego pokolenia uważała się za członków odartej ze złudzeń kontrkultury, która powstała z burzliwych lat sześćdziesiątych. Uważałam się za bardzo nonszalancką i zblazowaną osobę, kumplując się z tymi wszystkimi

starszymi ode mnie, literackimi rebeliantami. Nie mieliśmy pojęcia, do jakich zniszczeń w naszym życiu doprowadzi to nierozważne zachowanie. Po prostu dobrze się bawiliśmy, poszerzając swoje umysły i szukając sensu życia.

Gdy poznałam Bukowskiego, doświadczyłam już w moim krótkim życiu wiele traum. Miałam wiele nierozwiązanych problemów psychologicznych i ciągle jeszcze próbowałam jakoś to wszystko zrozumieć. Narkotyki i alkohol tylko pogłębiały problem. Nie byłam pewna, kim tak naprawdę jestem, kim chciałam być czy też gdzie było moje miejsce.

Choć może brakło mi wówczas umiejętności introspekcji, Bukowski z pewnością był wystarczająco doświadczonym mędrcem, by rozumieć, że poważny związek z powabnym, młodym rudzielcem, znanym jako Cupcakes O'Brien, musiał mieć niewielkie szanse powodzenia.

6
SZEŚĆ

Nie był skąpy, tylko ostrożny.

Dwa dni po tym, jak Bukowski spędził u mnie noc, znalazłam wiadomość od niego, wetkniętą w drzwi frontowe. Sądząc po tej wiadomości, wyglądało to tak, że był we mnie zakochany. Mój brak odpowiedzi skłonił go tylko do większej determinacji. W ciągu następnych kilku dni znalazłam kolejne wiadomości. Zostawiał je w drzwiach albo w skrzynce pocztowej. Próbował do mnie dzwonić, ale nigdy nie było mnie wtedy w domu. Pisał, że się o mnie martwi, zastanawiał się, czy u mnie wszystko w porządku, i chciał, żebym oddzwoniła. Pewnego dnia po powrocie do domu znalazłam zawieszony na drzwiach niemiecki Żelazny Krzyż. Schlebiało mi to, ale jednocześnie było cokolwiek niepokojące. Był w tym jakiś niewłaściwy, desperacki ton.

Co rano zabierałam Stacey do szkoły, po czym wracałam do domu i spałam do południa. Często siedziałam u matki przez wiele dni, odtruwając się po dniach czy tygodniach picia i brania narkotyków. W mojej osobowości nadal trwała schizma, tworząca wzór trzech czy czterech dni brania, po

czym trzech czy czterech dni czystości. Prowadziłam podwójne życie, co miało doprowadzić Bukowskiego do obłędu. Popołudniami załatwiałam bieżące sprawy, często było to poszukiwanie nowego doktora, który wypisałby mi receptę na amfetaminę. Po szkole zabierałam Stacey ze szkoły, kupowałam jakieś żarcie na wynos i kierowałam się do mieszkania mamy. Kiedy mama wracała do domu około 5.45, wychodziłam do pracy w Alpine Inn.

Zwykle znajdywałam wiadomości od Bukowskiego, gdy wracałam z pracy około 2.30 rano. Chowałam je do kuchennej szuflady i za bardzo nie wracałam do niego myślami w ciągu tygodnia. Przejmowałam się głównie tym, czy nie wykopią mnie ze stancji za zaległy czynsz.

Gdy wracałam do domu, zaśnięcie zajmowało mi całe godziny. Czasami nie spałam w ogóle, aż nadchodził czas, by pojechać do matki po Stacey i zawieźć ją do szkoły. To nie było życie dla dziecka i zdawałam sobie z tego sprawę. Ale im bardziej czułam się winna za tę całą sytuację, tym większy lęk mnie ogarniał i tym bardziej chciałam od niej uciec, by nieco odpocząć. Wiedziałam, że jeśli porzucę moją pogoń za przyjemnością, to nie tylko stanę się lepszą osobą i lepszą matką, ale zaoszczędzę też dużo pieniędzy – i będę w stanie opłacić rachunki, wliczając w to czynsz.

Nie dostawałam żadnych pieniędzy na dziecko. Nie, żeby mi nie przysługiwały. Ojciec Stacey zwyczajnie nic mi nigdy nie zapłacił, nawet gdy do niego dzwoniłam i błagałam. Miał teraz nową żonę i powiedział, że ma własne wydatki. Oświadczył, że nie pracuje i nie ma aktualnie z czego mi dać.

Wiedziałam, że muszę znaleźć lepiej płatną pracę. Obecnie za każdym powrotem na stancję czułam się jak przestępczyni, bo zalegałam z czynszem. Za każdym razem, gdy ktoś pukał

do drzwi, aż podskakiwałam. Za każdym razem, gdy wychodziłam, właściciel obserwował mnie z okna.

W weekend znalazłam więcej wierszy i wiadomości od Bukowskiego. Najczęściej mówiły, jak nie może przestać o mnie myśleć. Miałam wiele na głowie i, mówiąc szczerze, nie wiedziałam, co o tym myśleć. Wydawał się mieć obsesję na moim punkcie. Pomyślałam, że będzie dobrze dać mu czas, by ochłonął w samotności.

W poniedziałek, mój dzień wolny od pracy, postanowiłam wpaść do niego koło pierwszej po południu. Minął tydzień od jego wizyty u mnie. Kiedy otworzył drzwi, jego twarz promieniała.

– Gdzie, do diabła, się podziewałaś, Czerwony Kapturku? – powiedział z podekscytowaniem, zapraszając mnie do salonu.

– Pracowałam – odparłam. – I zajmowałam się Stacey.

– Nic więcej?

– To mniej więcej wszystko.

– Żadnych chłopaków, którzy monopolizują twój czas?

– Nie ostatnio.

Bukowski porwał dwie butelki micheloba z lodówki i postawił je na kuchennym stole. W maszynie do pisania siedziała kartka papieru, a obok leżał cały stos kartek.

– Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam – powiedziałam, machając palcem na maszynę.

– To połów z ostatniej nocy – odparł, wskazując głową na kartki.

– Połów? Łowisz ryby? – powiedziałam.

– W pewnym sensie – odparł. – Zarzucasz sobie sieć i patrzysz, co się złapie.

– Więc niczego nie planujesz? Po prostu zaczynasz pisać i patrzysz, co z tego wyjdzie?

– Mniej więcej – odparł. – Jeśli jest dobre, to wypływa jak słodkie, gorące, piwne gówno.

– Uroczy obrazek – powiedziałam.

– Prawdziwy, moja droga – odparł.

Wziął mnie w ramiona i uściskał mocno. Po czym zaczął mnie całować. Bukowski naprawdę uwielbiał się całować, jak miałam wkrótce odkryć. Mógł całować przez całą noc. Powiedział mi, że jest „całusowym potworem". Jego agresywność tego dnia wzięła mnie z zaskoczenia. Naprawdę cieszył się, że mnie widzi.

(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

Popchnął mnie w stronę sypialni. Kiedy staliśmy w drzwiach, rozejrzałam się po ciemnoniebieskich ścianach i zatrzymałam spojrzenie na rozpadającym się łóżku. Nawet przez cały pokój dobiegała odeń woń seksu.

Przyciągnął mnie bliżej. Poczułam na brzuchu, że był twardy. Wyrwałam się z objęć, spojrzałam na łóżko, a potem znowu na niego.

– Jak załatwisz sobie nowy materac, daj mi znać – powiedziałam. – Do tej pory nie zamierzam nawet brać tego pod uwagę.

Odstąpił na krok, by lepiej mnie widzieć. Był dalekowidzem i potrzebował odrobiny dystansu, by skupić wzrok. Przyglądał mi się uważnie, próbując stwierdzić, czy żartuję.

– Mówisz poważnie? – zapytał.

– Absolutnie, niewątpliwie, zupełnie – powiedziałam, biorąc go za rękę i prowadząc z powrotem do salonu.

Usiedliśmy na jego starej sofie, przez chwilę pijąc piwo w milczeniu. Widziałam, że próbuje przetrawić to, co mu właśnie powiedziałam.

– Trochę szkoda wyrzucać całkiem dobry materac – powiedział.

Nie był skąpy, tylko ostrożny. Nie wydawał ani grosza, póki absolutnie nie musiał. Praktycznie nie miał ubrań. Kiedy musiał kupić, powiedzmy, nową koszulę, prawie zawsze szedł do dyskontu przy bulwarze pod nazwą Zody's. Jego meble wyglądały, jakby przywlókł je tu z ulicy. Żył głównie na resztkach, jajkach i chlebie. Pił, owszem, ale głównie tanie piwo i wino. Czasami nawet sam skręcał sobie papierosy. Kiedy kupował sobie cokolwiek, włączając w to jego ukochanego volkswagena rocznik 67, płacił gotówką. Nawet wobec mnie nie można mu było zarzucić nadmiernej hojności. Uważał, że stary materac ma przed sobą jeszcze całe lata życia, więc odrzucała go myśl o pozbyciu się go. Nigdy nie rozmawiałam z nim o pieniądzach, ale uznawałam, że żyje na krawędzi ubóstwa. Nie uwierzyłabym, że żyje tak z wyboru, a nie z konieczności.

– Mam nadzieję, że ty i twój materac będziecie szczęśliwi – powiedziałam.

Siedzieliśmy w salonie, popijając piwo.

– Jesteś inna, Cups – powiedział. – W ogóle nie wspominasz o moim pisaniu. Większość kobiet nie chce rozmawiać o niczym innym.

– Więc jest wiele innych kobiet? – spytałam.

– Kobiety dzwonią do mnie i piszą do mnie listy, i pojawiają się na moich wieczorkach poetyckich – powiedział. – Chyba im

się wydaje, że wiem coś, czego nie wiedzą inni mężczyźni.

– Co im się wydaje, że takiego wiesz?

– Może im się wydaje, że jestem czuły i wiem, jak zaspokoić kobietę – powiedział.

Próbował odczytać mój wyraz twarzy, by ocenić, czy kiedykolwiek doświadczyłam tej przyjemności. Sprawdzał mnie. Wcześniej nie poruszaliśmy tego tematu. Czułam, że chce zbadać moje nastawienie do seksu, a konkretnie do seksu z nim. Jakby z tym nie było, nie zamierzałam mu tego wyjawiać.

– Jesteś raczej filozofem, zboczonym filozofem, ale jednak filozofem – powiedziałam.

Roześmiał się. W kąciku jego ust pojawiła się dziura po brakujących zębach.

– Mam przeczucie – rzekł – że może przeczytałaś więcej moich rzeczy, niż twierdzisz.

Nadal nie wzięłam się za *Zapiski starego świntucha*, które mi dał przy drugim spotkaniu. Czułam się skonfliktowana. To miłe, że dał mi tomik swojej twórczości, ale teraz musiałam stawić temu czoła. Na pewno będzie zadawał jakieś pytania, gdy się znów spotkamy. Przekartkowałam parę stron i nadal nie byłam przekonana, żeby miał wielki talent. Musiałam przeczytać więcej. Byłam pewna, że znajdę jakieś pozytywne rzeczy do powiedzenia, jeśli ten temat się pojawi.

Zadzwonił telefon. Bukowski wstał, by go odebrać. Uznałam, że to jedna z jego fanek, bardziej chętna, by tu przyjść i zrobić cokolwiek będzie chciał na tym zapyziałym materacu.

Wstałam, gdy trzymał słuchawkę przy uchu. Uniósł dłoń, by mnie zatrzymać, ale mnie już nie było.

7
SIEDEM

…czułam się spokojna i bezpieczna w tej ciemnoniebieskiej sypialni, gdzie nie było nikogo poza nami, niby dwojgiem rozbitków, wyrzutków, dryfujących tratwą po oceanie. Był tak słodki i delikatny, że przestałam się martwić czymkolwiek i odpłynęłam razem z nim.

Następnego dnia Bukowski zadzwonił do mnie koło południa. Dopiero co się obudziłam.

– Hej, Cups, przyjeżdżaj do mnie – powiedział. – Mam dla ciebie niespodziankę.

– Nawet nie wzięłam prysznica – odrzekłam.

– Możesz wziąć prysznic później – powiedział. – Musisz przyjechać tu zaraz.

Było w jego głosie takie podekscytowanie i upór, że wskoczyłam w dżinsy i koszulkę, przejechałam grzebieniem po włosach, zgarnęłam torebkę i ruszyłam do wozu.

Kiedy dotarłam do połowy podwórka, z tylnych drzwi wyskoczył właściciel domu, pan Walters. Był to obleśny facet po sześćdziesiątce. Przypominał mi łysiejącego, nieporządnie uczesanego Belę Lugosiego. Zamiast czekać na nieuchronne, powiedziałam to, o czym, jak zgadywałam, myślał.

– Wiem, że zalegam z czynszem – zaczęłam. – Ale wciąż nie odrobiłam wypłat straconych przez ten wypadek.

We wrześniu ktoś wjechał mi w tył na Bulwarze Hollywoodzkim i musiałam wziąć parę tygodni wolnego. Szef nadal mi płacił, ale straciłam napiwki. A teraz zmniejszyły mi się godziny pracy, bo zatrzymali kobietę, która mnie zastępowała podczas nieobecności. Ciężko mi było związać koniec z końcem. Nadszedł czas zapłaty za grudzień, a ja byłam dwa miesiące do tyłu z czynszem.

– Chodź na chwilę do środka – powiedział pan Walters, przytrzymując tylne drzwi.

Wiedziałam, że Bukowski na mnie czeka, ale uznałam, że nie mam innego wyjścia niż dowiedzieć się, czego chce właściciel. Spodziewałam się, że wręczy mi wymówienie.

Kiedy weszłam do środka, panowała tam zupełna cisza – ani telewizora, ani radia, ani żony. Przeczuwałam, co się za chwilę stanie, ale nie wiedziałam, jak temu zapobiec.

Pomieszczenie wyglądało jak poczekalnia w zakładzie pogrzebowym – półmrok i krzykliwe dekoracje. Zalatywało czosnkiem. Poprowadził mnie do sofy z czerwonego zamszu. Usiadłam, a on wcisnął się obok. Wziął czasopismo ze stolika i zaczął je kartkować.

Sięgnął za mnie i odsunął mi włosy z ramienia. Poczułam, że mnie mdli, po krzyżu przebiegły mi ciarki.

Pan Walters spojrzał na jedno ze zdjęć, gdzie naga kobieta była brana od tyłu.

– Podoba ci się? – zapytał, podsuwając mi zdjęcie.

Pragnęłam kopnąć go w przyrodzenie i uciec, ale nie chciałam zostać aresztowana za napaść i skończyć w więzieniu, a w najlepszym wypadku na ulicy. Zamiast tego skoczyłam na równe nogi, jakbym nagle przypomniała sobie coś ważnego.

– Och – powiedziałam. – Muszę iść, bo spóźnię się na spotkanie.

Wybiegłam przez tylne drzwi, pozostawiając pana Waltersa ze świerszczykiem zwisającym u oklapłej dłoni.

Po drodze do Bukowskiego wypaliłam cztery papierosy, a mieszkał jedynie dziesięć minut ode mnie. Za każdym razem, gdy myślałam o właścicielu, do głowy przychodziły mi dwa słowa – „jebnięty skurwiel". Boże, miałam tak bardzo dość tego rodzaju napaści. Niezależnie od swego wieku i atrakcyjności, mężczyznom zawsze zdawało się, że mogą się dobrać do młodej, samotnej kobiety – a zwłaszcza samotnej matki. Było to tak obrzydliwe, że brało mnie na wymioty.

Kiedy zatrzymałam się pod domem Bukowskiego, dwóch mężczyzn wynosiło jego ohydny materac. Bukowski stał przed domem i otworzył dla mnie drzwi. Uśmiechał się jak dzieciak, który właśnie dostał nowy rower. Kiedy zobaczył, jak się krzywię, jego uśmiech znikł.

– Hej, uśmiechnij się, Cups. Wyglądasz, jakbyś właśnie przejechała pijaną zakonnicę.

Odpaliłam kolejnego papierosa i przekazałam mu pokrótce, co się właśnie wydarzyło.

– Mam tam pojechać i spuścić mu manto? – zapytał.

– Nie… Muszę gdzieś mieszkać – odparłam.

– Wprowadź się do mnie – powiedział.

– Mam córkę, pamiętasz? – odparłam, nie wiedząc, czy mówi poważnie.

– Coś wymyślimy – powiedział.

Rzuciłam papieros na ziemię i przydeptałam.

– Wejdź do środka, młoda, mam dla ciebie niespodziankę – powiedział, ujmując mnie za łokieć i łagodnie prowadząc mnie do domu. Poszliśmy prosto do sypialni.

Na łóżku leżał zapakowany w folię materac. Podeszłam bliżej do łóżka, nachyliłam się i wlepiłam w niego wzrok. Był pokryty wzorkiem w róże i pnącza.

– Jest bardzo piękny – powiedziałam. – Jakie to miłe z twojej strony. Zrobiłeś to specjalnie dla mnie? – zapytałam, jednocześnie myśląc: „Ojoj”…

– Więc, co powiesz? – rzekł.

– Powiem, że potrzebujemy szampana, żeby go ochrzcić.

Wyciągnął portfel i wydobył z niego dwudziestodolarowy banknot.

– To może ty pojedź po szampana, a ja zdejmę celofan – powiedział. – Bądź szybko z powrotem – dodał.

Podjechałam pod safewaya na skrzyżowaniu Hillhurst i Bulwaru Zachodzącego Słońca, gdzie mnie znali i nie pytali o dowód. Nie miałam prawa jazdy, ale miałam fałszywy dowód, który kupiłam w Hollywood Ranch Market, kiedy miałam dziewiętnaście lat i potrzebowałam go do pracy jako kelnerka od koktajli w klubie nocnym w Zachodnim Hollywood pod nazwą P.J.’s. (Występ ten potrwał dwie godziny. Byłam tak spięta w pierwszym dniu pracy, że rozlałam całą tacę koktajli na pół tuzina biznesmenów przy stoliku, po czym wybiegłam przez drzwi frontowe, zanim zdążyli mnie wyrzucić). Zamiast jednej butelki dobrego szampana zdecydowałam się kupić dwa tanie, po jednym na głowę.

Kiedy wróciłam po jakimś kwadransie, wręczyłam Bukowskiemu szampana i resztę.

Wyglądał na zmęczonego i zbolałego.

– Co znowu nie tak? – zapytałam.

– Powiedziałem jej, że wrócisz tu z szampanem i resztą – powiedział.

– Komu powiedziałeś?

– Dzwoniła Linda – powiedział, mając na myśli swoją eks, Lindę King. – Gadała jak obłąkana, piekliła się i narzekała. Myśli, że jest w ciąży.

Spróbowałam odczytać wyraz jego twarzy. Zobaczył, że go studiuję. Otworzył szampana, a ja poszłam do kuchni znaleźć dwa czyste szkła.

– Nie martw się, to nie moje – powiedział. – Wyterkotała nazwiska pięciu różnych facetów, do których może należeć ten honor.

– Dlaczego dzwoniła?

– Kto wie? – powiedział. – Mówiłem ci, jest szalona. Lubi się nade mną znęcać.

Zastanawiałam się, czy to ona zadzwoniła, czy to może on do niej zadzwonił, by pochwalić się perspektywą rychłego podboju młodej zdobyczy. Nie wydawał się być złą osobą – ale zastanawiałam się, czy czasem ich związek nie obejmował brudnych gierek we wzajemne znęcanie się nad sobą. Myśl ta sprawiła, że poczułam się nieco skrępowana, ale szybko usunęłam ją z umysłu. Przekonał mnie, że to już całkowicie za nim, no i w końcu kupił nowy materac, specjalnie dla mnie.

Teraz, gdy szampan był już nalany, Bukowski wydawał się dużo bardziej rozluźniony. Stuknęliśmy w szkła. Naprawdę potrzebowałam kilku kolejek, by wprawić się w nastrój.

– Za róże i pnącza! – wzniósł toast.

– Za róże i pnącza! – zawtórowałam, po czym dodałam: – Za łodygi bez kolców!

Wzięłam prysznic, po czym weszłam do sypialni, ociekając wodą. Leżał na łóżku, na czystym prześcieradle, przykryty drugim prześcieradłem. Nie minęło dużo czasu, nim prześcieradło zaczęło się unosić. Podeszłam do lustra i przyjrzałam się sobie. Wciągnęłam swój i tak płaski brzuch. Nieważne, ile wagi zrzuciłam, miałam wrażenie, że jestem za gruba. Ale w retrospekcji miałam piękne, niemal nieskazitelne, bujne ciało. Choć miałam niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu, przy wymiarach 96-60-90 moje

proporcje były idealne i całkowicie naturalne. Mniej więcej w tamtym czasie skontaktował się ze mną znany fotograf z magazynu „Penthouse" z propozycją sesji zdjęciowej; odmówiłam. Moje atrybuty fizyczne miały stać się źródłem wielkiej inspiracji dla poety, który leżał obok mnie.

Za oknem świeciło słońce. Było około trzeciej po południu. Nie musiałam się martwić o Stacey, bo ta spędzała popołudnie w domu przyjaciółki, Niny, skąd miała ją odebrać moja matka.

Nie, nie musiałam się niczym martwić aż do czasu wyjścia do pracy za parę godzin.

Weszłam do łóżka i zbliżyłam się do Bukowskiego. Delikatnie położył dłoń na jednej z moich piersi. Spojrzałam na jego dłonie, gdy mnie pieścił. Zauważyłam, że ma długie, poszarpane paznokcie. Odsunęłam się.

– Musisz coś zrobić z tymi paznokciami – powiedziałam.

– Zaraz wracam.

Szybko wyskoczył z łóżka. Miał na sobie bokserki i biały podkoszulek. Wkrótce z łazienki dobiegł mnie dźwięk obcinania paznokci. Zawsze uważałam, że długość paznokci mężczyzny mówi wiele o jego życiu seksualnym, czy też jego braku. Im dłuższe, tym mniej seksu. Wydawało się, że Bukowski nie robił tego od bardzo dawna.

Kiedy siedział w łazience, zauważyłam buteleczkę olejku Olay na szafce nocnej. Uznałam, że zostawiła go któraś z jego dziewczyn. Nigdy nie używałam kremów ani emulsji, ale uznałam, że spróbuję, skoro i tak czekam. Gdy wrócił, wcierałam sobie olejek w ramiona. Pokazał mi dłonie. Były czyste, a paznokcie obcięte aż do skóry. Był to mężczyzna gotów zrobić cokolwiek, by zadowolić kobietę. Było to urocze – ale jednocześnie straszne. Czasami wydawało się to przesadne.

Miałam głupawkę i byłam nieco zdenerwowana. Gdy wrócił do łóżka, ja dalej nonszalancko wcierałam sobie olejek w ramiona. Spróbował swoimi czystymi dłońmi dotykać innych części mojego ciała. Popatrzył w górę, by zobaczyć mój wyraz twarzy. Nie zareagowałam i nadal wcierałam olejek w ramiona, udając, że jestem znudzona.

– Hej, może przynieść ci pilnik do paznokci… albo może chcesz zjeść sobie jabłuszko? – powiedział.

Roześmiałam się, po czym rozluźniłam. We Wschodnim Hollywood trwało hałaśliwe popołudnie, z rykiem policyjnych syren, wozów strażackich, autobusów, ruchu ulicznego i ogólnym hałasem za oknem. Ale ja czułam się spokojna i bezpieczna w tej ciemnoniebieskiej sypialni, gdzie nie było nikogo poza nami, niby dwojgiem rozbitków, wyrzutków, dryfujących tratwą po oceanie. Był tak słodki i delikatny, że przestałam się martwić czymkolwiek i odpłynęłam razem z nim. Jego podejście było z początku nieco niezdarne, ale w końcu nacisnął wszystkie właściwe guziki. Był o wiele lepszym kochankiem, niż się spodziewałam. To było coś wyjątkowego i oboje o tym wiedzieliśmy.

Po wszystkim leniwie ćmiliśmy papierosy i snuliśmy sypialniane rozmowy. Potem ubrał się i pojechał do Pioneer Chicken po coś do jedzenia. Gdy wrócił, jego ramiona uginały się pod ciężarem toreb.

– Jesteś aż taki głodny? – zapytałam.

– Nie wiedziałem, co byś chciała – powiedział. – Więc wziąłem wszystko.

8
OSIEM

Lata później miałam odkryć, że nie była to jego ostatnia próba oczernienia mnie.

Kiedy tej nocy wróciłam z pracy, w moje drzwi wetknięta była kolejna wiadomość od Bukowskiego. Po wejściu do środka otwarłam kopertę. Całą stronę wypełniało słowo: „Tak!". Pod spodem jego podpis i prośba o telefon.

Włożyłam wiadomość do szuflady w kuchni, tam, gdzie pozostałe. Spojrzałam na owinięte sznurkiem karteczki i dopadło mnie poczucie winy. Nie godziło się w ten sposób traktować czułych listów od mężczyzny. Znalazłam pudełko po butach, włożyłam je do środka i wstawiłam pudełko do szafy w sypialni.

Za to urocze popołudnie z Bukowskim odpłaciłam z nawiązką wszawym wieczorem w robocie.

Roz Kelly, nowa barmanka, uparła się, by mi dogryźć. Zatrudniono ją w moim zastępstwie, kiedy zdrowiałam po wypadku samochodowym. Była bezczelną babką z Nowego Jorku o nieprzyjemnym charakterze. Nie wiedziałam, co do mnie ma. Próbowałam być przyjazna i z nią gadać, ale zawsze odpowiadała jakimś sarkastycznym komentarzem, który doprowadzał mnie do pasji. Nie wiedziałam, skąd się bierze ta cała wrogość. Była zwyczajnie wredna. Kiedy pracowałyśmy razem, prawie nie odzywałyśmy się do siebie. Całą noc stała po drugiej stronie baru i posyłała mi nienawistne spojrzenia.

Ale właściciel i klientela chyba ją lubili, więc utrzymała posadę, a mi obcięto godziny. Była początkującą aktorką i miała dostać rolę w popularnym sitcomie *Happy Days* jako dziewczyna Fonziego, Pinky Tuscadero. Rola idealnie pod osobowość – pomyślałam.

Ale teraz wiedziałam już, że muszę znaleźć inną pracę. Wyczerpana, opadłam na krzesło w kuchni i otwarłam piwo. Potrzebowałam paru piw, by złapać kilka godzin snu, zanim o siódmej zadzwoni budzik i będę musiała lecieć do mamy, by zabrać Stacey do szkoły.

Raz po raz zadawałam sobie pytanie „Co mam robić?", pijąc piwo i paląc papierosa za papierosem.

Naprawdę chciałam wrócić do szkoły, ale to nie było możliwe. Nie umiałam nawet pisać na maszynie. Musiałam pracować i utrzymywać Stacey. Wydawało się, że jedyną opcją było znalezienie kolejnej posady kelnerki. Ta myśl wprawiła mnie w cholerną depresję.

Prawie chciałam, żeby mnie zwolnili. Po kilku minutach wmówiłam sobie, że to chyba najlepsze, co może mnie spotkać. Wtedy mogłabym pobierać zasiłek, przez jakiś czas nie pracować i wziąć się do kupy. Dzięki, Roz, pomyślałam, gasząc papierosa i kierując się do łóżka.

Minęło kilka dni, odkąd skonsumowaliśmy z Bukowskim nasz związek. Podjął próby skontaktowania się ze mną za pomocą kolejnych listów, zostawianych pod drzwiami, kiedy mnie nie było. Byłam zajęta innymi rzeczami i, szczerze mówiąc, nadal uważałam, że posuwa się zbyt szybko, więc niespecjalnie pragnęłam z miejsca do niego wracać.

Ubierałam się właśnie, by pojechać po córkę, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałam, sądząc, że to Bukowski. Ale była to Georgia. Była podekscytowana i mówiła szybciej niż zwykle.

– Zwolnij – powiedziałam.

– Napisał o nas we „Freep" – wypaliła.

– Co o nas napisał?

– To cudowne. Zajebiste – piszczała.

– Co o nas napisał? – powtórzyłam.

– Zaraz ci, kurwa, przeczytam.

– Zwyczajnie mi powiedz. Prysznic mi leci.

– To jebany wiersz. Nie potrafię ci opowiedzieć. Muszę ci przeczytać.

– Jak się nazywa?

– *Cena* – powiedziała mi, po czym zaczęła czytać.

Zatrzymałam ją po pierwszym zdaniu.

– Nazwał nas *dziwkami*?!

– Cicho, słuchaj dalej – powiedziała.

Po czym przeczytała cały wiersz.

Po tym, jak Georgia skończyła czytać, powiedziałam:

– Ten pajac użył nawet naszych prawdziwych imion.

– Tylko sobie wyobraź, co by było, jakby użył nazwisk. Mogłybyśmy być sławne – powiedziała.

– Chyba raczej niesławne.

– Rozchmurz się, Pam. Na koniec powiedział, że tylko żartował. Uwielbiam ten wiersz. Uważam, że jest zajebisty.

Wiersz po raz pierwszy ukazał się w „Los Angeles Free Press” 5 grudnia 1975 roku. Bukowski opisuje w nim część zdarzeń, które naprawdę miały miejsce nocy, gdy się poznaliśmy, ale nazywa Georgię i mnie dziwkami. Potem miał on się ukazać w jego tomiku poezji z 1977 roku, *Miłość to piekielny pies*. Wiersze w owym tomiku podzielone są na cztery sekcje. Wszystkie wiersze w sekcji trzeciej, *Scarlet*, były zainspirowane moją osobą i są o mnie. Ale *Cena* nie została umieszczona w tej sekcji.

Kiedy wiersz ów pojawił się w gazecie, nie byłam szczególnie urażona, bo uznałam, że kiedy to pisał, tak naprawdę nas nie znał i nie spodziewał się nas kiedykolwiek jeszcze zobaczyć. Miał napisać do tej gazety więcej wierszy na mój temat, ale nic o tym nie wiedziałam. Przez cały czas, kiedy byliśmy ze sobą, rzadko czytałam „Free Press”. Lata później miałam odkryć, że nie była to jego ostatnia próba oczernienia mnie.

Później tego samego dnia podjechałam pod dom Bukowskiego. Kiedy otworzył drzwi, był wniebowzięty, że mnie widzi. Próbował się ze mną skontaktować przez cały tydzień i zaczynał się martwić.

Był kompletnie zaaferowany incydentem, który zdarzył się następnego dnia po naszym chrzczeniu materaca.

– Gdzie się podziewałaś, Cups? Ominęła cię cała zadyma. Próbowałem do ciebie dzwonić. Podjechałem parę razy pod twój dom. Nawet dzwoniłem do Georgii, ale ona też nie miała z tobą kontaktu.

– Zapomnij o tym, tylko powiedz mi, co się stało – odparłam.

Zaczął mi opowiadać o katastrofalnym zdarzeniu, które miało miejsce nazajutrz po naszej sesji na nowym materacu. Wrócił z toru wyścigowego i zastał wybite okno w drzwiach wejściowych. Dom był zdemolowany. Złapał Lindę King, która kryła się w krzakach z reklamówkami pełnymi jego książek

i obrazów. Kiedy zobaczyła, że się zbliża, zaczęła drzeć książki i obrazy, rzucać je na ulicę. Po czym wyciągnęła spod krzaka jego maszynę do pisania, wybiegła na środek ulicy i rozbiła maszynę o asfalt. Kiedy tak niszczyła wszystko, krzyczała: „NIE MÓW MI NIC O SWOICH PIERDOLONYCH KOBIETACH – NIE CHCĘ NIGDY WIĘCEJ SŁYSZEĆ O TWOICH PIERDOLONYCH KOBIETACH!”.

– Po czym – powiedział Bukowski – wskoczyła do samochodu i próbowała mnie przejechać!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Pomyślałabym, że żartuje, gdyby nie wyglądał na tak wstrząśniętego.

– Zrobiła to, bo powiedziałem jej o tobie, kiedy zadzwoniła tego dnia, gdy kupiłem materac.

Nachylił się, delikatnie pocałował mnie w usta i powiedział:

– Boże, tak się cieszę, że cię tu nie było!

Było to niepokojące, ale nie czułam się zagrożona. Nigdy nie poznałam Lindy King, ale słyszałam straszne opowieści o jej atakach na inne kobiety, którymi interesował się Bukowski. Krótko po tym incydencie przeprowadziła się do Arizony.

Tym niemniej, każdy kij ma dwa końce. Obecnie podejrzewam, że Bukowski, z nieznanego powodu, uwielbiał ją prowokować. Wiedział, że miała gwałtowny temperament, i sądzę, że lubił dolewać oliwy do ognia. Uważam też, że to on do niej zadzwonił, a nie ona do niego; zadzwonił, by poinformować o swej najnowszej, młodej zdobyczy.

Choć był mężczyzną o wielu zaletach, miał też poważne wady. Nie wiem dlaczego, ale wydawał się czerpać przyjemność z prowokowania agresji, zwłaszcza pomiędzy kobietami. Może wydawało mu się to zabawne i dawało materiał do pisania, a może dzięki temu czuł się kochany i pożądany. Oczywiście, wówczas o tym nie wiedziałam, więc

przytuliłam go mocno i powiedziałam, żeby się już niczym nie martwił – Cupcakes jest tutaj i wszystko będzie dobrze.

Wziął dwa piwa z lodówki i wydawał się spokojniejszy. Wtedy podniosłam sprawę niepochlebnego wiersza.

– Dzwoniła do mnie Georgia. Była podekscytowana wierszem, który napisałeś o nas do gazety. Ja nie byłam aż tak szczęśliwa jak ona. Naprawdę wziąłeś nas za dziwki?

– Hej, kotku, napisałem to, zanim cię poznałem. A poza tym, w tej dzielnicy nigdy człowiek nie wie.

– Ech, co prawda, to prawda – powiedziałam.

– Jeszcze piwa? – zapytał.

– Nie, dzięki, dziś idę do pracy. Lepiej już się zbiorę.

– Kiedy cię znów zobaczę? – zapytał.

– Zadzwoń do mnie jutro po południu – odparłam i dałam mu szybkiego całusa na pożegnanie.

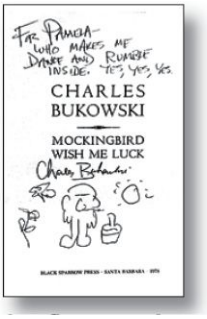

Kiedy nocą wróciłam z pracy, czekała na mnie wiadomość od Bukowskiego. Pisał tam, bym kopnęła go w tyłek, jeśli kiedykolwiek znowu wspomni o Lindzie. Pod wiadomością leżał tomik poezji. Było to *Życz mi szczęścia, przedrzeźniaczu*, z inskrypcją: „Dla Pameli – która sprawia, że w środku tańczę i dźwięczę. Tak, tak, tak. Charles Bukowski". Była to ta sama książka, którą zadedykował Lindzie King.

Gdy wstałam z łóżka w południe następnego dnia, znalazłam je na podłodze salonu. Wypowiedzenie najmu, które właściciel

wepchnął mi pod drzwiami. Było jakieś dwa tygodnie do świąt. To tyle, jeśli chodzi o pokój ludziom dobrej woli.

Postanowiłam zajrzeć do Bukowskiego, by przekazać mu wieści i sprawdzić, czy Linda nie wróciła dokończyć roboty. Kiedy dotarłam do jego domu, usłyszałam stukanie w klawisze dobiegające z kuchni.

Otworzył i stanął w drzwiach. Wydawał się zdruzgotany.

– Skąd ta ponura mina, panie Ed?

– Przepraszam, Ruda. Jestem tylko nieco sfrustrowany. Musiałem kupić nową maszynę i próbuję się do niej przyzwyczaić. Musiałem też zapłacić za wymianę okien.

– Czemu to ty masz płacić, a nie Linda? – zapytałam.

– Szkoda zachodu – powiedział. – Chciałem, żeby zniknęła z mojego życia.

– Chodźmy się napić – powiedziałam. – Musimy o czymś porozmawiać.

– Muszę dokończyć te listy i przekazać rachunek Johnowi. Zgodził się zapłacić za maszynę.

– O, to dobrze – powiedziałam. – Więc mogę wejść? Chcę zobaczyć twoją nową maszynę.

Odsunął się na bok, by puścić mnie przodem. Miał nienaganne maniery, niemal staroświeckie, gdy był trzeźwy, a czasem nawet, gdy był pijany. Uznałam, że dorastał, ucząc się grzeczności i kurtuazji Starego Świata od swej niemieckiej matki.

Weszliśmy do kuchni, by przyjrzeć się nowej maszynie. Wyglądała podobnie do starej, ale dla niego była nieznana i nie dawała tego samego komfortu co stary, wierny royal. Usiedliśmy przy stole i wypiliśmy piwa. Nadal był wyraźnie wstrząśnięty przejściami z Lindą. Kiedy zapalał papierosa, ręce mu się trzęsły. Czułam się niezręcznie, chcąc powiedzieć mu o mojej eksmisji, kiedy miał własne problemy.

– Kurde, kochałem tę maszynę – powiedział. – Czuję się, jakbym stracił część duszy.

– Gdzie ona teraz jest? – spytałam.

– W koszu na śmieci – odparł. – To jakieś niewłaściwe, zostawić ją tam. Czuję się, jakbym powinien ją pochować i odprawić pogrzeb czy coś. Była dla mnie dobra, należy jej się nieco godności.

– Tak, może powinniśmy odprawić nad nią czuwanie, z otwartą trumną – powiedziałam. – Daj spokój, Hank, rozchmurz się. Może tak będzie lepiej. Może ta nowa jest magiczna i napiszesz na niej mnóstwo wspaniałych rzeczy.

Na jego usta wpełzł uśmiech, jakby zapomniał, jak być szczęśliwym, i próbował się tego na nowo nauczyć.

– Zawsze mnie rozweselasz, mały rudzielcu – powiedział.

Przez jakiś czas to właśnie było istotą naszego związku. Żartowałam sobie z nim, póki jego depresja się nie cofnęła, po czym wychodziliśmy na miasto, by się bawić, jak para beztroskich dzieci.

– Co byś powiedział na to, by wpaść do mojej mamy na kolację wigilijną? – zapytałam, po czym dodałam: – Chciałaby cię poznać.

– Powiedziałaś jej o mnie? – zapytał z zadowoleniem.

– Powiedziałam jej, że jesteś sławnym pisarzem. Powiedziałam, że piszesz książki dla dzieci – dodałam. – Była pod wrażeniem.

– Kto tam będzie?

– Stacey, mój brat Larry, moja siostra Tracey i mama.

– Trochę to zbyt uroczyste jak dla mnie – powiedział.

– Daj spokój – odparłam. – Będziesz się dobrze bawił. Upieczemy kaczora.

– Mam nadzieję, że Donalda – powiedział.

– Za karę dostaniesz Daffy'ego.

Chciałam poruszyć sprawę mojej eksmisji. Wiedziałam, że coś wymyśli. Ale moment nie wydawał się właściwy, by o tym wspominać.

Nagle powiedział:

– O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

– Wyrzucają mnie z domu.

– Dlaczego? – spytał. – Przez to, co zaszło z właścicielem?

– Zapewne to część tego. Ale nie płaciłam też czynszu przez ostatnie dwa miesiące.

Znaliśmy się z Bukowskim dopiero od miesiąca i tylko raz ze sobą spaliśmy. Dlatego byłam zaskoczona, gdy powiedział, że mieszkanie obok jest wolne. Dlaczego chciał, bym zamieszkała obok niego? Nie czułby się skrępowany wizytami innych kobiet, gdybym mieszkała zaledwie parę metrów dalej? Uznałam, że traktował mnie już poważnie i nie miał planów, by spotykać się z innymi. Były to jedynie luźne myśli, przebiegające mi przez głowę. Nie przemyślałam zbyt głęboko jego oferty ani tego, co ze sobą niosła.

Zamiast tego zaczęłam się z miejsca zachowywać, jakby decyzja już zapadła. Zapytałam go o czynsz, o to, czy pozwala się tu na dzieci i kiedy można by się wprowadzić. Chociaż czynsz był niewiele mniejszy od tego, który aktualnie płaciłam, i choć wyraziłam pewne obawy, czy dam radę się wypłacić, Bukowski powiedział, że ma „układy" i nie będzie żadnego problemu, póki on jest w pobliżu. Powiedział nawet, że będzie w stanie załatwić uchylenie miesięcznej kaucji, płatnej z góry przy wynajmie. Byłam podekscytowana. To zbyt piękne, by było prawdziwe, pomyślałam.

Nie przeszkadzało mi mieszkanie po sąsiedzku z Bukowskim. Był troskliwy i opiekuńczy, a tego bardzo mi było potrzeba w życiu. Był mądry i czułam, że może mi pomóc

wszystko ogarnąć – zostałby nie tylko moim chłopakiem, ale także przewodnikiem i mentorem.

Co mogłoby pójść źle?

9
DZIEWIĘĆ

Mamie przyjemnie rozmawiało się z Bukowskim. Naprawdę go polubiła... Powiedziała mi też, że ma on najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u człowieka.

Nie wiem, co Bukowski zwykle robił w święta. Jego rodzice byli od dawna martwi, nie miał też rodzeństwa. Nie wiedziałam, czy spędzał święta z córką Mariną i jej matką, Francis Smith. Nie wiedziałam, czy spędza je z przyjaciółmi. Nie wiedziałam, czy może nie siedzi wówczas sam w domu. Tak jak ja, odebrał katolickie wychowanie, więc musiał mieć jakieś uczucia względem świąt. Kiedy zaprosiłam go na wigilię u mojej mamy, nigdy nie pomyślałam, żeby go zapytać, czy ma inne plany.

Moja mama, Rose, miała pięćdziesiąt jeden lat, kiedy poznałam Bukowskiego, czyli była od niego cztery lata młodsza. Nigdy nie traktowałam Bukowskiego jak jej rówieśnika. Wydawała się o wiele starsza.

Mama nie była szczególnie dobra w gotowaniu, podobnie jak ja. Moja siostra Tracey przyjechała do domu na święta z Albuquerque w Nowym Meksyku. Właśnie zdobyła tam swoją pierwszą pracę jako prezenterka w radiu KOB. Z naszej trójki to ona była najlepszą kucharką. Zaproponowała, żebyśmy upiekli kaczkę, i nawet zaoferowała, że pójdzie ją kupić. Byłyśmy z mamą wniebowzięte, że nie musimy się już

martwić daniem głównym. Zmontować jakąś sałatkę, otworzyć puszkę kukurydzy i postawić na stole chipsy oraz sos do nich, oto wyzwania na naszym poziomie.

Będąc Włoszką z matki i ojca, mama uznawała Wigilię, a nie Boże Narodzenie, za właściwe święta.

Mama musiała pracować, by przeżyć, więc nie miała zbyt wiele czasu na gotowanie, pieczenie i zabawianie. Wyrosłyśmy na Burger Chefie i Swanson TV Dinners. Ale robiła, co mogła, i zawsze mieliśmy wielką choinkę oraz ostrokrzew i girlandy rozwieszone po domu. Miała też talent dekorowania za niewielkie pieniądze i uwielbiała chodzić po sklepach z rupieciami typu Goodwill w poszukiwaniu ukrytych skarbów, jak czarny mikołaj śpiewający świąteczny blues czy abstrakcyjne ornamenty z papier mâché, wyglądające, jakby zaprojektował je Salvador Dali. Kupowała ajerkoniak, cukrowe laski, czekoladowe mikołaje i wszystko inne, co było szybkie i łatwe. Piszę to, by podkreślić, że dokładała starań.

Kiedy zadzwonił dzwonek, otwarłam drzwi i wszedł mój brat, Larry. Niedawno skończył dwadzieścia siedem lat i miał afro z jasnorudych włosów. Braki w urodzie rekompensował z nawiązką swym umysłem. Ale mimo swej bystrości nigdy nie potrafił z niczym sobie poradzić – szkołą, pracą czy związkami. Mama rozpieszczała go i dawała mu pieniądze, ale nic, co

robiła, nie wydawało się działać. Zwykle był bez pracy i pieniędzy. Mama i Larry byli wzajemnie uzależnieni od siebie, zanim jeszcze wymyślono to pojęcie. W przeciwieństwie do mnie uważał, że coś mu się należy. Ale ja nie byłam dużo lepsza. Przynajmniej próbowałam, i zawsze czułam się winna, kiedy za bardzo na niej polegałam.

Mama jednak zawsze się cieszyła, kiedy przyjeżdżał, i od razu pobiegła, by go uściskać. Ledwie wróciła do salonu, gdy przez drzwi przewalili się Georgia, jej dwie córeczki oraz Bill.

– Nie ma tu, kurwa, gdzie zaparkować – powiedziała Georgia, wręczając mamie dwie butelki wina i dodając: – Wesołych świąt, Rose.

Nie mówiąc ani słowa, mama odwróciła się i poszła do kuchni, gdzie Tracey sprawiała kaczkę. Spojrzała na mnie i skinęła głową w stronę kuchni. Podążyłam za nią.

– Co oni tu robią? – spytała szeptem.

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Może to Larry ich zaprosił?

Twarz mamy rozluźniła się. Jeśli to Larry zaprosił Georgię i jej ekipę, to wszystko było w porządku. Gdybym zrobiła to ja, nie byłoby w porządku.

Do kuchni wszedł Larry. W jedną rękę chwycił korkociąg i trzy kieliszki, a w drugą dwie butelki wina od mamy. Jednocześnie pochylił się i pocałował ją w policzek.

Kiedy rodzice się rozwiedli, Larry miał dziewięć lat i przeżył to najgorzej. Mama robiła, co mogła, by, jak mówiła, „wynagrodzić to Larry'emu", ale rozpuszczanie niewiele mu pomogło. Jeśli już, te próby uczynienia jego życia łatwiejszym w krótkiej perspektywie uczyniły je trudniejszym w długiej. Miała ogromne poczucie winy za odebranie ojca swemu jedynemu synowi i nadmiernie to kompensowała.

Zerknęłam na zegarek. Bukowski miał pojawić się lada moment.

– Mogę ci z tym pomóc, Tracey? – zapytałam siostrę.

Wyciągnęła termometr do mięsa z kaczki i obejrzała go.

– Kaczka będzie gotowa najwcześniej za godzinę – powiedziała.

– Może powinnaś podkręcić temperaturę – zaproponowałam. – Upiecze się szybciej.

Roześmiała się, sądząc, że żartuję. Ale ja faktycznie nie wiedziałam prawie nic o gotowaniu. Sądziłam, że można coś upiec szybciej, jeśli podwyższy się moc pieca.

Moja siostra, Tracey

Spędziłam większość dnia z Tracey, więc byłam już mniej więcej na bieżąco z tym, co się działo w Albuquerque. Dała mi też już prezent bożonarodzeniowy – wspaniały, srebrny naszyjnik z turkusami oraz bransoletkę. Kupiła je w rezerwacie Indian. Powiedziała mi, że lubi swoją pracę i tamtejszych ludzi, a nawet samo Albuquerque. Ale mieszkając tak daleko, czuła się samotna i nie mogła się doczekać, aż dostanie robotę w Los Angeles. (Sześć lat później miała wrócić do Los Angeles, gdy dostała pracę przy słynnym zespole Loman i Barkley w radio KFI. W 1989 została

pierwszą kobietą z własnym programem w KFI: „Poranne TNT – *Poranny show Tracey Miller i Terri-Rae Elmer*").

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Kiedy weszłam do salonu, zobaczyłam Bukowskiego w otoczeniu Larry'ego, Billa i Georgii – wszyscy byli jego wielkimi fanami. Wszyscy gadali jeden przez drugiego. Nie sądzę, by Bukowski spodziewał się takiego przyjęcia. Wydawał się zagubiony i skonfundowany, jakby wysiadł z autobusu na złym przystanku.

Cóż, przynajmniej dzieciaki dobrze się bawiły. Stacey i dziewczynki Georgii, Maureen i Stephanie, bawiły się lalkami Stacey pod choinką, gdzie czekało też wiele prezentów. Póki nie nadszedł czas ich otwierania, dzieciaki nie zamierzały się stamtąd ruszać.

Kiedy wreszcie dotarłam do Bukowskiego, Larry już zdążył nalać mu wina i usadzić na tronie przed telewizorem.

– Mamo, jesteśmy głodne – powiedziała Stacey.

Wróciłam do kuchni, gdzie Tracey obierała ziemniaki. Zrobiła sałatkę (która była już wstawiona do lodówki) oraz zapiekankę z zielonej fasolki.

Tracey podchodziła do wszystkiego w dobrym humorze i bez narzekania. Była skarbem, cudem, najlepszą siostrą, jaką można mieć. Odziedziczyła też wszystkie talenty artystyczne. Obserwując siostrę i brata, szybko nauczyła się, czego w życiu nie należy robić. Choć byłyśmy kompletnymi przeciwieństwami, tak pod względem wyglądu, jak i temperamentu, trudno byłoby znaleźć dwójkę osób, które byłyby ze sobą bliżej. Była bystra, miła, piękna i skromna. Podziwiałam ją.

Ale teraz czułam się winna, że nie pomogłam bardziej w kuchni.

– Idź i pogadaj ze znajomymi – powiedziała. – Tu wszystko jest pod kontrolą.

– Gdzie mama? – zapytałam.

– Poszła do którejś ze swoich koleżanek.

Uznałam, że mama jest zła z powodu Georgii. Nie znosiła jej, uważała ją za dekadencką, zdegenerowaną narkomankę, która sprowadza mnie i Larry'ego na drogę ku zagładzie. Wielokrotnie ostrzegała nas oboje, żebyśmy się z nią nie zadawali, i była wściekła, że jej nie słuchaliśmy.

– Wróci?

– Mam nadzieję – powiedziała Tracey. – Kto zje całego tego kaczora?

– A to mi przypomina – powiedziałam. – Dzieci są głodne, kiedy będziemy jedli?

– Lepiej daj im jakieś krakersy czy co – odparła Tracey. – Minie jeszcze przynajmniej z godzina, nim ta kaczka będzie gotowa.

Przyglądałam się Tracey przez kilka chwil, a kiedy odwróciła wzrok, ja podkręciłam piekarnik ze 160 do 200 stopni. Uznałam, że kaczka upiecze się o wiele szybciej, a dzieci przecież nie najedzą się chipsami i krakersami.

Bukowski rzucił mi spojrzenie, które mówiło „na pomoc". Naprawdę nie znosił swoich fanów i nienawidził, gdy ludzie zabiegali o jego względy. Larry i Georgia próbowali się nawzajem przegadać, trajkocąc o różnych szczegółach zapamiętanych z książek Bukowskiego. Po tym, jak Georgia mu nadskakiwała, można by pomyśleć, że dopiero co go poznała. Przepraszająco wzruszyłam ramionami, po czym podeszłam i położyłam mu dłoń na ramieniu.

Tracey zrobiła sobie przerwę i dołączyła do nas w salonie. Przedstawiłam ją Bukowskiemu. Patrzył na nią przez, zdawałoby się, całą minutę, nim wreszcie powiedział:

– Miło mi cię poznać, Tracey.

Jak wspominałam wcześniej, dopóki był mniej więcej trzeźwy, zachowywał się bardzo uprzejmie.

Tracey i ja byłyśmy do siebie zupełnie niepodobne, ludzie nigdy nie wierzyli, że jesteśmy siostrami. W latach dziewięćdziesiątych nazywali nas Thelma i Louise, ze względu na jej podobieństwo do Geeny Davis i moje do Susan Sarandon.

Ale w roku 1975 Tracey była wysoką, ciemnowłosą, młodą kobietą o egzotycznej urodzie. Mężczyźni za nią szaleli. Przez lata otrzymała tuzin poważnych propozycji małżeństwa. Tego wieczoru Bukowski został porażony jej pięknem, czarem, wdziękiem i ciepłem.

Wtedy stało się coś, przez co wszyscy spojrzeliśmy w tę samą stronę. Kuchnia stała w płomieniach. Z piekarnika buchał ogień, a pomieszczenie wypełniało się dymem.

Bill i Larry wbiegli do kuchni, otwarli piekarnik i gasili kaczkę uderzeniami ręczników i szklankami wody.

– Święty panie na gumowym bananie! – krzyknęła Georgia.

Mama wróciła do domu w sam raz, by zobaczyć, jak przepadła nasza kolacja wigilijna.

– Dobry Boże, co się, do diabła, stało? Niech ktoś mi naleje wina! – powiedziała. Była abstynentką, więc uznałam, że naprawdę się zdenerwowała.

Spojrzałam na Bukowskiego. Uśmiechał się tak szeroko, że wyglądał jak z kreskówki. Uwielbiał tego rodzaju sytuacje – gdy wszystko się waliło, a na koniec ludzie stwierdzali: „jebać to".

– Jesteśmy głodne – powiedziały dziewczynki.

– Zamówmy pizzę – zaproponował Bukowski. – Ja stawiam.

– Chłopie, wszystko jest pozamykane – powiedział Larry.

– Zrobię wam kanapki z masłem orzechowym – powiedziałam dziewczynkom.

– Jak już będziesz je robić – powiedział Bukowski – sprawdź, czy nie macie czegoś więcej do picia.

Tego dnia było bardzo dużo picia. Dziewczynki poszły spać do pokoju Tracey, po czym zaczęliśmy pić naprawdę, nawet mama nie miała nic przeciwko. Co innego można zrobić w obliczu katastrofy?

Mamie przyjemnie rozmawiało się z Bukowskim. Naprawdę go polubiła… Powiedziała mi też, że ma on najsmutniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziała u człowieka.

Lata później przeczytałam w znakomitej biografii Bukowskiego autorstwa Howarda Sounesa, *Charles Bukowski. W ramionach szalonego życia*, że po wyjściu od nas wpadł do domu George'a DiCaprio. George jest ojcem słynnego aktora Leo DiCaprio, który wówczas miał zaledwie kilka miesięcy. George był dystrybutorem komiksów i często rozmawiał z Bukowskim, kiedy wpadali na siebie przy budce z kawą przy Zachodniej Alei.

Bukowski przed kolacją wigilijną u Millerów (zdjęcie dzięki uprzejmości Pameli Wood).

Nigdy nie poznałam DiCapriów, choć mieszkali zaledwie parę przecznic od naszego bungalowu przy Carlton Way, niedaleko skrzyżowania Bulwaru Hollywoodzkiego i Zachodniej Alei. Wedle wszelkich zeznań Bukowski był bardzo pijany, gdy pojawił się pod drzwiami George'a i zrobił niezłą scenę. Nie zaskoczyło mnie to w ogóle, biorąc pod uwagę, ile tego dnia wypił. Nigdy też mi o tym nie wspomniał. To też mnie nie zaskoczyło.

10
DZIESIĘĆ

Potrzebowałam pomocy i czułam, że pod mądrym przewodnictwem Bukowskiego mogę odnaleźć drogę.

Kiedy wróciłam na stancję kilka dni później, zastałam właścicielkę, panią Walters, grzebiącą w moich rzeczach.

– Co pani, u diabła, wyrabia?! – wykrzyknęłam. – Mówiłam, że wyprowadzę się do końca miesiąca.

Pani Walters podniosła stertę rzeczy z łóżka i ruszyła do wyjścia. Były tam książki, nagrania, apaszki, perfumy, a na samym szczycie biżuteria, którą dostałam od Tracey na święta. Sięgnęłam po naszyjnik, ale pani Walters zanurkowała pod moim ramieniem i pobiegła do drzwi.

– Wisisz mi zaległy czynsz – powiedziała. – Mam prawo to zabrać.

Kiedy wyszła, miałam ochotę płakać. A co, jeśli ta biżuteria była pamiątką rodzinną? Cóż, to by tylko pogorszyło sprawę, a ja bym i tak ją straciła, pomyślałam.

Miałam kompletnie dość biedy, dość martwienia się o czynsz, dość harówki, dość uczucia, że nie panuję nad swoim życiem.

W następnym tygodniu Bukowski wpadł do Alpine Inn. Zbliżał się koniec miesiąca i Roz miała akurat wolne, więc miałam cały bar dla siebie. Nalałam piwa i postawiłam przed nim kufel.

– Dzięki, Ruda – powiedział.

Po czym zapytał, czy Tracey wróciła do Albuquerque. Dzień po świętach poszliśmy we trójkę do baru z pianinem w Hollywood, zwanego Sneak Inn, gdzie Tracey śpiewała piosenki Patsy Cline głosem niemal tak dobrym jak oryginał. Świetnie się bawiliśmy i widziałam, że Bukowski podziwia Tracey prawie tak bardzo jak ja. Osiem miesięcy później, kiedy jechałam do Albuquerque odwiedzić Tracey, Bukowski podpisał kopię *Scarlet* i poprosił, bym ją jej dała. Było tam napisane: „Dla Tracey – nigdy nie zapomnę wieczoru, gdy Pam, ty i ja piliśmy razem przez chwilę. W tamtej chwili, tamtej nocy, byłaś najpiękniejszą żeńską istotą, jaką widziałem. Nadal cię taką pamiętam. Z miłością, Charles Bukowski".

Rita, właścicielka, wśliznęła się za bar i szepnęła mi do ucha:

– Muszę z tobą porozmawiać.

Zerknęłam na Bukowskiego, przeprosiłam i poszłam z Ritą do kuchni. Wiedziałam, co się święci.

Zdjęcie zrobione w Alpine Inn przez Charlesa Bukowskiego.

– Pam, przykro mi – powiedziała – ale musimy cię zwolnić.

Nie pytałam o powody, a ona żadnych nie podała. Tak czy siak, nie chciałam wiedzieć. Mogłam pójść na zasiłek! Hura! Osiemdziesiąt dolarów tygodniowo to prawie tyle samo, co zarabiałam, robiąc pięć śmierdzących szycht w tygodniu.

Kiedy wróciłam do baru, powiedziałam Bukowskiemu, co zaszło.

– Musisz zwracać uniform? – zapytał, wskazując na mój dirndl.

– Chyba tak – powiedziałam. – Ale nie mam w czym innym pójść do domu.

– Poczekaj sekundę – powiedział, po czym wstał i wyszedł.

Chwilę później wrócił, niosąc aparat.

– Muszę mieć zdjęcie, by to zapamiętać – stwierdził.

Machnął na mnie, bym stanęła na tle rustykalnej ściany.

– Powiedz „wolność" – zakomenderował.

Uśmiechnęłam się i poczułam, jak naprawdę się rozpromieniam. Na jakiś czas koniec z pracą!

Kiedy zdjęcie zostało wywołane, Bukowski mi je pokazał. Był tam szczęśliwy rudzielec w dirndlu.

Po tym, jak Bukowski zmarł w 1994 roku, jednego z jego przyjaciół poproszono, by przejrzał część jego rzeczy – tych, które uznano za drugorzędne. W czasie przeszukiwania znalazło się to moje zdjęcie w dirndlu z 1975. Bukowski na tyle się do niego przywiązał, by trzymać je przez ponad dwie dekady.

Parę dni po Nowym Roku Bukowski pomógł mi wprowadzić się do nowego mieszkania przy Carlton Way. Była to obszerna kawalerka z chowanym w ścianie łóżkiem. Była na piętrze, zaraz przy jego własnym bungalowie. Z salonu wychodziło się

na mały balkon, z którego mogłam zajrzeć mu przez okno i patrzeć, jak pisze przy kuchennym stole.

Miałam zacząć rok w nowym mieszkaniu, z nowym facetem i bez pracy. Uznałam, że wszystko było na miejscu, więc mogłam się pozbierać i wymyślić, co zrobić ze swoim życiem.

Wejście na posesję przy Carlton Way, gdzie Bukowski mieszkał przez kilka lat. Później miałam wynająć tam drugie mieszkanie, gdzie wprowadziłam się ze Stacey. (Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta).

11
JEDENAŚCIE

Georgia była kompletnie rozpuszczona, nigdy nie pracowała ani nie musiała się o nic starać. Zwyczajnie skłaniała innych, by się nią zajmowali, bawili ją, rozpieszczali i wozili po mieście.

Rok 1976 miał okazać się nieustanną imprezą. Ameryka świętowała dwóchsetlecie niepodległości, a ja świętowałam własną niepodległość od codziennej harówki.

Powiedziałam sobie, że kiedy już się zadomowię na nowym miejscu, sprowadzę tam Stacey na stałe, choć nie było to najlepsze środowisko do wychowywania dziecka. Aktualnie wciąż zawoziłam ją po szkole do mamy i odbierałam rano. Czułam, że postępuję właściwie, trzymając ją w bardziej stabilnej atmosferze, zapewnianej przez babcię. Kiedy nie byłam ze Stacey, przez resztę dnia robiłam z Bukowskim to, co robią ludzie, którzy się wzajemnie poznają.

W styczniu 1976 roku rozpoczęliśmy z Bukowskim rok w wielkim stylu. Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. Chodziliśmy pić, piliśmy w domu, uprawialiśmy seks, wychodziliśmy do restauracji, na mecze bokserskie i wyścigi. Czasami nie spaliśmy całą noc, rozmawiając. Czasami on nie spał całą noc, pisząc, a ja oglądałam telewizję w sypialni.

Styczeń był miesiącem błogiej zgody. Dawaliśmy sobie nawzajem szczęście. Dawaliśmy sobie radość.

W połowie miesiąca Bukowski musiał lecieć do Chicago na odczyt poezji. Choć byłam bezrobotna, zajmowałam sobie czas dekorowaniem nowego mieszkania, odwiedzaniem Georgii i załatwianiem drobnych spraw.

Przynajmniej raz w tygodniu Georgia dzwoniła, bym podwiozła ją tam czy siam – zwykle do biura opieki społecznej albo do „znajomego", żeby „coś" odebrać. Zbierała paręset dolarów na miesiąc z pomocy społecznej i większość tych pieniędzy szła na narkotyki. Jej rezydentny chłopak, Bill, ciężko pracował i pilnował, by jej czynsz i rachunki były zawsze opłacone na czas. Wydawało się też, że dobrze opiekuje się jej córeczkami.

Georgia miała prawdziwe szczęście, że znalazła Billa, ale albo nie zdawała sobie z tego sprawy, albo nie dawała tego po sobie poznać. Bill był dobrym facetem – miłym, uczynnym i przystojnym – a także absolutnie ubóstwiał Georgię. Był dla mnie enigmą; nigdy nie zrozumiałam w pełni, co takiego w niej go pociąga. Pewnie, miała unikalną osobowość, ale kto by chciał brać na siebie brzemię, które się z nią wiązało? Co by tam między nimi nie było, wydawało się działać. Mieli pozostać razem przez kilka lat.

Kiedy zatrzymałam się pod domem Georgii, ta wystawiła głowę przez drzwi i krzyknęła:

– Jeszcze sekundę.

Uznałam, że będę mieć szczęście, jeśli uwinie się w dziesięć minut. Zapaliłam papierosa i włączyłam radio, zmieniając stacje, aż usłyszałam *Bungle in the Jungle* Jethro Tull. Śpiewałam razem z nimi, paląc i postukując w kierownicę. Kiedy piosenka dobiegła końca, zgasiłam papierosa i zapaliłam następnego. Z kieszeni dżinsów wzięłam tabletkę – wsadziłam ją tam na wypadek, gdyby okazała się potrzebna. Teraz naprawdę jej potrzebowałam. Włożyłam ją w usta

i połknęłam na sucho. Przełączałam stacje, aż złapałam *One of these Nights* Eaglesów. Piosenka miała się już ku końcowi, ale była jedną z moich ulubionych. Kiedy tak śpiewałam, paliłam i bębniłam w kierownicę, nakładałam sobie tusz na rzęsy, przeglądając się w lusterku wstecznym. Piosenka się skończyła, więc kręciłam potencjometrem, aż złapałam *Lady Marmalade* Patti LaBelle. Szykowałam się do śpiewania, włączając w to partie po francusku, ale wtedy do wozu wskoczyła Georgia.

– Jezo Chrysto – powiedziałam – co ci tyle zajęło?

Obejrzałam się na nią. Nie wyglądała za dobrze. Dygotała i ciekło jej z nosa.

– Masz grypę? Jak jesteś chora, to jedźmy do lekarza – powiedziałam. – Do pomocy społecznej możemy pojechać jutro.

– Muszę być tam dzisiaj albo nie dostanę jebanego czeku za ten miesiąc – odparła. – Dawaj, jedziemy.

Nie odzywała się, gdy jechałyśmy wzdłuż Bulwaru Hollywoodzkiego. W ręku ściskała jakąś książkę.

– Co czytasz? – zapytałam, przerywając ciszę.

– *I kowbojki mogą płakać*.

– Dobre to? – spytałam.

– Tak, naprawdę zajebiste, a teraz jedź, proszę. Jesteś błyskotliwą rozmówczynią, ale nie mam teraz ochoty gadać, dobra?

To była cała Georgia. Choć to ty wyświadczałaś jej przysługę, ona zachowywała się, jakby spotykał cię zaszczyt. Postanowiłam darować sobie pogaduszki i mieć to jak najszybciej z głowy.

Kiedy dotarłyśmy do biura pomocy, zaparkowałam w poprzek i czekałam, aż Georgia wysiądzie.

– Nie idziesz? – zapytała.

– Mam parę spraw do załatwienia. Zanim dotrzesz do okienka, zdążę wrócić.

– Powinnaś wejść i zobaczyć, jaki numerek dostanę – powiedziała. – Może przyjmą mnie od razu.

– Zawsze musisz czekać.

– Nie chcę czekać, aż przyjedziesz – powiedziała. – Chcę wracać do domu i uderzyć w kimono.

– Mam wizytę u lekarza, a poza tym nie ma tu gdzie zaparkować. Masz książkę, poczytasz sobie. Zaraz będę z powrotem, nie świruj.

Chciałam sprawdzić jednego lekarza przy bulwarze Santa Monica. Przyjmował bez rejestracji, a ja potrzebowałam nowej recepty. Przybył mi kilogram, odkąd straciłam pracę, i chciałam sobie to załatwić, na wszelki wypadek. Wiedziałam, że Georgia ma masę rozweselaczy, ale nie mogłabym się zmusić do brania tego świństwa z brudnej wanny, które teraz kupowała. Na samą myśl robiło mi się niedobrze, martwiłam się.

– Lepiej chodź ze mną, Pam – powiedziała Georgia. – Po tych wszystkich przysługach, które dla ciebie zrobiłam.

Jeśli już, to było odwrotnie; zawsze ja ją zabawiałam, woziłam, pożyczałam pieniądze, kupowałam żarcie i zabierałam do baru.

– O jakich to niby przysługach mówisz? – zapytałam.

– Wczoraj dałam Larry'emu połowę swojego zapasu, żeby mógł odlecieć – powiedziała. – A teraz jestem na głodzie.

– I to niby była przysługa dla mnie? – odparłam.

Nie chciałam dać po sobie poznać, że nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby mój brat brał heroinę. Teraz miałam też pewność, że ona to bierze.

– Powiedział, że mi oddasz – kontynuowała Georgia. – Wisisz mi dwadzieścia dolców.

Wiedziałam, że Larry i Georgia są blisko, ale nie sądziłam, że aż tak.

Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że może już czas uwolnić się od Georgii. Chciałam zacząć na nowo w swym nowym mieszkaniu, z nowym facetem i nowo odkrytą wolnością od pracy. Byłam gotowa zerwać więzi z Georgią i bratem.

– Nie mam czasu, żeby tam z tobą siedzieć, Georgio – powiedziałam. – Chyba będziesz wracać do domu autobusem.

– Autobusem?! – wrzasnęła tonem, którym kobiety krzyczą: „gwałcą!".

Georgia była kompletnie rozpuszczona, nigdy nie pracowała ani nie musiała się o nic starać. Zwyczajnie skłaniała innych, by się nią zajmowali, bawili ją, rozpieszczali i wozili po mieście. Zapewne mogłabym okazać więcej zrozumienia względem problemów psychicznych, które ją doprowadziły do tego stanu, ale miałam swoje własne i zaczynałam mieć jej dość. Zmierzała w tym samym kierunku, gdzie większość narkomanów – kompletne samolubstwo i manipulowanie innymi.

– Chcę moją kasę – powiedziała, otwierając drzwi.

– Niech Larry ci da! – odparłam.

Wysiadła i trzasnęła drzwiami. Po czym, kiedy odjeżdżałam, spróbowała kopnąć w samochód. W lusterku widziałam, jak jeden z jej koturnów leci na środek Bulwaru Hollywoodzkiego. Musiała kuśtykać przez ulicę, przemykając między samochodami, by odzyskać swój but. Była to żałosna scena, ale ja nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Wydałam ostatnie sześćdziesiąt dolarów, by pozyskać tabletki – pięćdziesiąt za wizytę i dziesięć za receptę. Zawierała ona dwa straszne słowa: Bez uzupełnień.

Poprosiłam lekarza, żeby przepisał mi dexedrinę. Kongres zmienił klasyfikację tego leku na grupę drugą w 1971 roku, co

sprawiło, że jego zdobycie stało się trudniejsze, lecz wciąż możliwe. Doktorzy wahali się z przepisywaniem go, dopóki nie było to absolutnie niezbędne. Ale wciąż zdarzali się skorumpowani lekarze, którzy przepisywali go za odpłatą. A my znaliśmy ich wszystkich. Nie było w tamtych czasach komputerów, więc można było zrealizować receptę kilkakrotnie, bez obawy wpadki, jeśli zmieniało się apteki. Udało mi się zdobyć pigułki i podjechać pod Georgię w sam raz, by zabrać ją do domu.

Kiedy kilka dni później wrócił Bukowski, byliśmy oboje na swój widok. Od razu chciał iść do łóżka.

– Jak było w Chicago?

– Jak w piekle – powiedział. – Zimno i śnieżnie.

– Myślałam, że w piekle jest gorąco i ogniście.

– Ja też tak myślałem – odparł – dopóki nie doświadczyłem stycznia w Chicago.

Było około trzeciej po południu, zostało tylko parę godzin dnia. Chciałam wyjść gdzieś, coś zrobić. Ale zrozumiałam, że to ostatnie, czego on pragnie po tej wyprawie. Pomyślałam, że jeśli poczuje do mnie litość, to może się zgodzi. Skrzywiłam się i wydęłam usta.

– Co się stało? – zapytał, zapadając się w prążkowany fotel.

– Jestem głodna – powiedziałam, siadając mu na kolanach. – Chodźmy na miasto coś zjeść.

– Zrób sobie jajecznicę – odparł.

– Jadłam jajka, odkąd wyjechałeś – powiedziałam.

Skoczyłam w górę i zaczęłam kiwać się i podrygiwać wokół, machając rękami jak idiotka. Zrobiłam parę piruetów i powiedziałam:

– Hank, patrz, jak odstawiam głodującego Fajnego Kurczaka.

Tańczyłam w kółko jak obłąkana, śpiewając i wymyślając słowa do piosenki:

– Jestem głodny, głody, fajny, fajny kur-kur-kur-czuk.

Zaczął się śmiać do rozpuku. Śmiech dosłownie wytaczał się z niego. Zachowywałam się tak głupio, że było to zabawne.

– Jesteś szalona, Ruda.

– Chodźmy coś zjeść, proszę – zamruczałam, znów siadając mu na kolanach.

– Dobra – odparł. – Chodźmy się przejść.

– Dokąd?

– Pioneer Chicken.

– Nie! Nie! Nie! – odparłam. – Chcę iść do…

Zanim powiedziałam „Musso", głowa Bukowskiego stoczyła mu się na pierś i zaczął chrapać. Spał mocno, zapadłszy się w swój prążkowany tron. Postanowiłam, że dam mu pospać. Przykryłam go kocem, po czym poszłam do kuchni i zrobiłam sobie jajecznicę.

Zbudził się w fotelu parę godzin później. Leżałam w łóżku, oglądając wiadomości. Przyszedł i położył się obok. Odbyliśmy krótką, ale słodką sesyjkę, i znów zasnął, obejmując mnie w talii.

Następnego ranka sięgnęłam pod łóżko, szukając paczki papierosów. Moja dłoń opadła na stertę papierów. Chwyciłam parę kartek i wyciągnęłam je. Były to akwarele, namalowane na papierze pakowym z recyklingu. Proste, barwne obrazki wydały mi się czarujące. Zastanawiałam się, kto je namalował. Na pierwszy rzut oka uznałam, że może jego córka.

W tym samym momencie do sypialni wszedł Bukowski z piwem w jednej dłoni i ugotowanym na twardo, posypanym solą jajkiem w drugiej.

– Co robisz? – zapytał.

– Patrz, co znalazłam pod twoim łóżkiem.

– Są do niczego – powiedział, odgryzając kawał jajka.

– Ty je namalowałeś?

Skinął głową, po czym wzruszył ramionami.

– Nigdy nie widziałam, żebyś malował.

– A kto by chciał malować, kiedy ty jesteś w pobliżu?

Stwierdziłam, że obrazki są przeurocze. Były kapryśne, jak spod ręki dziecka. Na jednym była wielka, niebieska twarz, która wyglądała jak maska; na drugim był mężczyzna obrysowany czernią i z aniołem lecącym obok. Na jeszcze innym była zielona twarz obrysowana czerwienią, a za nią czerwona twarz obrysowana zielenią. Rozłożyłam obrazki na materacu wokół siebie, po czym sięgnęłam pod łóżko po więcej.

– Zostaw je tam, gdzie były – powiedział Bukowski.

– Nie możesz trzymać malunków pod łóżkiem.

– Są szmatławe. Tam jest ich miejsce.

– Nie chcesz ich?

– Nie bardzo.

– Cóż, skoro ty ich nie chcesz – powiedziałam – to teraz są moje.

Położyłam wszystkie obrazki na stercie na czubku głowy, wstałam z podłogi, po czym na bosaka podeszłam do drzwi.

Bukowski włożył do ust ostatni kawałek jajka i popił piwem. Patrzył, jak podchodzę do drzwi, i roześmiał się. Chyba myślał, że tylko się wygłupiam. Kiedy otwarłam drzwi, musiał zdać sobie sprawę, że nie żartuję.

– Wróć – zawołał pomiędzy wybuchami śmiechu.

– To mnie złap – powiedziałam, wybiegając przez drzwi, a potem wzdłuż ścieżki, w stronę mojego mieszkania.

Obróciłam się i zobaczyłam, że stoi na ganku, wciąż się śmiejąc. Tego dnia padało i pośliznęłam się na schodach, kiedy wspinałam się do drzwi. Usłyszałam głośny rechot.

Uznał, że było to komiczne. Nie zwróciłam mu malunków, a on nigdy się nie upomniał.

12
DWANAŚCIE

Wyglądało na to, że mnie uwielbia, i uwielbia też, gdy ludzie widzą nas razem.

Bukowski nienawidził podróżować, nie znosił przebywać gdziekolwiek indziej niż w L.A. Kiedy wrócił z Chicago, popadliśmy w codzienną rutynę. Dzień zwykle zaczynał się od kaca Bukowskiego.

Pierwsze, co robił po obudzeniu, to wymiotował. Zajmowało mu to jakieś dziesięć minut, po czym kierował się do kuchni, wypijał piwo i próbował utrzymać je w żołądku. Zwykle mu się nie udawało i wracał do łazienki je zwrócić. Po czym znów szedł do kuchni i pił następne piwo. Jeśli miał szczęście, tym razem powstrzymywał wymioty i dzień mógł się rozpocząć.

Choć mieszkanie Bukowskiego było brudnym chlewem, on sam utrzymywał całkiem dobrą higienę osobistą. Z rana zwykle brał gorący prysznic i wracał do łóżka. Czasem kochaliśmy się. Czasem leżeliśmy w łóżku, przytulając się i rozmawiając.

Bukowski był świetnym gawędziarzem i wydawał się posiadać nieskończony zasób opowieści. Rzadko się powtarzał i zwykle pamiętał, czy opowiadał już daną historię. Raczył mnie ciekawymi opowieściami, jak ta o kobiecie, która straciła męża i kazała skremować jego ciało. Na szyi nosiła medalion z jego prochami. Przy każdym posiłku otwierała medalion i posypywała jedzenie szczyptą prochów, niczym solą. To był

jej sposób na pozostanie z nim jednością. Bukowski nigdy nie zdradził mi nazwiska tej kobiety, ale lata później dowiedziałam się, że była to Gypsy Lou Webb, współzałożycielka Loujon Press w Luizjanie. Razem z mężem opublikowali dwa pięknie zdobione tomiki poezji Bukowskiego, *Co chwyta me serce w dłonie* oraz *Krucyfiks w ręku śmierci*. Był to moment zwrotny w jego karierze. Przed poznaniem Webbów publikowano go głównie w niszowej, niskonakładowej prasie. Te dwie książki zawierały wyłącznie jego utwory, co dało mu dodatkową wiarygodność jako prawdziwego pisarza.

Opowiedział mi też interesującą historię o przepięknej młodej kobiecie, która zarabiała na życie jako prostytutka. Często bawiła w pewnym barze, którego Bukowski był stałym bywalcem. Choć była niezwykle urodziwa, była też okropnie nieszczęśliwa. Pewnego dnia usiadła przy barze obok Bukowskiego. Zamówiła drinka, po czym wyjęła brzytwę. Ku przerażeniu obecnych zaczęła ciąć się po twarzy. Kilka dni później powiedziano mu, że popełniła samobójstwo. Ewidentnie stało się to podstawą jego opowiadania *Najpiękniejsza dziewczyna w mieście.* Uznałam, że to prawdziwa historia, bowiem był nią ewidentnie poruszony.

Kilka tematów poruszył częściej niż raz. Głównym powracającym tematem była Jane, jego pierwsza miłość oraz inspiracja do scenariusza *Ćmy barowej*. Zapiła się na śmierć. Raz po raz mówił mi o poczuciu winy, które go dręczy, bo na końcu zostawił ją samą. Szczerze ją kochał i miał wiele pięknych wspomnień z czasów, gdy byli razem. Ale nie mógł sobie wybaczyć tego, jak umarła. Jane kochała go, zanim narodził się „Charles Bukowski", i na zawsze miała pozostać w jego sercu.

Inny temat, który powrócił więcej niż raz, to jego rozwód z Barbarą Frye. Nie mógł uwierzyć, że rozwiodła się z nim

z powodu jego „mentalnego znęcania się". Nie wydawał się przejmować samym rozwodem. To jego powody nie dawały mu spokoju. Trzymał papiery rozwodowe w górnej szufladzie biurka. Wyciągał je i przeglądał, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Spójrz na ten dokument – mówił, podając mi papiery. – Znasz mnie, jestem łagodnym facetem. Jak mogła mnie oskarżyć o coś takiego?

Naprawdę go to gryzło.

Kolejnym powracającym tematem był jego ojciec. Choć odmawiał rozmów o matce, ojciec był niekończącym się źródłem psychicznej męki, problemem, którego nie umiał rozwiązać. Opowiadał mi o wszystkich irracjonalnych fizycznych i psychicznych torturach, jakim ojciec go poddawał, gdy Bukowski był małym chłopcem i później, aż do wieku nastoletniego. Wedle wszystkich znaków jego ojciec był okrutnym, sadystycznym nędznikiem. Oraz, o ironio, zapewne największą siłą napędową jego talentu, choć podejrzewam, że Bukowski chętnie porzuciłby sławę w zamian za szczęśliwe dzieciństwo.

Kiedy pytałam o matkę, wzdychał tylko rzewnie i mówił: „Nie mam o niej nic do powiedzenia". Przeczuwałam, że była kochająca i opiekuńcza. Była sama w obcym kraju, z mężem potworem, a Bukowski był jej jedynym dzieckiem. Choć doświadczył niesamowitych emocjonalnych i fizycznych katuszy, najpierw ze strony ojca, a potem, z powodu nietypowego wyglądu, ze strony płytkiego i pełnego uprzedzeń społeczeństwa, nadal zachował bardzo zdrowe ego. Czułam, że w młodości ktoś dał mu wsparcie duchowe i poczucie własnej wartości. Uważam, że była to jego matka. Z tej odrobiny, której udało mi się dowiedzieć na jej temat, wydawała się łagodną, wyrafinowaną kobietą, i to zapewne ona nauczyła go cenić

muzykę klasyczną. Ale nie potrafił jej nigdy wybaczyć, że, kierowana instynktem przetrwania, brała stronę jego ojca, pasywnie przyglądając się, jak ten go katował. Bukowski próbował to bagatelizować, ale jego rozczarowanie ową, w jego mniemaniu, zdradą, było ewidentne.

O córce Marinie mówił z miłością i dumą. Często powtarzał, jaka jest bystra i piękna, i jakim wspaniałym jest dzieckiem. Nie jestem pewna, jak często spotykał się z Mariną, ale miałam wrażenie, że raz na kilka tygodni. Czasami opowiadał o tych wizytach po powrocie i nie mógł wprost się nagadać, jaka była niesamowita. Marina nigdy nie odwiedziła mieszkania Bukowskiego, przynajmniej nie za moich czasów, i nigdy nie miałam przyjemności jej poznać. Choć nie mówił często o jej matce, Frances, to zawsze robił to z szacunkiem. Jego miłość i szacunek do obydwu były niewątpliwe.

Bukowski poznał moją córkę Stacey. Był wobec niej serdeczny, chociaż nie przesadnie przyjacielski. Czasem robił się zniecierpliwiony obecnością małej, kiedy próbował uwodzić jej matkę. Czasami przypominał mi W.C. Fieldsa, próbującego poradzić sobie z denerwującym dzieckiem: „Hej, mała, jesteś urocza, ale wchodzisz mi w paradę". Ale przeważnie był wobec niej bardzo miły. Byłam dumna ze Stacey i chociaż czasami dziwnie to okazywałam, to kochałam ją z całego serca. Pomimo nietypowej matki i stylu życia, była dzieckiem idealnym pod każdym względem – bystra, piękna, urocza, słodka, posłuszna i grzeczna. W szkole nawet trafiła do programu dla utalentowanych dzieci. Wiedziałam, że to uśmiech losu, mieć tak cudowne, doskonale – zdawałoby się – przystosowane dziecko.

Gdy wstaliśmy z łóżka, Bukowski zwykle zjadał kilka jajek na twardo i popijał je paroma piwami. Co jakiś czas chodziliśmy na kanapki z serem i stekiem do Philly, na rogu

Bulwaru Hollywoodzkiego. Bukowski uważał, że leczą mu one kaca.

Bukowski rzadko pomijał posiłki – jeden z powodów, dla których, jak sądzę, był w stanie tak dobrze funkcjonować pomimo alkoholizmu. Nie znosiłam gotować, Bukowski podobnie. Na kolację braliśmy często coś na wynos, robiliśmy kanapki albo szliśmy do restauracji. Moją ulubioną była Musso & Frank przy Bulwarze Hollywoodzkim. Myślę, że to ja pierwsza zapoznałam go z tą restauracją. Miała ona się stać jednym z jego ulubionych miejsc, by coś zjeść i wypić.

Siedzi: Manny Felix, stoi: Craig Vallone
Zapoznałam Hanka z Musso & Frank. Miała się stać jedną z jego ulubionych restauracji. Powyżej widać stolik, przy którym siadywaliśmy z Hankiem – ostatni po lewej, jeśli wchodzić od frontu. Manny Felix pracował w Musso & Frank od 1974 roku i zna wiele opowieści o Bukowskim i jego wizytach w tej restauracji.
(©Taylor Brittenham)

Pewnego popołudnia byliśmy na mieście, załatwiając różne sprawy przy Bulwarze Hollywoodzkim, co Hank robił często (zapewne szliśmy do apteki). Oboje byliśmy głodni, więc zasugerowałam, byśmy zjedli lunch w Musso & Frank Grill,

która mieściła się niedaleko, przy tej samej ulicy. Bob, mój były chłopak, ten scenarzysta, często mnie tam zabierał. Był to dobrze znany punkt spotkań pisarzy, bowiem Gildia Pisarzy mieściła się tuż za rogiem, przy alei Cherokee. Bałam się, że Bukowski nie będzie się tam czuł komfortowo, bo restauracja była raczej wytworna. Był bardzo nieśmiałym mężczyzną i nie znosił bywać w miejscach publicznych, zwłaszcza tam, gdzie spodziewano się przestrzegania etykiety. Wciąż byłam niepewna, jak zareaguje, gdy przeszliśmy przez drzwi i od razu wskazano nam stolik. Usiedliśmy przy ostatnim, na końcu pierwszego szeregu boksów na lewo od wejścia. Bukowski rozejrzał się i choć była to elegancka restauracja z kelnerami w białych koszulach z muchą i czarnych spodniach, miała ciepłą, przytulną atmosferę, przypominającą staromodny klub dżentelmeński, z mnóstwem ciemnego drewna i wygodnymi kanapami z czerwonej skóry. Oczekiwałam jego reakcji, spodziewając się, że rzuci jakąś negatywną uwagę. Ku mojemu zaskoczeniu wyglądał, jakby bardzo mu się tam podobało.

Następnie opowiedziałam mu historię tego miejsca i że było ono ulubionym lokalem wielu wielkich pisarzy. Wydawał się zachwycony – kolejna reakcja, której się nie spodziewałam. Po czym kompletnie zwalił mnie z nóg, zamawiając płastugę u kelnera, który pojawił się przy naszym stoliku. Płastuga! Nigdy wcześniej nie słyszałam o takiej rybie. Brzmiało to jak coś, co zamówiłby arystokrata. Emanował aurą wyrafinowania, której nigdy wcześniej u niego nie widziałam ani nie mogłam podejrzewać na podstawie naszego dotychczasowego związku. Wydawał się nietypowo rozluźniony. Byłam szczęśliwa.

Zanim skończyliśmy jeść, zamówiliśmy parę butelek wina. Zaczęłam mu opowiadać, jak zawsze fantazjowałam, że ta

restauracja jest zachodnią wersją Algonquin Club w Nowym Jorku. Udawałam, że należymy do „Błędnego Koła". Ja byłam Dorothy Parker, a on Raymondem Chandlerem, a może Hemingwayem[1].

– A co powiesz, żebym był Charlesem Bukowskim? – zasugerował.

Kiedy akurat nie wychodziliśmy na miasto, żeby kupić żarcie na wynos, zrealizować receptę czy zanieść jego ubrania i pościel do chińskiej pralni, zwyczajnie siedzieliśmy u niego w domu i piliśmy. Oboje byliśmy niezbyt towarzyscy i nie przejmowaliśmy się za bardzo światem na zewnątrz. Byliśmy zadowoleni, po prostu będąc razem. Czasami wyprawialiśmy się do baru, na przykład Frolic Room, gdzie piliśmy i graliśmy w bilard (byłam o wiele lepszym graczem od niego). Albo szliśmy na tor wyścigów konnych (gdzie się zawsze gubiłam) w Hollywood Park lub Santa Anita.

Inną formą rozrywki lubianą przez Bukowskiego były pojedynki bokserskie. Nie byłam wielką fanką, ale zainteresowałam się nieco tym sportem w latach sześćdziesiątych, kiedy na scenie pojawił się charyzmatyczny Muhammad Ali, znany wówczas jako Cassius Clay. Uwielbiałam oglądać jego walki. Poza ringiem też był świetnym performerem.

Gdy Bukowski po raz pierwszy zabrał mnie do Wielkiego Audytorium Olimpijskiego, nie wiedziałam, czego mam się spodziewać. Sądziłam, że idziemy do jakiejś małej, spartańskiej sali treningowej gdzieś po wschodniej stronie. Zamiast tego pojechaliśmy do centrum i zatrzymaliśmy się przed gigantyczną strukturą, która skojarzyła mi się z grecką świątynią. Bukowski poinformował mnie, że zbudowano ją na Letnie Igrzyska Olimpijskie 1932 i stąd taka nazwa.

Gdy weszliśmy do audytorium, miałam wrażenie, jakby spoczęły na mnie tysiące spojrzeń. Mężczyźni wyli, pokrzykiwali, ryczeli, gwizdali, tupali, klaskali i bili w siedzenia. Z początku nie wiedziałam, co się dzieje. Rozglądałam się bez przerwy, by zobaczyć, czy nie stoi za mną jakaś gwiazda pokroju Warrena Beatty'ego czy Faye Dunaway.

Gdy zrozumiałam, że to całe przedstawienie jest dla mnie, moja twarz przybrała piękny odcień czerwieni, pasujący do włosów. Miałam ochotę wleźć pod któreś z siedzeń. Nie wydawało mi się, żeby moje ubranie było szczególnie seksowne – moje zwyczajne dżinsy, obcasy, wycięty top i grzeczna kurteczka. Bukowski wydawał się pławić w tym szaleństwie, nakręcając widzów, unosząc ramiona jak dyrygent. Uśmiechał się tak szeroko, że policzki przysłoniły mu oczy. Później zrozumiałam, że uwielbiał pokazywać się publicznie z atrakcyjną kobietą u boku – mile łechtało to jego ego i potwierdzało jego wizerunek wielkiego kochanka. Nigdy nie uważałam się za powalającą piękność, ale tego dnia czułam się jak ktoś taki.

Jeśli chodzi o same walki, żadnej nie widziałam na własne oczy. Nie lubię przemocy wszelkiego rodzaju i przy każdym celnym ciosie czułam się słabo. Zamykałam oczy, ale nadal słyszałam, jak zawodnicy okładają się nawzajem. Rozumiałam, czemu Bukowski lubi ten sport. Była to najczystsza forma walki o przetrwanie. Była to dwudziestowieczna wersja rzymskich gladiatorów, jedyna różnica była taka, że (przeważnie) nie było ofiar śmiertelnych.

Później mówił mi, jak uwielbia prawdziwość i bezpośredniość tego sportu. Dwóch mężczyzn wchodziło na ring i nie było wiadomo, co się stanie, nim zabrzmiał gong. Z każdym ruchem, ciosem z lewej czy z prawej, odmieniał się bieg walki. Trzeba było uważać. Obserwować. Nie można było dać myślom

odpłynąć. Trzeba było być tu i teraz. Dla Bukowskiego boks wydawał się być formą zen, ćwiczeniem z życia chwilą obecną.

Myślę, że lubił też pierwotny aspekt tego sportu. Rzucają cię na ring, a ty próbujesz przeżyć – tańcząc wokoło, wieszając się na linach, zadając ciosy, ale nie poddając się, póki nie padniesz na deski i nie skończą odliczać. Tak właśnie żył Bukowski. Była to walka, pełna niepewności, bólu i cierpienia, a jeśli miałeś szczęście, udawało się przeżyć kilka upajających chwil, serię perfekcyjnych trafień, która sprawiała, że było warto.

Był to krwawy pojedynek, lecz wyrównany – każdy z zawodników dawał z siebie wszystko. Pomiędzy rundami patrzyłam na ich twarze. Obaj wydawali się oszołomieni, jakby zastanawiali się, jak tu trafili, pokryci rozbryzgami krwi na twarzach i spodenkach.

Obróciłam się do Bukowskiego i powiedziałam:

– Wyraz twarzy tych biednych facetów pomiędzy rundami boli mnie bardziej niż przemoc. Wydają się tacy zagubieni i żałośni.

Ścisnął mnie za dłoń i powiedział:

– Seksowna i czuła… Nienawidzę tego u kobiet.

Kiedy wychodziliśmy, żegnała nas znów wrzawa tłumu – przeważnie facetów z klasy robotniczej, wyglądających, jakby sami brali udział w niejednej walce. Bukowski trzymał mnie pod ramię. Uśmiechał się, machał i kiwał głową do mężczyzn w tłumie. Wydawał się zachwycony, że tu ze mną jest i inni widzą nas razem. Cieszyłam się, że nie wygląda na przestraszonego uwagą kierowaną na mnie przez innych mężczyzn. Uznałam, że po prostu pozwolę sobie cieszyć się tym, jakby to była urzeczywistniona fantazja – mała Cupcakes, otoczona tysiącem adoratorów.

– Hej, może mogłabym się tu zatrudnić jako jedna z tych dziewczyn, które trzymają tabliczkę pomiędzy rundami – powiedziałam.

– Tak, może mogłabyś, Ruda.

[1] Właśc. Algonquin Hotel. Grupa, do której należała Dorothy Parker, naprawdę nazywała się „Okrągły Stół Algonquin” (przyp. tłum.).

13
TRZYNAŚCIE

Kiedy Bukowski był trzeźwy (co oznaczało mniej niż sześć piw), jego maniery były nienaganne.

– Przestań zawracać mi głowę, dupku! – krzyknął Bukowski do słuchawki, po czym trzasnął nią o telefon.

Bukowski traktował swoich fanów zupełnie inaczej niż fanki – najczęściej właśnie tak. Im bardziej wychwalali jego pisanie, tym bardziej, jak się wydawało, się nimi brzydził.

Kiedy mówiłam mu, żeby nie był taki szorstki – w końcu ci goście winni byli jedynie miłości do jego książek – Bukowski odpowiadał:

– To przegrywy. Wydaje im się, że są pisarzami czy poetami, i chcą mojej pomocy przy publikacji. To pieprzone pizdy.

Tak więc byłam pełna obaw, pytając Bukowskiego, czy może wpaść do nas mój brat Larry. Larry był jego wielkim fanem, czego Bukowski dowiedział się podczas ich rozmowy w Wigilię.

– Cholera, kotku, a musi? – jęknął Bukowski.

– Nie zabawi długo, Hank – powiedziałam z nadzieją, że faktycznie tak będzie.

– Będziesz u mnie dłużna – odparł Bukowski, szczypiąc mnie w cipkę.

Objęłam go ramionami i powiedziałam:

– Nie pożałujesz. Szykuję dla ciebie na później coś specjalnego.

Po czym pocałowałam go mocno, by przypieczętować układ.

Kiedy zadzwoniłam do Larry'ego i powiedziałam, że może przyjść, poprosiłam:

– Możesz przynieść sześciopak?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła długa cisza.

– W czym rzecz? – zapytałam.

– Jestem spłukany – powiedział Larry.

Zawsze był spłukany i zawsze pożyczał pieniądze od mamy albo swoich znajomych. Ja miałam dość oleju w głowie, by nic mu nie dawać – chociaż mnie o to nagabywał, zwłaszcza kiedy wiedział, że właśnie dostałam czek z opieki społecznej. Nie, żebym radziła sobie dużo lepiej ze swoimi finansami, ale, na miłość boską, był ode mnie cztery lata starszy – jeśli już, to on powinien pomagać mnie.

Zamiast cisnąć go, żeby wziął piwo, postanowiłam dać temu spokój. To był cały Larry – uważał, że wszystko mu się należy. W przeciwieństwie do nas, zwykłych łachudrów, nie musiał niczego przynosić na imprezę. Był z tego zwolniony.

Parę lat wcześniej Larry został poproszony, by przyniósł deser na nasz obiad z okazji Święta Dziękczynienia. Kiedy skończyliśmy jeść, obróciłam się do niego.

– Więc, Larry, co na deser? – zapytałam.

Bez chwili wahania sięgnął do kieszeni i wyciągnął opakowanie dentyne.

– Chce ktoś gumę? – powiedział.

Larry potrafił zawsze rozbrajać innych tego typu żartami. To była jego ważna umiejętność przetrwania. Ale teraz już nie wystarczała. Nie chciałam z nim spędzać czasu, ale czułam się winna, że go odpycham. Pragnęłam tylko, by wreszcie się odnalazł i przestał czekać, aż ktoś inny naprawi mu życie. Miałam na głowie zbyt wiele obowiązków, z którymi sobie nie radziłam – nie chciałam się martwić jeszcze i o niego.

Moje uczucia względem Larry'ego były w najlepszym wypadku ambiwalentne, często przechylając się ku negatywnym. Kiedy dorastał, pomiatał swoimi dwiema młodszymi siostrami, głównie mną. Po tym, jak nasi rodzice się rozwiedli, dawał często upust złości, tłukąc mnie pięściami.

Jakaś część mnie uważała to za przegraną sprawę, ale inna żywiła nadzieję, że Larry jednak zrobi coś ze swoim życiem. Sądziłam, że może Bukowski będzie umiał wskazać mu jakiś kierunek. Larry był typowym marnotrawcą – wspaniały umysł, ale pozbawiony kierunku i leniwy. Naprawdę potrzebował ojca.

Miał się pojawić o ósmej wieczór. Dzwonek zadzwonił o siódmej, kiedy z Bukowskim zabieraliśmy się właśnie do uczty przyniesionej z naszego ulubionego Pioneer Chicken. Byłam wielką fanką smażonych żołądków i powiedziałam Bukowskiemu, żeby mi nie brał nic innego. Kiedy brałam pigułki dietetyczne, musiałam zmuszać się do jedzenia, co zwykle oznaczało jeden posiłek dziennie. Żeby się nie zmarnowało, zamówił sobie jedynie parę kawałków kurczaka i nieco krokietów, frytek oraz surówkę z białej kapusty, a dla mnie moje ukochane żołądki.

– Kto tam? – zapytałam, po czym wyjrzałam przez żaluzje.

– Otwierać, policja.

Kiedy otwarłam drzwi, zobaczyłam, że Larry wypił już parę piw. I zapewne coś wciągnął. Rozpoczął od zagrania Jacka Webba:

– Tu jest wielkie miasto. Pracuję tutaj. Noszę odznakę. Wasi sąsiedzi mówią, że widzieli, jak wchodzą i wychodzą od was różni tacy. Hippisi, nonkonformistyczni jaracze, kryptokomuchy, wie pani, brudni dysydenci.

– Larry, mówiłam: o ósmej – powiedziałam mu. – Jest dopiero siódma.

Przeszedł przez próg i powiedział:

– Myślałem, że dziś przestawiamy zegarki o godzinę do przodu.

– Jest luty – powiedziałam.

– Mam wrócić na jesień? – zapytał.

Musiałam stłumić pragnienie, by krzyknąć: „Tak!".

Zaprosiłam go na kanapę naprzeciwko prążkowanego fotela, na którym siedział Bukowski. Larry skinął mu głową, ale wyszło to bardziej jak ukłon.

– Dobrze cię widzieć, chłopie – powiedział, siadając na kanapie.

Po tym, jak Larry poznał Bukowskiego na kolacji wigilijnej u mojej mamy, powiedział, że bardzo się z nim „identyfikuje". Chociaż skończył dziennikarstwo na UCLA i chciał zostać pisarzem, myślę, że chodziło bardziej o podobieństwo fizyczne. Podobnie jak Bukowski, był nieatrakcyjnym mężczyzną, dodatkowo oszpecony znakami po ospie.

Prawie słyszałam myśli Larry'ego: „Jeśli ten odrażający skurczybyk dał radę, to ja na pewno też sobie poradzę".

No cóż, jedna sprawa być nieatrakcyjnym, a inna mieć na tym punkcie kompleks. Larry zdecydowanie przejmował się swoim wyglądem. Pojął, że jest brzydki, w wieku szesnastu lat, kiedy mama powiedziała mu, że załatwiła mu korektę nosa i oczyszczenie skóry. Ale to nie wystarczyło. Zaczęła też farbować mu włosy na brązowo, bo, jak stwierdziła,

marchewkowy kolor tylko pogarsza sprawę. Kto nie popadłby w kompleksy?

Patrząc wtedy na Bukowskiego i Larry'ego, widziałam, że to poczucie związku przebiega tylko w jedną stronę. Bukowski przejrzał Larry'ego na wylot i miał go w nosie. Nie czuł żadnej sympatii do ludzi, którzy rozczulają się nad sobą i obwiniają innych o swoje problemy. Ponieważ Larry był moim bratem, Bukowski postarał się być uprzejmy.

Kiedy Bukowski był trzeźwy (co oznaczało mniej niż sześć piw), jego maniery były nienaganne. Spojrzał na leżące na stole jedzenie, ewidentnie wystarczające dla co najwyżej jednej osoby (nie licząc moich żołądków) i spytał Larry'ego:

– Jadłeś coś?

– Nie, przyjechałem prosto z pracy – odparł Larry.

Bukowski machnął ręką w stronę jedzenia i powiedział:

– Częstuj się.

Miałam nadzieję, że Larry popatrzy na mnie. Chciałam pokręcić głową na znak, że nie jest w porządku zjeść kurczaka, którego Bukowski kupił sobie na kolację. Ale on nie podniósł spojrzenia sponad stołu. Miałam ochotę wyrwać mu te puszyste, marchewkowe włosy z korzeniami.

– Dzięki, chłopie – powiedział, po czym wziął udko i je ugryzł.

Bukowski wstał i poszedł do kuchni. Kiedy otwarł lodówkę, zawołał w stronę salonu:

– Może piwo?

– Dobra – powiedział Larry, wycierając otłuszczone palce papierową serwetką.

– Lepiej uważaj, Larry, pobrudzisz sobie wyjściowe ubranie – powiedziałam, odnosząc się do formalnej koszuli i sztruksowych spodni, które miał na sobie.

– Dam je mamie, żeby wrzuciła do prania – odparł.

Nie próbował żartować czy być ironicznym. Nie widział niczego złego w tym, żeby dwudziestosiedmiolatek prosił matkę o zrobienie mu prania. Choć nie byłam kimś, kto mógłby radzić innym, ciągle mówiłam mamie, że nie pomaga Larry'emu, rozpieszczając go, ale ona uważała, że z odrobiną pomocy Larry stanie na nogi. Poza tym wciąż miała tak wielkie poczucie winy względem niego, że była gotowa odprawiać pokutę, piorąc jego rzeczy, płacąc rachunki i dając mu pieniądze.

Pamiętam, kiedy Larry miał rozwieźć gazety i mama nastawiła mu budzik. Ale on ignorował budzik i klął na mamę, gdy ta próbowała skłonić go do wstania. Więc zrobiła jedyne, co jej zdaniem miało sens – wyciągnęła mnie z łóżka o czwartej rano. Razem pozwijałyśmy gazety, spinając je gumkami, i rozwiozłyśmy je.

Kiedy tak siedział, jedząc kurczaka Bukowskiego i pijąc jego piwo, pomyślałam, jak niewiele rozumie. Świat kręcił się wokół niego. Nie miał żadnych obowiązków. Istnieliśmy jedynie po to, by mu służyć.

Siedzieliśmy we dwoje z Bukowskim, paliliśmy papierosy i piliśmy piwo, kiedy Larry pochłaniał kolację. Pomiędzy kęsami opowiadał o sukinsynach, z którymi pracował w Aaron Brothers Art Mart, gdzie był kasjerem. Cicho podziękowałam Bogu, że przynajmniej ma teraz jakąś pracę.

Kiedy zmęczyłam się słuchaniem o tajnikach sprzedaży artykułów artystycznych, powiedziałam:

– Hank maluje.

Larry wydawał się zaskoczony. Poruszył szczęką z boku na bok, nerwowym ruchem, który zawsze działał mi na nerwy, i powiedział:

– Mam załatwić zniżkę?

– Nie, dzięki, mam dość farb i papieru na całe lata – odparł Bukowski.

Spojrzałam na zegarek. Była dopiero 7.30. Zaczynałam czuć ssanie w żołądku. Musiałam coś zjeść, jeśli chciałam dalej pić. A dopóki był tu Larry, miałam zamiar pić.

Podeszłam do stolika poszukać moich żołądków, ale one też zostały pożarte. Larry chyba nie zauważył, że szukam jedzenia. Zawsze był błogo nieświadomy innych.

Kiedy skończył jeść, sprzątnęłam papierowe talerze, plastikowe sztućce, otłuszczone serwetki i papierowe torby. Poszłam do kuchni je wyrzucić i wziąć przy okazji więcej piw.

Wróciłam do salonu, by zobaczyć, jak Larry odchyla się na kanapie z pełnym satysfakcji westchnieniem, wykłada nogi na stolik i zapala papierosa. Gdy podałam mu piwo, nawet nie podziękował.

Pomimo tego wszystkiego, gdzieś w głębi serca go kochałam – choć przeważnie ten okruch uczucia ciężko było odnaleźć. Pod względem emocjonalnym Larry zatrzymał się w rozwoju. Ale intelektualnie był genialny. Był także niesamowicie oczytany i obeznany z mnóstwem tematów. Okropne marnotrawstwo talentu. Miałam nadzieję, że może Bukowski coś mu powie albo zrobi, żeby zaszczepić w nim jakieś nowe poczucie celu w życiu.

Bukowski spojrzał na mnie sponad krawędzi puszki piwa. Wiedziałam, że cierpi. Naprawdę musiałam mu to potem wynagrodzić.

Larry pogładził swoją bujną, marchewkową brodę, jakby zastanawiając się, jakich dokładnie słów powinien teraz użyć. Wziął głęboki oddech. Wydawało mi się, że wiem, co będzie dalej – typowa nawijka w stylu: „Jesteś wielkim pisarzem, ja też chcę być pisarzem, czy możesz mi pomóc?”.

Zanim Larry zdążył cokolwiek powiedzieć, weszłam mu w słowo i zaczęłam nadawać jak karabin maszynowy:

– Hej, widziałeś się ostatnio z Georgią? Hank naprawdę lubi Georgię, prawda, Hank? Uważa, że jest bardzo zabawna. Nie widziałam się z nią od jakiegoś czasu. Jak tam się miewa…

– Kurwa, zamknij się, Pam. Chcę pogadać z Hankiem – powiedział Larry.

Bukowski zmierzył go swym błękitnym, lodowatym spojrzeniem.

– Hej. Okaż nieco manier, chłopie – powiedział.

Larry wyglądał na zszokowanego. Bukowski był gburowatym, gardzącym konwencjami mężczyzną. Czy ten dziadek sobie z niego żartował? Larry nie był pewien, ale widziałam, że próbuje to rozgryźć. Postanowił się wycofać.

– *Pardon moi*, księżno Pamelo – powiedział. Jego głos ociekał sarkazmem. Wyciągnął pall malla z kieszeni i zapalił.

– Więc których pisarzy lubisz, chłopie? – zapytał.

Bukowski westchnął, po czym powstał i poszedł w stronę kuchni. Kiedy dotarł do drzwi, odwrócił się i spojrzał na Larry'ego.

– Bracie Larry, stać cię na coś więcej, prawda?

– O co ci chodzi, chłopie?

– Wszyscy zadajecie to samo, kurwa, pytanie. Myślisz, że czytanie książek, które lubię, pomoże ci nauczyć się pisać?

Larry pogładził brodę i poruszył szczęką na boki. Został tak przez kilka chwil, po czym podniósł wzrok na Bukowskiego i powiedział:

– Może mi to dać jakąś inspirację.

– Dla inspiracji posadź swoją miękką dupę na twardym krześle przed maszyną do pisania na jakieś siedem, osiem godzin każdego dnia.

Larry roześmiał się, ale Bukowski nie żartował. Larry zgasił papierosa i zapalił następnego. Próbował wymyślić następne pytanie. Bukowski poszedł do kuchni po piwo. Przyniósł po jednym dla każdego z nas.

– Skąd bierzesz pomysły, chłopie? – zapytał Larry.

Wyglądało, że Bukowski rozważa swoje opcje – żadnej odpowiedzi, szydercza odpowiedź, szczera odpowiedź. Spojrzał na mnie. Widziałam w jego oczach, że znosi to tylko dla mnie. Uśmiechnęłam się, by dać mu znać, że doceniam jego samokontrolę.

– Larry – powiedział – po prostu pisz o tym, co wiesz, na przykład co ci się przytrafia.

– Ale mi się nic nie przytrafia, chłopie – odparł Larry.

Teraz to Bukowski się roześmiał. Zaczął rechotać, aż brzuch mu falował, po czym zaniósł się niemal obłąkańczym śmiechem. Larry spojrzał na mnie, próbując zrozumieć, co się dzieje. Bukowski teraz już ryczał.

– Zdradź mi, co w tym śmiesznego, chłopie – powiedział Larry.

Czekaliśmy, aż Bukowski się uspokoi. Jego śmiech zmienił się w długie westchnienia, które wreszcie ustały.

– Taki jest twój problem – powiedział Bukowski. – Nie dostrzegasz niczego, co się dzieje. Jesteś zbyt zajęty myśleniem o Larrym.

– Nie rozumiem, chłopie – odparł Larry.

– Oczywiście, że nie rozumiesz – powiedział Bukowski.

Robiłam, co mogłam, żeby się w to nie mieszać. Była ósma, godzina, o której Larry miał przyjść. Wydawała się dobrą porą, żeby sobie poszedł.

Wstałam, uniosłam ramiona i ziewnęłam donośnie.

– Rany, jestem naprawdę zmęczona. Hej, Lar, muszę jutro wstać rano i zabrać Stacey do szkoły – powiedziałam. – Może

powinieneś już iść.

– Dopiero co przyszedłem – odparł.

– Może jednak pójdziesz? Jestem naprawdę zmęczona – powiedziałam mu.

– Jesteś kurewsko chamska, Pam – powiedział Larry, wstając. Zwrócił się do Bukowskiego: – Chcesz, żebym poszedł?

– Chcę tego, czego chce dama – odparł Bukowski.

Głowa Larry'ego obracała się ode mnie do Bukowskiego i z powrotem. Kiedy wstał, żeby wyjść, odprowadziłam go do drzwi. Wychodząc, odwrócił się do mnie i spytał szeptem:

– Hej, masz jakiś towar?

– Nie, Larry. Dobranoc – powiedziałam, zamykając drzwi.

Gdy tylko zniknął, wskoczyliśmy do samochodu i pojechaliśmy do Pioneer Chicken. O 8.30 byliśmy z powrotem przy Carlton Way z jedzeniem na stole, jakby wizyta Larry'ego nigdy nie miała miejsca. Poszliśmy do łóżka wcześnie, a Bukowski dostał to, co zostało mu obiecane.

14
CZTERNAŚCIE

„Suka”.

Nie licząc jego własnych książek, osobista biblioteka Bukowskiego praktycznie nie istniała. Nigdy nie widziałam w jego domu dzieł innych autorów, nie widziałam też nigdy, żeby czytał cokolwiek poza gazetami i broszurą do wyścigów. Zapewne było tak, bo uważał większość książek – tak prozę, jak i poezję – za niewarte czytania. Dlatego byłam zaciekawiona, gdy odkryłam tomik poezji Katullusa, kontrowersyjnego rzymskiego poety, który żył w pierwszym stuleciu przed Chrystusem.

Kiedy spytałam Bukowskiego o tę książkę, powiedział, że spodobało mu się tłumaczenie Carla Sesara. Uważał je za zabawne i ogniste, oraz że wiele wierszy brzmiało równie nowocześnie, co występy komików scenicznych.

– Ten drab ma swój połysk – powiedział.

Był ciepły, zimowy dzień. Postanowiłam posiedzieć na zewnątrz i poczytać, zabierając ze sobą Katullusa.

Rozsiadłam się na pękatej sofie na ganku. Otwarłam książkę i śmiałam się, czytając powody, dla których Katullus nie chce pożyczyć pieniędzy koledze, po czym było mi smutno z powodu jego nieodwzajemnionej miłości do Lesbii. Jego styl przypominał mi Bukowskiego, z odniesieniami do sików, smarków, tyłka, gówna i „bogów”. Choć wiersze były nieco sztywne, stwierdziłam, że są przyjemne w czytaniu

i ponadczasowe. Wreszcie namierzyłam jedną z literackich inspiracji Bukowskiego.

Nie licząc Henry'ego Millera, rzadko mówił o innych pisarzach. Nigdy nawet nie wspomniał o Johnie Fante, który, jak potem twierdził, wywarł największy wpływ na jego życie i twórczość i był największą inspiracją.

Po jakiejś godzinie czytania podniosłam oczy i zobaczyłam Bukowskiego, jak pije piwo i przygląda mi się ze swojego prążkowanego fotela.

Zamknęłam książkę i weszłam do salonu. Bukowski patrzył na mnie jeszcze przez kilka sekund, po czym zapytał, czy pofarbowałam włosy. Miałam wrażenie, że studiował mnie przez całą godzinę.

Moje włosy miały dziwny odcień czerwieni – właściwie był to bardziej kolor kasztanowy, złożony z wielu barw, nawet purpurowej. W świetle słońca wyglądało to nienaturalnie, więc rozumiałam, skąd mogła się wziąć ta myśl Bukowskiego. Często określał ten kolor jako „piorun z niebios". Mam orzechowobrązowe oczy i karnację, która ciemnieje od słońca, co jest niezwykłe dla kogoś, kto jest rudy, więc rozumiałam, kiedy ktoś pytał, czy to naturalny kolor.

Ale, co wydawało mi się zabawne, moje włoski łonowe mają dokładnie ten sam kolor – nie, żebym siedziała na tarasie, wystawiając je do słońca. Ale każdy, kto widział mój wzgórek łonowy (a Bukowski zaliczał się do tego grona), wiedział, że moje rude włosy są takie z natury. Dywan ewidentnie pasował do zasłon.

– Nie uważasz, głuptasie – powiedziałam.

Bukowski pociągnął z butelki micheloba, po czym powiedział:

– Jak to?

Zsunęłam dżinsy na tyle, by pokazać górną część mojej ognistej kępki. Bukowski wgapiał się przez chwilę w kręcone włoski, po czym podniósł wzrok na moją głowę i znów spojrzał na krocze. Pociągnął jeszcze łyk piwa, które zaczęło mu ściekać z kącików ust, ponieważ się uśmiechał.

– No, więc chyba jednak nie hennujesz sobie włosów.

Zapięłam dżinsy i weszłam mu na kolana. Na podłodze obok dostrzegłam butelkę whiskey.

– Co ta butelka whiskey robi na podłodze? – spytałam. – Mieszasz whiskey z piwem? Wiesz, co się od tego z tobą dzieje. Wpadniesz w szał, Hank.

– Ghurrr – zawarczał, robiąc prawą ręką ruch przypominający atakującego lwa.

– Przestań! Przerażasz mnie! – droczyłam się.

– Chodź no tu, ty mała lisico! Pocałuj tatusia!

Chwycił mnie za włosy i wcisnął swoje usta w moje, całując mnie mocno, przytłaczająco. Po czym wziął mnie w ramiona i zaniósł do sypialni. Rzucił mnie na łóżko i zaczął zdejmować ubranie.

Rozebrał się do gatek i koszulki, po czym zabrał się za mnie. Ściągnął ze mnie T-shirt, potem stanik. Wiedziałam, że przez godzinę, kiedy siedziałam na zewnątrz, czytając, on pił piwo i zapijał whiskey – i był na drodze na ciemną stronę. Teraz zabrał się za moje dżinsy.

– HANK! PRZESTAŃ! – krzyknęłam, nie wiedząc, czy tylko jest psotny, czy naprawdę wpada w szał.

Na szczęście dobiegło nas pukanie do drzwi. Był to nasz sąsiad, Brad Darby.

Brad był przystojnym dwudziestoparolatkiem, który mieszkał w wysuniętym na przód domu ze swoją równie atrakcyjną żoną, Tiną. Był wysoki i smukły, miał idealne, puszyste włosy. Nosił obcisłe „wdzianka”, które zawsze

wydawały się idealnie utrzymane. Prowadził położoną po sąsiedzku księgarnię dla dorosłych, a Tina pracowała jako tancerka egzotyczna w okolicznym klubie ze striptizem. Był też wyznaczony na administratora posesji.

Nazywałam ich Ken i Barbie. Był atrakcyjny, ale raczej nieciekawy – zupełnie nie w moim typie. Nie lubię mężczyzn, którzy wydają się spędzać przed lustrem więcej czasu ode mnie.

Bukowski lubił Brada i Tinę. Zanim się pojawiłam, spędzili wiele wieczorów, pijąc razem. Brad był niczym Howard K. Stern naszego bloku – rzadko ruszał się gdziekolwiek bez aparatu. Kiedy jego żona pracowała albo była na całodziennych zakupach, Brad czuł się samotny i wpadał do Bukowskiego.

– Otwieraj! – zawołał Brad.

– Kurwa mać! – warknął Bukowski. – Czego on chce?

Poszedł otworzyć w gatkach i koszulce. Choć nieszczególnie lubiłam Brada, cieszyłam się, że wpadł akurat teraz.

Zostałam półnaga w sypialni. Znalazłam na podłodze obszerny, kraciasty sweter i szybko go narzuciłam. Nagle usłyszałam wołanie Bukowskiego:

– Hej, Cups, chodź tutaj!

– Cholera – mruknęłam. – Mam nadzieję, że to nie zajmie długo.

Wstałam i wyszłam w swetrze i niebieskich dżinsach. Dopiero poniewczasie zorientowałam się, że sweter nie ma guzików. Chwyciłam go pośrodku, aby zakryć piersi.

Kiedy weszłam do salonu, stał tam Brad z aparatem.

Bukowski powiedział:

– Brad chce zrobić nam parę zdjęć.

– Jakich zdjęć? – zapytałam.

– Potrzymaj to – powiedział Brad.

Dał mi długiego, czarnego węża z doczepionym na końcu czymś, co wyglądało jak cytryna. Nie miałam pojęcia, co to, ale uznałam, że to jakiś seks gadżet z jego księgarni dla dorosłych.

– Co mam z tym niby zrobić? – zapytałam.

– Po prostu trzymaj – powiedział Brad. – A teraz powiedz, „kto uciął seeer?"

Po czym cyknął zdjęcie.

Nie podniosłam oczu, kiedy fotografował. Nadal próbowałam zrozumieć, co trzymam.

Potem Brad kazał nam pozować na różne sposoby. Zirytowałam się i skierowałam z powrotem i skierowałam się z powrotem do sypialni. Chciałam przynajmniej założyć koszulkę.

– To jakaś durnota – powiedziałam. Bukowski złapał mnie za ramię i obrócił ku sobie.

– No chodź, Cups, to zabawa.

– Chcę tylko zrobić jeszcze parę i sobie pójdę – powiedział Brad. – Zróbcie jeszcze jakieś zabawne pozy.

Zanim się zorientowałam, Bukowski nachylał się nade mną, nadal w samej bieliźnie, z twarzą wykrzywioną grymasem i trzymając plastikowy widelec nad moją głową. Nie pozostałam w tyle w tej głupocie, chwytając go za udo w pobliżu krocza, wysuwając język i robiąc równie wariacką minę. Brad strzelił zdjęcie.

– Dobra, ludziska, zrobione. Wielkie dzięki – powiedział, wychodząc.

Zdjęcia te miały wyjść na światło dzienne trzydzieści lat później, w albumie *Bukowski na zdjęciach* Howarda Sounesa.

Choć cieszyłam się, że Brad się wtedy pojawił, byłam równie zadowolona, że sobie poszedł. Choć jego żona, Tina, wydawała mi się przyjazna i czarująca, z Bradem ciężko mi było się

porozumieć. Nigdy nie patrzył mi w oczy, gdy mówił, a ja zawsze miałam wrażenie, że nie czuje się komfortowo w moim towarzystwie. Nigdy się nie zbliżyliśmy.

Kiedy Brad zniknął, rozchyliłam sweter i błysnęłam cyckami przed Bukowskim. Przez całą sesję zdjęciową był w tak dobrym nastroju, że teraz spodziewałam się, że się roześmieje. Ale on tylko się na mnie gapił. Wypił jeszcze cztery piwa podczas wizyty Brada, co w połączeniu z wieloma piwami i butelką whiskey wcześniej wprawiło go w stan chwiejącego się na nogach pijaka.

– Nie myśl, że nie widziałem, jak na niego patrzysz – powiedział Bukowski. – Pieprzyłaś się z Bradem za moimi plecami, co?!

Oczywiście myślałam, że żartuje. Byliśmy ze sobą praktycznie dzień i noc od tygodni. No i wiedział, że uważam Brada za nudziarza. Musiał żartować.

Roześmiałam się, co chyba go tylko bardziej rozwścieczyło. Jego oczy zaszły mgłą, wpadł w dziki trans. Wyzywał mnie od różnych i rzucał okropne oskarżenia. Jakbym patrzyła na rozhisteryzowanego bachora.

– WSZYSTKIE JESTEŚCIE TAKIE SAME! – krzyczał. – PIEPRZONE KURWY I NIC WIĘCEJ!

Kiedy był trzeźwy, Bukowski był miłą, łagodną duszą o niemal dworskich manierach. Kiedy przekroczył określony poziom alkoholu, zmieniał się w szaleńca. Ale pomimo tych wszystkich inwektyw, nigdy nie przechodził do rękoczynów. Atakował jedynie werbalnie.

Usiadłam na kanapie i paliłam papierosa, gdy on ciskał się w furii. Powinnam była wrócić do swojego mieszkania, ale byłam dziwnie zafascynowana tym pijackim wybuchem. Czułam się prawie, jakbym oglądała jakąś chorą wersję filmu

edukacyjnego – z takich, które higienistka pokazuje w ósmej klasie ku przestrodze przed nadużywaniem alkoholu.

Kiedy wreszcie się zmęczył, opadł na swój prążkowany fotel, dokończył piwo kilkoma haustami, beknął parę razy, po czym siedział w ciszy. Wyglądało to tak, jakby miał na tę tyradę z góry określoną liczbę słów i właśnie wypowiedział ostatnie: „suka".

Patrzyłam na niego przez jakąś minutę, po czym powiedziałam:

– Skończyłeś?

Czułam się wtedy eony starsza od niego. Choć byłam daleka od trzeźwości, nadal czułam się relatywnie chłodna i racjonalna, próbowałam go wyciągnąć z tego ataku szaleństwa. Ponuro zwiesił głowę.

Z czasem zrozumiałam, jak Bukowski nie znosił atrakcyjnych osób i nie ufał im, zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Uważał, że nie mają charakteru, że nigdy nie cierpieli, nigdy nie doświadczyli odrzucenia, mieli zawsze łatwo w życiu i radzili sobie dzięki wyglądowi.

Ponieważ uznawał Brada za atrakcyjnego mężczyznę, a mnie za atrakcyjną kobietę, uznał, że bez wahania wskoczymy razem do łóżka.

Ów szał zazdrości nie był pierwszym przypadkiem, kiedy posądził mnie o nielojalność, nie miał też być ostatnim. Z czasem Bukowski miał oskarżyć mnie o pójście do łóżka z praktycznie każdym, kogo znał – pomimo wszelkich dowodów, że to nieprawda. Wkrótce miałam odkryć, że zazdrość była jedną z jego patologicznych słabości.

15
PIĘTNAŚCIE

Chwycił paluszka i cisnął nim we mnie. Zamoczyłam serwetkę w jego szklance wody i oddałam.

Pierwszej oznaki chorobliwej zazdrości Bukowskiego doświadczyłam na parę tygodni przed incydentem z Bradem. Kiedy prosiłam Bukowskiego o jakąś przysługę, z reguły ją wyświadczał. Często prosiłam, żeby mnie skądś zabrał albo dokądś zawiózł, albo kupił coś, czego potrzebowałam. Wydawał się zadowolony, że się mną opiekuje, i nigdy nie narzekał.

Regularnie prosiłam go, żeby podwiózł mnie do apteki, gdzie chciałam zrealizować receptę. Przeważnie czekał w samochodzie, dlatego też sądziłam, że tego dnia będzie tak samo.

Kiedy zatrzymał się przed apteką, otwarłam drzwi i powiedziałam:

– Zaraz będę.

– Muszę coś kupić – powiedział, wyłączając silnik.

Kiedy wysiadł, zapytał:

– Masz jakieś drobne do parkomatu?

– Zaraz wracamy – powiedziałam.

– Nie chcę dostać mandatu – odparł.

– Więc rób, jak ja – powiedziałam. – Nie płać.

– Ale ja bym zapłacił – odparł – a nie chcę wywalać takich pieniędzy bez powodu.

– Prawdziwy z ciebie sztywniak, Hank – powiedziałam.

– To masz te drobne czy nie?

Pogrzebałam w torebce i wyciągnęłam dziesięciocentówkę, którą Bukowski wsadził w parkomat.

– Mamy piętnaście minut – powiedział.

Musiałam stać w długiej kolejce do kasy. Nie przejmowałam się, że Bukowski musi czekać w aptece. Był bardzo cierpliwym człowiekiem i nigdy nie narzekał na takie sprawy. Kiedy rozejrzałam się i nigdzie go nie dostrzegłam, uznałam, że poszedł zapalić.

Wreszcie kolejka się ruszyła i nadeszła moja kolej. Wręczyłam receptę aptekarzowi, a on wziął ją, jakby był to używany tampon. Spojrzał na mnie ze swej wysokiej grzędy i pokręcił głową.

– Lepiej niech to pani zaniesie gdzie indziej.

Jego głos był donośny i dudniący. Wszyscy obecni zaczęli się na mnie gapić. Wiedziałam, że wszyscy myślą to samo: patrzcie, narkomanka. Zabawnym faktem było, że mówimy tu o Hollywood w latach siedemdziesiątych i większość gapiów była prawdziwymi narkomanami.

Miałam ochotę przygadać temu służbiście, ale uznałam, że nie pomoże mi to dostać tego, co chciałam – fiolki czystej dexedriny.

– Proszę zadzwonić do mojego lekarza – powiedziałam. – Jego numer jest tutaj. Potwierdzi receptę.

– Och, jest prawdziwa, bez wątpienia – powiedział aptekarz. – Ale już zrealizowałem pani taką samą w tym miesiącu.

Zwykle byłam ostrożna i zmieniałam apteki, więc zastanawiałam się, jak mogłam popełnić taki błąd.

– Och… Cóż, przypadkiem upuściłam poprzednią fiolkę do ubikacji i spuściłam wodę, zanim zdążyłam ją wyjąć –

skłamałam. – Proszę, niech pan zadzwoni do lekarza, on za mnie zaręczy.

– Dobra – powiedział – ale to już ostatni raz.

Poszedł, a ja czekałam przy ladzie. Nadal się we mnie kotłowało, ale czułam ulgę. Kim się niby temu nadętemu dupkowi wydawało, że jest, pomyślałam, Bogiem?!

Nadal nie widziałam nigdzie Bukowskiego. Ruszyłam do wyjścia. Przystojny czarny koło dwudziestki przytrzymał mi drzwi.

– Dzięki – powiedziałam, omijając go.

Młody zaczął śpiewać piosenkę *Seksowna bestio*, rozpopularyzowaną przez grupę o nazwie Hot Chocolate.

– *Wierzę w cuda. Skąd jesteś, seksowna bestio?* – nucił.

Popatrzyłam na niego i uśmiechnęłam się, po czym poszłam dalej w stronę niebieskiego volkswagena Bukowskiego.

– Hej, psze pani… O co chodzi? Ma pani coś przeciwko braciom?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową, nadal idąc w stronę wozu. Zobaczyłam, jak Bukowski wciska kolejną monetę w parkomat. Ewidentnie widział moją wymianę zdań z mężczyzną przy drzwiach. Wsiadł do wozu, nie patrząc na mnie, i włączył silnik.

Wskoczyłam do samochodu. Na siedzeniu leżała torba pełna przyborów toaletowych, w tym tubka preparation. Odstawiłam

to na podłogę. Bukowski nie powiedział słowa, ale widziałam, że nie jest zadowolony. Kupił też nowe, wielkie, czarne okulary, które miał teraz na nosie. Wyglądał w nich jak modliszka na polowaniu.

Myślałam, że jest poirytowany moją sugestią, żeby nie wydawał na parkomat. Był takim dziwnym połączeniem bohemy i burżuazji. W jego mieszkaniu nie było zasad – można było robić co się chce, kiedy się chce. Ale kiedy wychodził w miejsce publiczne, zawsze pilnował się, by przestrzegać wszystkich zasad i dziesięciorga przykazań. Zapewne miał najbardziej ścisły kodeks moralny ze wszystkich osób, które kiedykolwiek znałam.

– Ten sukinkot aptekarz dojeżdżał mnie z tą receptą. Prawie odmówił jej zrealizowania – powiedziałam. – Kurde, było blisko. W przyszłości muszę bardziej uważać. Musisz mi pomóc pilnować tych wszystkich spraw.

Bukowski nic nie mówił. Jego mina wyrażała coś pomiędzy skrzywieniem a nadąsaniem – krzywodąsanie? Nadal patrzył na wprost przez szybę i nie otwierał ust.

Kiedy wyjechał na ulicę, wskazałam na parkomat i powiedziałam:

– Hej, nadal mamy dwanaście minut. Chcesz tam wrócić i polizać się przez dziesięć minut na tylnych fotelach?

Roześmiałam się, uważając, że to bardzo śmieszne. Ale Bukowski tylko prowadził auto na zachód po Bulwarze Hollywoodzkim. Zapaliłam papierosa i włączyłam radio, zmieniając stacje, aż znalazłam piosenkę, która mi się spodobała. Śpiewałam razem z nią, aż poczułam, że mam ochotę zmienić stację i zaśpiewać coś innego. Kiedy jechaliśmy razem, zawsze zdawał się na mnie odnośnie radia… Cóż za cierpliwość.

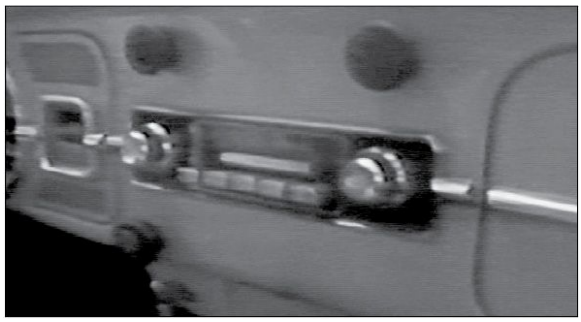

Radio w ukochanym volkswagenie Buka. Odnośnie muzyki Buk powiedział, że kocha każdą… „Ale niektórej muzyki nie mogę znieść". Ale zawsze zdawał się na mnie, gdy jechaliśmy, pozwalając mi zmieniać stacje, aż coś mi się spodobało. (Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta).

Kiedy Bukowski zajechał na miejsce parkingowe jakieś dziesięć minut później, rozejrzałam się, ale nie miałam pojęcia, dokąd zmierza. Wysiadł z samochodu, walnął drzwiami, podszedł do parkomatu i wcisnął tam kilka monet. Otwarłam drzwi i wysiadłam.

Patrzyłam, jak Bukowski powoli wchodzi do Musso & Frank Grill. Podążyłam za nim.

Posadzono nas przy tym samym stoliku co za pierwszym razem, gdy tu byliśmy. Wśliznęłam się na kanapę i popatrzyłam na niego. Kelner przyniósł menu. Bukowski zamówił spaghetti i kieliszek chianti. Nie byłam głodna, ale zamówiłam steka – bardzo dobrze przypieczonego. Bukowski nawet na mnie nie patrzył. Siedział tam tylko w ciszy, z tymi durnymi okularami na nosie. W końcu kelner przyniósł wino i nalał nam. Bukowski pociągnął długi haust, niemal opróżniając kieliszek na raz. Po czym zrobił to samo z drugim. Wreszcie spojrzał prosto na mnie.

– Mógłbym cię złamać na pół.

Uznałam, że żartuje. Roześmiałam się.

– Mógłbym doprowadzić cię do płaczu jednym słowem.

Znów się zaśmiałam.

– Widziałem, jak rozmawiasz z tamtym gościem – warknął.

– Jakim gościem?

– Przy aptece – powiedział. – Spytał, czy może cię podwieźć.

– Nieprawda, a poza tym to nie moja wina.

– Flirtowałaś z nim – powiedział – tak, jak włazisz na każdego faceta, którego spotkasz.

– Jesteś pieprznięty, Hank. To wszystko jest tylko w twojej głowie.

– Mógłbym zmiażdżyć ci czaszkę jedną ręką – powiedział zza tych śmiesznych okularów.

– Co w ciebie wstąpiło?

Wciąż na mnie warczał, a jego wargi wykrzywiały się jak u wściekłego psa. Wzięłam paluszka i rzuciłam w niego.

– Przestań, przerażasz mnie! I proszę, zdejmij te durne okulary! – powiedziałam.

Chwycił paluszka i cisnął nim we mnie. Zamoczyłam serwetkę w jego szklance wody i oddałam. On zrobił to samo. Podniosłam solniczkę i sypnęłam w niego solą. On rozerwał torebkę z cukrem i wysypał go na mnie.

Do stolika podbiegł kierownik sali.

– Proszę pana – powiedział – przepraszam, ale przeszkadza pan innym gościom.

Zaczęłam otwierać butelkę z keczupem.

– Jeśli państwo nie przestaniecie – powiedział kierownik – będziecie musieli wyjść.

Wtedy pojawiło się jedzenie. Kelner rozstawił je na stole. Zjedliśmy bez dalszych zajść.

16
SZESNAŚCIE

Chlanie, kłótnie i zazdrość sprawiały, że czułam się jak pogrzebana żywcem.

Bukowski pisał w kuchni, często zaczynając koło północy i czasami pracując do świtu. Zawsze zadziwiało mnie, jak potrafi pisać całymi godzinami, ani razu nie drąc niczego, co napisał, by zacząć od nowa. Nigdy nie widziałam, żeby sprawdzał coś w słowniku albo tezaurusie. Było to, jakby ktoś inny nadawał słowa przez niego. Sprawiał, że wydawało się to banalnie proste.

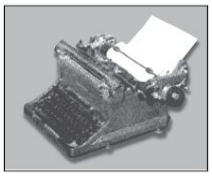

Innymi razy pisał przez parę godzin, po czym dołączał do mnie w sypialni, gdzie piliśmy i rozmawialiśmy do rana. Nie znosił telewizji, więc kiedy przychodził do sypialni, zwykle wyłączałam odbiornik. Nie potrafił zrozumieć, jak ludzie mogą marnować czas, wgapiając się w to ogłupiające pudło. Czasami miałam wrażenie, że była to zazdrość, że obawiał się, że odkryję kogoś lub coś interesującego poza nim samym.

Nie, żeby wyłączał telewizor w celu skoncentrowania się na książce. Rzadko widziałam, żeby czytał cokolwiek poza „Los Angeles Herald Examinerem". A nawet wtedy robił to

pobieżnie. Nie wydawał się interesować polityką, sprawami bieżącymi ani niczym innym w sekcji wiadomości (może z wyjątkiem sportu). Chciał tylko z grubsza orientować się, co się dzieje na świecie.

Co do książek, to uznałam, że większość czytania miał już za sobą. Nie wydawał się uważać, żeby na całym świecie było więcej niż kilka dzieł wartych przeczytania, i nie zamierzał tracić czasu, czytając cokolwiek, co było toporne albo nudne. Zwyczajnie nie widział żadnej wartość w większości książek, które uznaje się za literaturę.

Nie licząc książki Katullusa, jedynym autorem, którego przypominam sobie, żeby wspominał, był Henry Miller. Mówił, że podobają mu się wczesne dzieła „starego", ale teraz jest, jego zdaniem, za stary i za miękki, i możliwe, że traci dryg.

Mniej więcej wtedy też powiedział mi, że otrzymał list od syna Millera. Gość chwalił Bukowskiego jako wielkiego pisarza – niemal tak wielkiego jak ojciec. Nigdy nie widziałam tego listu, ale przeczytałam o nim w książce z opublikowanymi listami Bukowskiego, *Living on luck*. Znajduje się tam korespondencja z jego kolegami, gdzie przynajmniej dwukrotnie wspomina o tym liście. W obu przypadkach twierdzi, że list napisał syn Millera, „Larry". Jest to o tyle dziwne, że mój brat nazywał się Larry Miller, a mój ojciec też był pisarzem. O ile wiem, Henry ma tylko jednego syna, imieniem Tony albo Anthony. Zastanawiam się teraz, czy czasem ów list, z którego Hank był tak dumny, nie pochodził w istocie od mojego brata.

Ponieważ nigdy nie widziałam, jak czyta, byłam zaskoczona, gdy usłyszałam:

– Może powinnaś zajrzeć do jakiejś książki zamiast wciąż oglądać to bezmózgie gówno.

Poczułam się urażona. I bez tego byłam wystarczająco wrażliwa na punkcie swej niedostatecznej edukacji. Nie potrzebowałam, żeby jeszcze ktoś inny mnie na to uwrażliwiał.

Kiedy czułam się w jakikolwiek sposób skrzywdzona, nie dawałam tego po sobie poznać – zwyczajnie nie mogłam znieść poczucia bezsilności. Zamiast tego robiłam się najeżona albo zła – zwykle jedno i drugie. Często kontratakowałam na ślepo. Zwyczajnie czułam się wtedy bardziej komfortowo pod względem emocjonalnym, miałam poczucie większej kontroli.

– Cały czas coś czytam – odparłam z irytacją.

Mój były chłopak, Bob, zapoznał mnie z całą galerią różnorodnych autorów, przeczytałam całkiem dużo książek, kiedy byliśmy razem. Wiedziałam, że Bob jest bardzo inteligentny i oczytany, więc uznałam, że jeśli on coś poleca, to musi być to dobre.

– Co takiego czytasz? – zapytał.

– Różne rzeczy. Lubię Richarda Brautigana.

– To pizda.

– A Hubert Selby Junior?

– Przeceniany.

– A co powiesz o… – zaczęłam.

– …Charlesie Bukowskim – dokończył zdanie za mnie.

Zastanawiałam się, kiedy w końcu wypłynie ten temat. Obawiałam się tego. Nie przeczytałam zbyt wiele jego twórczości – tylko parę wierszy i fragmenty *Zapisków starego świntucha.* Wciąż nie zabrałam się za *Listonosza.*

– Czytałam twoje rzeczy – powiedziałam.

– To dla mnie nowina – odparł. – Nigdy nic o tym nie mówisz.

– Może ich nie rozumiem – powiedziałam.

– Czego nie rozumiesz?

Nie chciałam toczyć tej rozmowy. Od jakiegoś już czasu zastanawiałam się, co w jego twórczości jest takiego

wspaniałego. Wielu ludzi wydawało się ją uwielbiać. Ale ja nie widziałam w niej niczego szczególnego. Jego tematy były często zbyt prostackie i wulgarne – pełne fizjologii i mrocznych nawiązań do śmierci – a jego styl pisania był niemal dziecinnie naiwny. Mówiłam sobie, że może zwyczajnie nie jestem dość obeznana, by to docenić. Zaczynała właśnie powstawać scena punk rocka i stwierdziłam, że to była jego podstawowa publiczność – młodzi, zniechęceni i źli.

Mówiąc szczerze, jego pisanie nie było dla mnie specjalnie istotne. Byłam w tym związku dla tego mężczyzny, nie dla pisarza.

Gdy nie odpowiedziałam na to pytanie, Bukowski wyszedł z pokoju. Słyszałam, jak otwiera lodówkę, żeby wziąć piwo. Włączyłam telewizor i miałam nadzieję, że to był koniec tej rozmowy. Przez kilka minut słyszałam stukanie maszyny do pisania, ale potem dźwięk ustał, a Bukowski stał w drzwiach.

– Dlaczego, twoim zdaniem, ludzie mnie czytają? – burknął na mnie.

– Żeby się szokować – powiedziałam bez zastanowienia.

Wyłączył telewizor i stanął przed nim.

– I to jedyny powód? – zapytał.

– Pewnie – odparłam. – Gdzie indziej mogą sobie poczytać o ruchaniu, sraniu, szczaniu, rzyganiu i śmierci, i to wszystko w jednym wierszu?

– Musisz spojrzeć poza sranie i szczanie. Wtedy ujrzysz, z czego wyrosło to sranie i szczanie – powiedział.

– I co wtedy zobaczę?

– Wiesz – powiedział, ignorując moje pytanie. – Poszedłem sobie niedawno na tor. Wpadłem na znajomego. Powiedziałem mu o tobie. Powiedziałem mu też, że nie wydajesz się w ogóle zainteresowana moim pisaniem. A on powiedział, że za samo to powinienem cię stłuc i porzucić. Sądzi, że potrzebuję kogoś,

kto docenia moją pracę. I zaczynam się zastanawiać, czy nie ma racji.

Wstałam gwałtownie i zaczęłam się ubierać. Naprawdę, naprawdę nie chciałam toczyć tej rozmowy. Musiałam od niego chwilę odetchnąć. Postanowiłam spędzić noc u mamy. Czasami po kilku dniach u niego zaczynałam czuć, jakby porastał mnie grzyb. Jego mieszkanie zaczynało przypominać grzybową jaskinię, a ja zaczynałam wpadać w depresję, dusić się, jakby moje ciało i umysł krzyczały o świeże powietrze i światło słońca.

– Widzimy się później – powiedziałam.

– Z kim się spotykasz? – zapytał.

Wyczuwałam, że nadchodzi kolejny z jego szałów zazdrości. Mogłam mu powiedzieć, że jadę do mamy, ale by mi nie uwierzył. Postanowiłam nie mówić nic.

– Nie odchodź – powiedział niemal szeptem.

– Czuję, że nie mogę tu oddychać – powiedziałam, zakładając szpilki.

– To idź sobie, idź – odparł. – Pisze mi się o wiele lepiej, kiedy ciebie nie ma.

– Świetnie – powiedziałam. – Może dla odmiany zrymujesz parę wersów albo napiszesz o czymś innym niż kaka i siusiu. Może zadasz swoim wierszom jakąś strukturę… I jakieś drożdże! Żebym mogła zrozumieć, skąd WYROSŁY!

Wydawał się smutny i wstrząśnięty, jakbym właśnie kopnęła go w żołądek. Z miejsca zrobiło mi się przykro z powodu moich słów, ale mówiłam poważnie. Miałam już dość duszenia tego w sobie.

Poza tym nigdy nie spodziewałam się, żeby wziął sobie moje słowa do serca. Sądziłam, że mnie wyśmieje. W końcu byłam tylko naiwną, niewykształconą dziewczynką, która niewiele wiedziała o pisaniu i literaturze.

Założyłam kurtkę i podniosłam torebkę.

– Na razie, Kaligulo – powiedziałam.

Położył mi dłonie na ramionach, próbując odwrócić mnie ku sobie.

– Proszę, Cups – powiedział głosem na krawędzi załamania. – Nie idź. Proszę, zostań. Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu czasami wydaje mi się, że mnie tak naprawdę nie cenisz. Mężczyzna potrzebuje czuć się doceniany przez swoją kobietę, wiesz?

Musiałam się stąd wydostać. Chlanie, kłótnie i zazdrość sprawiały, że czułam się jak pogrzebana żywcem. Nie wiem, czy była na tym świecie siła zdolna skłonić mnie do pozostania.

Poszedł za mną do drzwi, prosząc, bym nie odchodziła. Wydawało mi się dziwne, że im trudniejsza czy odleglejsza byłam, tym bardziej wydawał się mnie pragnąć i potrzebować.

– Hank, oczywiście, że cię doceniam, ale teraz doceniłabym, jeśli zszedłbyś mi z drogi. Muszę się stąd na chwilę wyrwać. – powiedziałam. – Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Pociągnęłam za drzwi, a on się odsunął. Kiedy biegłam w stronę wozu, słyszałam, jak krzyczy:

– Idź, przeruchaj Roda McKuena! A poza tym pomyliłaś Kaligulę z Katullusem!

Popędziłam ku Franklin i skierowałam się na wschód, ku mieszkaniu mamy.

Po paru minutach dostrzegłam w lusterku migotanie. Jechał za mną radiowóz. Zatrzymałam wóz i przybrałam dobrą minę do złej gry. Napuszyłam włosy i przygotowałam się do użycia rudej magii przetrwania. Choć przekroczyłam prędkość, choć byłam napruta, choć nie miałam prawa jazdy ani aktualnych numerów rejestracyjnych, udało mi się wymigać od zapłacenia mandatu. Puścili mnie z ostrzeżeniem, żebym przestała

przekraczać prędkość, przespała się, wyrobiła sobie prawo jazdy i zaktualizowała tablice.

Przez resztę drogi do mieszkania mamy starałam się nie myśleć o Bukowskim. Ale nie potrafiłam zapomnieć, jaki wydawał się załamany, i było mi przykro z powodu durnych rzeczy, które powiedziałam o jego pisaniu. Po prostu jednak musiałam na chwilę się wyrwać.

Nie wracałam przez wiele dni. Nie dzwoniłam. Nie odbierałam jego telefonów do mieszkania mamy. Zrozumiałam, że moje wielkie nadzieje, pokładane w roku 1976 – przestać brać i pozbierać się – były ponurym żartem. Jeśli już, byłam tylko biedniejsza, mniej zaangażowana w wychowanie dziecka i bardziej skołowana niż kiedykolwiek.

17
SIEDEMNAŚCIE

…i zawsze miał dla mnie czas.

Po kilku dniach u mamy, gdzie musiałam znosić jej ględzenie i czepialstwo, byłam pełna radości, mogąc znów rzucić się w odmęty, po których pędził błędny statek Bukowskiego. U niego mogłam robić, co tylko chciałam, kiedy i jak tego chciałam. Tolerował wszystko – głośną muzykę, hałasy na zewnątrz, dystrakcje, chlanie, tablety, śpiewanie i tańczenie na stole. Nie było zasad ani ograniczeń, i to mi się podobało.

Zawsze kiedy wracałam od mamy do Bukowskiego, czułam, że trafiłam do bezpiecznego portu, gdzie nikt mnie nie będzie oceniał. Zastanawiałam się wtedy, czemu w ogóle stamtąd odeszłam. Życie z Bukowskim było przez większość czasu zabawą, szaloną, luźną, wolną amerykanką.

Bukowski nie cenił sobie tradycyjnego romansowania – kwiatów, kolacji przy świecach czy pudełek z czekoladkami – ale był czuły i troskliwy. Często zostawiał pod moimi drzwiami listy miłosne – sposób, w jaki wyrażał uczucia – i zawsze miał dla mnie czas.

Pokazywał mi, jak bardzo mnie ceni – nie tylko moje ciało, ale też umysł i osobowość. Śmiał się z moich dowcipów, słuchał moich opowieści, pytał mnie o zdanie, słuchał moich rad – przynajmniej czasami – i wielbił mój wygląd. Oczywiście,

okazjonalny striptiz, którym go raczyłam, też nie przeszkadzał.

Myślę, że tak bardzo się mną przejmował, że doprowadzało go to do szału. Kiedy pił, zaczynał się chmurzyć i zastanawiać, czemu z nim jestem. W takich chwilach był przekonany, że spotykam się z innymi, i czasami wpadał w pijacki trans.

Ale przez pierwsze miesiące naszego związku było między nami mnóstwo radości i kochania się. 31 marca były moje dwudzieste czwarte urodziny – i choć do tego czasu doświadczyliśmy już nieco zgrzytów, Bukowski był nawet czulszy niż zwykle. Uwielbiał mnie całować, przytulać i pieścić, i robiliśmy to często – to i inne rzeczy.

© Brad Darby

Bukowski zabrał mnie też na zakupy do Fridericka w Hollywood i dał do przymierzenia szpilki z kolcami, po czym poprosił, bym pochodziła tam i z powrotem po sklepie. Uśmiechał się, jakbym uczyniła go najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Po kupieniu tych seksownych czerwonych szpilek zjedliśmy przyjemną, niespieszną kolację w Musso & Frank. Był czarujący i uprzejmy przez cały wieczór i choć dużo wypił, dalej był słodki i pełen czułości.

Kiedy wróciliśmy do domu, sprezentował mi paczkę owiniętą w brązowy papier, na którym namalował serduszka i ptaki. Rozerwałam opakowanie i zapiszczałam. Było to dokładnie to, czego pragnęłam, polaroid! Aparat, który sam wywoływał zdjęcia, na poczekaniu!

Zdecydowałam już wówczas, że kariera w show-bussinesie, przed kamerą, nie była zbyt praktyczna. W tym miesiącu miałam nową fantazję: zostać fotografem.

Kilka tygodni wcześniej odkryłam w mojej ulubionej księgarni, u Chattertona w Los Feliz, album fotografii Diane Arbus. Powiedziałam wtedy Bukowskiemu, że dała mi inspirację i zdecydowałam podjąć karierę fotografa. Był to jedyny raz, gdy mu o tym powiedziałam, ale on zapamiętał. (Aspiracja ta miała wygasnąć, gdy pojęłam, że nie wystarczy wycelować i nacisnąć, żeby uzyskać dobre zdjęcie).

– Chodź – powiedział Bukowski – pokażę ci, jak to się obsługuje.

Uniosłam aparat nad głowę, żeby nie mógł go sięgnąć. Po czym skoczyłam w górę i zaczęłam biegać po domu, krzycząc:

– Spróbuj mnie złapać.

Ganiał mnie przez chwilę, aż oboje upadliśmy na łóżko, śmiejąc się.

Bukowski miał mieć w nadchodzących miesiącach mnóstwo uciechy z tym aparatem. Często wchodził, kiedy się przebierałam, i jak niegrzeczny chłopiec robił mi zdjęcia w różnych stadiach negliżu.

Parę dni po urodzinach zaszłam do mieszkania Bukowskiego. Wydawało się, że przyjmuje więcej gości niż zwykle. Kiedy weszłam do salonu, zastałam go siedzącego na kanapie obok niedużego mężczyzny o wyglądzie intelektualisty. Był to Jack Nitzsche, nagradzany kompozytor.

Nigdy wcześniej go nie spotkałam i byłam w siódmym niebie, mogąc go poznać.

Jack był znanym kompozytorem i aranżystą, który pracował z wieloma wielkimi nazwiskami świata rocka – w tym Rolling Stonesami, Philem Spectorem i Neilem Youngiem. Dziś Jack był porządnie naoliwiony i wydawał się bardzo smutny.

Zastanawiałam się, czy nastrój Jacka ma coś wspólnego ze straconym Oscarem. Otrzymał tego roku nominację za najlepszą muzykę do *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Kilka tygodni wcześniej oglądałam ceremonię w telewizji, przegrał z kompozytorem Johnem Williamsem i jego muzyką do *Szczęk*.

Po tym, jak się przywitałam z Jackiem, Bukowski powiedział mu:

– Zapomnij o niej, chłopie. Załatw sobie nowszy, bardziej ekonomiczny model.

Wziął mnie na kolana i pocałował mocno.

– Nigdy nie zadawaj się z aktorką – powiedział. – Są zbyt zaabsorbowane sobą i zbyt zakompleksione, myślą tylko o sobie i jak wyglądają ich fryzury.

– Och, Hank – wtrąciłam się. – To nieprawda.

– Nie chce nawet ze mną rozmawiać – powiedział Jack.

– Próbuj dalej. W końcu się opamięta.

Aktorka, w której był zakochany Jack, nazywała się Carrie Snodgress. Podniósł na mnie oczy i uśmiechnął się smutno. Był niewielkim mężczyzną, wydawał się prawie delikatny. Miał koło czterdziestki, długie włosy, okulary w drucianej oprawie i nieporządną brodę. Nie wydawał mi się atrakcyjny fizycznie, ale miał aurę dobrodusznej inteligencji, która czyniła go pociągającym. Wydawał się beznadziejnie zakochany w Carrie.

Jakąś godzinę później Jack wyszedł, nieco bardziej pijany i o wiele smutniejszy.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, spytałam Bukowskiego:

– Co się stało z Carrie?

– Jack mówi, że nigdy nie ma dla niego czasu – powiedział Bukowski. – Więc pobili się, a ona wyrzuciła go za drzwi.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić Jacka i Carrie mówiących podniesionymi głosami, a co dopiero kłócących się. Wydawali się oboje tak uroczymi, miłymi ludźmi. Nie poznałam jeszcze Carrie osobiście, ale widziałam ją w filmie *Pamiętnik szalonej gospodyni* i uważałam, że była w nim cudowna. Kilka lat wcześniej widziałam też wywiad z nią. Była znakomitą aktorką i wydawała się być wspaniałą osobą.

Bukowski powiedział mi, że Jack poznał Carrie, gdy ta mieszkała z Neilem Youngiem w północnej Kalifornii. Nie był powodem ich rozstania, ale podbił do Carrie, gdy tylko była wolna. Powiedział Bukowskiemu, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Dziecko, które miała z Neilem, urodziło się z porażeniem mózgowym, więc większość wolnego czasu Carrie spędzała, zajmując się chłopcem. Pewnie nie miała zbyt wiele miejsca w życiu dla Jacka.

Później tego wieczora, gdy brałam prysznic, Bukowski wpadł do łazienki i zrobił mi zdjęcie polaroidem. Powtórzył to, kiedy weszłam do sypialni – i jeszcze następnego ranka, gdy stałam nago w moich nowych szpilkach.

Przez następne miesiące nigdy nie wiedziałam, kiedy zrobi mi zdjęcie z zaskoczenia, gdy jestem naga lub częściowo ubrana. Nigdy nie znudził się tą zabawą, a gdy kazałam mu przestać, tylko się bardziej nakręcał. Czasami był jak psotne, złośliwe dziecko.

Robił mi zdjęcia, aż całe ich stosy zaczęły zalegać w sypialni. Udało mi się odzyskać większość z nich, ale często zastanawiałam się, co się stało z pozostałymi. Czy je zachował? Czy zniszczył? Czy, nie daj Bóg, leżą zeskładowane

w jakiejś bibliotece uniwersyteckiej razem z resztą jego rzeczy? Chyba wolę nie znać odpowiedzi na te pytania.

18
OSIEMNAŚCIE

Podniosła wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Bukowski opuszcza dżinsy i błyska jej swym wielkim, bladym, włochatym tyłkiem.

Moja koleżanka z podstawówki, Janet Marino, zostawiła wiadomość u mojej mamy, prosząc o telefon. Nie słyszałam o niej od paru lat, mimo tego, że – choć poszłyśmy w różne strony – przez dłuższy czas pozostawałyśmy w kontakcie.

Janet powiedziała mi przez telefon, że wciąż mieszka z rodzicami w Dolinie San Fernando. Powiedziała, że usłyszała od mojej mamy, że mam mieszkanie w Hollywood. Nie mam pojęcia, jak mama potrafiła przedstawić moje życie w fascynującym świetle, ale Janet wydawała się zdeterminowana, aby złożyć mi wizytę. Zaplanowałyśmy, że wpadnie po południu parę dni później.

Kiedy zobaczyłam, jak Janet parkuje po drugiej stronie ulicy, zbiegłam po schodach ją przywitać. Gdy wysiadła ze swego kabrioletu Opal GT rocznik 1970, rozejrzała się z wyrazem oszołomienia na twarzy, jakby ktoś zdzielił ją młotkiem przez głowę. Nie było to Hollywood, jakie sobie wyobrażała – kąciciernie, drzewa cytrusowe i hiszpańskie kafelki. Tu była wschodnia strona – włóczędzy, sex shopy, dziwki i kluby ze striptizem.

Janet obróciła wzrok na mnie. Jej twarz wyrażała szok, a może współczucie. Nie jestem szczególnie wysoka, ale przy Janet, która miała niecały metr pięćdziesiąt, czułam się jak olbrzymka. Spojrzałam z góry w jej współczujące oczy i uśmiechnęłam się.

– Witaj na dzielni – powiedziałam, biorąc ją pod ramię i prowadząc do mieszkania.

Poznałam Janet w piątej klasie, kiedy ostrzegłam ją, że jej dawna koleżanka, Cindy Sheehan, knuje spisek przeciwko niej. Cindy powiedziała swojej koterii, w której skład wchodziłam, że zamierza zaśpiewać piosenkę *Marino the Beano* na nutę *My Momma Done Told Me*, kiedy Janet wejdzie do szkolnej łazienki. Uznałam, że Cindy jest zazdrosna, bo Janet była przepiękna – skrzyżowanie Rity Moreno i Sophii Loren w ich najlepszych latach – i miała już dość uwagi, którą obdarzają ją chłopcy, a bardziej precyzyjnie, jej chłopak.

Kiedy ją ostrzegłam, Janet była tak wdzięczna, że zaproponowała mi zostanie jej przyjaciółką. Byłyśmy nietypową parą. Kiedy poszłyśmy do liceum, ona była greaserką, a ja bardziej surferką, no cóż – typy, które prawie nigdy nie trzymają się razem. A do tego moja mama była niepewna rodziny Janet. Byli Sycylijczykami, a mama, która normalnie nie miała w sobie ani krzty uprzedzenia, uważała, że Sycylijczycy przynoszą wstyd wszystkim pozostałym Włochom. Myślę, że wychowała się na stereotypie, iż wszyscy Sycylijczycy są powiązani z mafią. Pomimo tego wszystkiego zostałyśmy przyjaciółkami i pozostawałyśmy w kontakcie nawet po tym, jak „wyjechałam” w siódmej klasie.

Przez lata rozmawiałyśmy przez telefon, więc każda z nas była na bieżąco z najważniejszymi wydarzeniami w życiu drugiej. Ale to było nasze pierwsze spotkanie od czterech czy pięciu lat.

Styl Janet nie zmienił się szczególnie. Jej ciemne włosy były przyozdobione piórami i wytapirowane, jak u Farah Fawcett. Nosiła obcisłe, białe spodnie do roweru, czarne pantofle na obcasie oraz bluzkę bez rękawów z czarnego jedwabiu. Z grubego łańcucha na jej szyi zwieszał się złoty włoski róg obfitości. Jej paznokcie były długie i pomalowane błyszczącym różem, a nadgarstki uginały się od krzykliwych złotych bransolet. Była mocno umalowana, na wargach nosiła jasny róż pasujący do paznokci.

Ja natomiast miałam na sobie T-shirt, dżinsy i byłam boso. Moje włosy były długie i rozpuszczone, nie nosiłam też żadnego makijażu, z wyjątkiem odrobiny tuszu do rzęs.

Janet obejrzała mnie od stóp do głów, jakbym była nieszczęsną duszą, odosobnioną przez lata na bezludnej wyspie. Widziałam, że próbuje zrozumieć, co mi się stało. Chyba zastanawiała się, jak mogłam upaść tak nisko.

Moje mieszkanie wywołało u niej to samo zdumione spojrzenie. Był tam miszmasz wyrzuconych mebli, przypadkowych przedmiotów i artykułów z drugiej ręki. Mimo to próbowałam nadać temu miejscu jakiś szyk i byłam szczególnie dumna z mojego białego, rattanowego fotela, na którym Janet zasiadła niczym Królowa Doliny.

Nalałam jej szampana, po czym wręczyłam zdjęcie Stacey.

– To moja córka, Stacey.

Oczekiwałam, że teraz Janet zacznie się zachwycać Stacey, ale ona tylko zerknęła na fotografię i odstawiła ją na zmaltretowany stolik.

– Słodka – powiedziała w końcu.

Słodka? Moja córka nie była słodka. Była wspaniała – olśniewająca piękność, która właśnie skończyła siedem lat. Miała sięgające pasa blond włosy Alicji z Krainy Czarów,

przepiękne, zielone oczy, była też wysoka i smukła, zbudowana jak balerina.

– Nie mogę uwierzyć, że miałaś dziecko, mając ledwie szesnaście lat – powiedziała Janet.

– To najlepsze, co mi się kiedykolwiek zdarzyło – odpowiedziałam jej.

Janet nie zadawała pytań o Stacey – ani o mnie, jeśli już o tym mowa. Za to rozpoczęła tyradę na swój temat.

Była niezadowolona z aktualnego chłopaka, swojej pracy i tego, że musiała mieszkać z rodzicami.

Przez chwilę myślałam, że zapyta mnie, czy może zamieszkać ze mną. Ale wątpiłam, by pozwoliła sobie upaść tak nisko.

Kiedy skończyłyśmy szampana, powiedziałam:

– Co powiesz, żeby poznać mojego chłopaka?

Oczy Janet rozszerzyły się. Wydawała się zaskoczona, że mam chłopaka, i to jeszcze takiego, którego chcę jej przedstawić.

– Muszę niedługo jechać – powiedziała.

– Mieszka tutaj, na dole – odparłam.

Chwyciłam jej torebkę i pomogłam podnieść się z rattanowego tronu. Nie minęła minuta, nim stałyśmy przed frontowymi drzwiami Bukowskiego.

Otwarłam drzwi i zawołałam:

– Haaank, jesteś tu?

Bukowski wygramolił się z kuchni, ubrany w swój normalny strój – dżinsy hydraulika i opięty na brzuchu T-shirt. Z radia dobiegała muzyka klasyczna. Było około trzeciej po południu, a on dopiero zaczynał dzień. Zapewne był przy trzecim lub czwartym piwie.

Kiedy Bukowski wszedł do pokoju, zerknęłam kątem oka na Janet. Wyglądała, jakby miała omdleć, i chwyciła się mnie za ramię, by nie paść.

Gdy Bukowski stanął przed nami, przedstawiłam ich sobie. Potem dodałam:

– Chodziłyśmy razem z Janet do tej samej podstawówki w Dolinie.

Bukowski przełożył piwo do lewej ręki. Wytarł mokrą dłoń o koszulkę i wyciągnął ją w stronę Janet. Ledwie ją musnęła, potrząsając końcami palców.

– Usiądź sobie – powiedział.

Janet rozejrzała się, gdzie by usiąść. Sofa pokryta była gazetami i skarpetkami Bukowskiego, leżały tam też jakieś gacie. Na prążkowanym fotelu stały moje szpilki. Po całym pokoju walały się talerze i pełne popielniczki.

– Nie trzeba – powiedziała Janet. – Muszę lecieć.

Od razu wyczuł, jak bardzo odrzuciła ją jego osoba i otoczenie. Był teraz niczym sęp, który zwęszył ofiarę; wiedziałam, że Janet zaraz otrzyma końską dawkę wstrząsowej terapii Bukowskiego.

– Ale dopiero co weszłaś – powiedział Bukowski, strącając buty z fotela i zapadając się weń. Po czym wziął haust piwa, pozwalając, by pociekło mu z kącika ust na koszulkę. Wytarł usta wierzchem dłoni i beknął. – Przynieś jej piwo, Ruda – powiedział.

– Nie, naprawdę – broniła się Janet. – Mogę zostać tylko chwilę.

– Nie przejmuj się, młoda – powiedział – przywykniesz do brudu i kurzu, spodoba ci się. Zanim się zorientujesz, nie będziesz mogła bez niego żyć. Przyjmiesz go jak starego kochanka.

Roześmiała się nerwowo, spychając na bok gazety i przysiadając na skraju kanapy z rękami na kolanach. Jej oczy strzelały na boki, oczekując szczurów wyskakujących ze ścian i wylatujących z szaf nietoperzy.

– Hank jest pisarzem, wiesz? – powiedziałam, spoglądając na Bukowskiego złowrogo.

– Dobra – odparła Janet.

Czekałam, aż powie coś więcej albo zada jakieś pytanie, ale to było tyle.

– Widzisz tamte książki? – powiedziałam, wskazując na prowizoryczną szafkę. – Wszystkie napisał Hank.

– Aha – powiedziała Janet, po czym szybko wstała i zaczęła iść w stronę drzwi.

– Daleka droga na przedmieścia? – zapytał Bukowski.

– Tak, nie chcę wpakować się w godziny szczytu – powiedziała.

– No to lepiej się zbieraj – odparł. – Nie chcę, żebyś utknęła na autostradzie.

– Tak… dobra – powiedziała Janet.

Kiedy szła do drzwi, dała mi znak, bym podeszła, żeby zagadać na osobności.

– To jakiś, kurwa, żart? – szepnęła.

– O czym ty mówisz? – spytałam.

– Daj spokój, Pam… To żart, prawda? – powiedziała. Po czym zrobiła minę, jakby w jej głowie zapaliła się żarówka.

– Jestem w ukrytej kamerze? Alan Funt! Możesz już wyjść! – zawołała.

Pewna, że Bukowski ją usłyszał, dałam jej kuksańca i zaśmiałam się.

– Janet, nie bądź taka niegrzeczna!

Kiedy pojęła, że to nie żart, jej skóra przybrała zielony kolor, widoczny nawet pod metalicznym makijażem. Położyła dłoń na żołądku, jakby próbując stłumić odruch wymiotny. Sama myśl o tym, żeby mieszkać w takim miejscu, z takim mężczyzną, przyprawiała ją o mdłości.

– Muszę iść. Miło było cię widzieć, Pam – powiedziała, szukając butów. Obróciła głowę w stronę Bukowskiego i powiedziała do podłogi:

– Miło było poznać.

Pomimo całego zdegustowania i złości, byłam pewna, że nie może się doczekać powrotu do Doliny, żeby zadzwonić do znajomych ze szkoły i im wszystko opowiedzieć.

– Hej, Janet – powiedział Bukowski, gdy szykowała się do wyjścia.

Podniosła wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Bukowski opuszcza dżinsy i błyska jej swym wielkim, bladym, włochatym tyłkiem.

Janet wrzasnęła, jakby szczur przebiegł jej po nodze.

– O MÓJ BOŻE! CO TU SIĘ, DO DIABŁA, DZIEJE, PAM?! – krzyknęła.

Nie mogłam przestać się śmiać. Zgięłam się wpół, chwytając za brzuch. Bukowski opadł z powrotem na fotel i pociągnął piwa.

Janet otwarła drzwi i na swych wysokich obcasach potruchtała przez podwórko w stronę wozu. Biegnąc, krzyczała:

– JESTEŚ CHORA! OBOJE JESTEŚCIE CHORZY! JESTEŚ WALNIĘTA, PAM!

W ciągu sekund zapaliła silnik i pomknęła ulicą.

Po jej wyjściu śmiałam się bez przerwy przez pięć minut. Kiedy się trochę uspokoiłam, wzięłam gazetę i walnęłam nią Bukowskiego.

– Czemu to zrobiłeś?

– Nie lubię takich jak ona – odparł.

Czekałam, aż powie coś więcej, ale tylko dokończył piwo i poszedł do kuchni po następne. Pośmialiśmy się z tego jeszcze trochę, a mi było prawie przykro z powodu mojej

biednej, małej przyjaciółki. Zadzwoniłam do niej następnego dnia z przeprosinami, ale miały minąć lata, nim znów się do mnie odezwała. Żałowałam, że nie udało mi się uwiecznić wyrazu jej twarzy moim nowym polaroidem.

Hank i ja
(ze zbiorów Pameli Miller Wood)

19
DZIEWIĘTNAŚCIE

Przysunął się ze stołkiem bliżej. Czułam jego gorący oddech na odsłoniętych ramionach.

Bukowski zgarnął kluczyki do auta z szafki nocnej.
– Na razie – powiedział.

Była druga po południu, dzień roboczy. O ile nie jechał na tor, rzadko się gdzieś ruszał tak wcześnie. Zwykle był przy drugim lub trzecim piwie, a jego dzień dopiero się rozpoczynał.

– Masz jakąś gorącą randkę? – droczyłam się, stojąc przed lustrem w łazience i przycinając włosy.

Obcinanie włosów wiązało się dla mnie od lat z traumatycznymi przeżyciami. Kiedy miałam trzynaście lat, ojciec i macocha przygwoździli mnie do podłogi i zgolili moje długie do pasa włosy na łyso – była to kara za spóźnienie się na pierwszą lekcję w ósmej klasie. Potem były wszystkie te doświadczenia z salonem piękności. Nie pozwalałam dotykać moich włosów nawet Georgii – a przecież była wyszkoloną fryzjerką. Może wiązało się to jakoś z jej nietrzeźwością, nawet kiedy trzymała nożyczki. Już od lat sama obcinałam sobie włosy.

Bukowski stał w wejściu do łazienki, przyglądając mi się. Moje rude włosy były dla niego jakimś rodzajem totemu. Wydawał się nimi zahipnotyzowany i uwielbiał patrzeć, jak je

myję, czeszę lub szczotkuję. Wiedziałam, że gdyby nie spieszył się dokądś, zapewne stałby tu cały dzień, patrząc na mnie.

– Nie obetnij za dużo – powiedział.

– Nie robię tego pierwszy raz, Hank – odparłam, odcinając rozdwojone końcówki.

Króciutkie włosy spadały do brodzika. Bukowski podszedł bliżej, żeby widzieć, jak opadają na porcelanę. Uwielbiał takie rzeczy, te niewielkie, codzienne szczegóły.

– Nie masz gdzieś jechać?

Otrząsnął się i spojrzał na zegarek.

– Racja – powiedział. – Nie mogę się spóźnić do lekarza.

Spojrzałam na swoje oczy w lustrze. Były wybałuszone jak u gumowej zabawki. Powiedział – lekarza?

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że idziesz do lekarza? – zapytałam.

Wzrok Bukowskiego złagodniał, jakby poczuł się wzruszony moją troską. Poczułam się trochę winna – bo głównie interesowało mnie zdobycie nowej recepty na amfetaminę.

Odłożyłam nożyczki na apteczkę i ruszyłam do sypialni.

– Jadę z tobą – powiedziałam.

– Jejku, młoda, nie wiedziałem, że tak bardzo się przejmujesz. Ale nie mogę czekać – stwierdził. – Jeśli nie dotrę tam na czas, to mnie nie przyjmie.

– Czemu nie powiedziałeś, że masz wizytę? – zapytałam, zrzucając szlafrok, wciągając dżinsy i wciskając stopy w czerwone szpilki.

Naciągnęłam czarny tank top, złapałam torebkę i pobiegłam do drzwi.

Gdy dotarł do wozu, siedziałam na fotelu pasażera, nakładając tusz na rzęsy.

– Dlaczego jedziesz do lekarza? – przypomniałam sobie wreszcie, by zapytać.

– Wyciął mi wrzód z dupy i chce to obejrzeć. Myślę, że po prostu lubi sobie popatrzeć.

Biedny Bukowski wydawał się mieć mnóstwo problemów z tą częścią anatomii.

– Trudno mi go winić – powiedziałam. – Przypomnij sobie, jakie wywarła wrażenie na mojej przyjaciółce. Powinien ci też uciąć ten czerwony ogonek z serduszkiem, jak już będzie przy tym majstrował.

– Jedziemy tylko parę przecznic – powiedział, odnosząc się do mojego makijażu, gdy wytaczaliśmy się z miejsca parkingowego.

– Kiedy się zatrzymasz, będę gotowa – powiedziałam, nakładając błyszczyk na usta.

Gdy skręcił z Zachodniej Alei w Bulwar Hollywoodzki, dodawałam kolejną warstwę tuszu.

Skręcił w prawo w Vermont, po czym minął parę przecznic i zaparkował.

– Jesteśmy – powiedział.

– I ja też jestem – odparłam, obracając się ku niemu.

– No, jesteś – zgodził się z uśmiechem.

Weszliśmy do wysokiego budynku i wsiedliśmy do windy. Gdy jechaliśmy w górę, wreszcie zaświtało mi, by zdradzić mu prawdziwy powód mojej obecności.

– Myślisz, że ten twój doktor dałby radę mnie jakoś wcisnąć? – zapytałam.

– Co ci odbiło? – odparł.

– No zapytaj go, Hank – powiedziałam.

Wiedziałam, że wie, czego chcę. Zostało mi ostatnie parę pigułek i potrzebowałam nowej recepty.

– Zapytam – obiecał.

Podeszliśmy do szklanych drzwi z napisem „Dr Hendrick Gunther, lekarz ogólny”, wymalowanym czarnymi literami.

Zanim otworzyliśmy drzwi, spytałam:

– Dobry jest?

– To Niemiec – odparł Bukowski, jakby była to najwyższa możliwa pochwała.

Weszliśmy do małej poczekalni, w której czekał spory tłumek. Uznałam, że dr Gunther musi być niezły, jeśli tyle osób czeka na wizytę u niego.

Usiadłam, a Bukowski potoczył się do recepcjonistki i zapytał, czy doktor może się spotkać również ze mną.

– Wraca właśnie z lunchu – powiedziała recepcjonistka, kobieta po pięćdziesiątce ze sztywnymi, szarymi lokami. – Powinien niedługo być. Proszę powiedzieć przyjaciółce, żeby wypełniła ten formularz.

Wręczyła mu kartkę papieru, przypiętą do podkładki. Z ulgą przyjęłam, że nie nazwała mnie jego córką. Bukowski wrócił i dał mi formularz.

Kiedy go wypełniałam, przez drzwi wmaszerował dr Gunther. Podniosłam oczy i zobaczyłam atrakcyjnego czterdziestolatka w śnieżnobiałym kitlu narzuconym na ubranie. Dr Gunther rozejrzał się po poczekalni, dostrzegł Bukowskiego i podszedł doń.

– No, więc w końcu jest pan z powrotem – powiedział doktor z wyraźnym niemieckim akcentem.

– To ona mnie tu zaciągnęła – odparł Bukowski, obracając się do mnie.

Jego pierś wyprężyła się nieco, po czym dodał:

– To moja dziewczyna, Pam.

Oczy doktora błysnęły zza drucianych okularów. Popatrzył na Bukowskiego, z powrotem na mnie i znów na Bukowskiego. Pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Myśli pan, że da radę ją też zmieścić? – Bukowski zapytał dobrego doktora.

– Raczej tak – odpowiedział lekarz.

Po czym doktor zwrócił się do ludzi w poczekalni:

– Przepraszam, że musieliście państwo czekać. Zaraz będę z powrotem.

Wszystkie „w” wymawiał jak „v”.

Ruszył ku drzwiom, a Bukowski wstał i poszedł za nim.

Po oddaniu formularza recepcjonistce przejrzałam czasopisma, wzięłam kilka i wróciłam na miejsce. Kiedy doktor przyleciał z powrotem, czytałam artykuł w „Timesie” o kampanii Jimmy’ego Cartera o nominację z ramienia Demokratów. W odróżnieniu od apolitycznego Bukowskiego, ja żywo interesowałam się polityką – i modliłam się, by w listopadzie wybrano Demokratę. Kraj wciąż miał kaca po przesiąkniętej korupcją prezydenturze Nixona, był czas na zmianę.

Drzwi otworzyły się kilka razy, myślałam, że Bukowski wraca, ale zobaczyłam tylko kolejnego pacjenta wchodzącego do poczekalni. Pozostały już jedynie miejsca stojące.

Kiedy czekałam, przeczytałam o wyroku skazującym dla Patty Hearst, konfliktach wokół desegregacji w Bostonie oraz przygotowaniach do obchodów dwóchsetlecia w Waszyngtonie. Właśnie miałam się wziąć za artykuł o morderstwie Sala Mineo, kiedy recepcjonistka wywołała moje nazwisko. Czekałam ponad godzinę.

Zaprowadziła mnie do gabinetu, kazała siąść na stole i zamknęła za sobą drzwi.

Po jakichś pięciu minutach pojawił się doktor. Skinął do mnie głową, po czym usiadł na stołku na kółkach tak, że jego oczy znalazły się na wysokości moich kolan.

– Co mogę dziś dla pani zrobić? – zapytał. Przez swój akcent brzmiał jak pułkownik Klink z serialu *Hogan’s Heroes*.

Miałam nadzieję, że Bukowski powiedział lekarzowi, czego chciałam, gdy wyszli z poczekalni. Ale byłam zdana na siebie. Wzięłam głęboki oddech i rozpoczęłam nawijkę.

– Nie mogę opanować swojej wagi – powiedziałam. – Potrzebuję recepty na pigułki dietetyczne.

Doktor ścisnął mnie za lewe kolano i powiedział:

– Po co pani pigułki dietetyczne? Nie jest pani gruba.

Przysunął się ze stołkiem bliżej. Czułam jego gorący oddech na odsłoniętych ramionach.

– No cóż – powiedziałam. – Nie czuję się komfortowo z aktualną wagą. Czuję się lepiej, gdy jestem szczuplejsza.

Nie odpowiadał przez parę sekund. Zerknął na moje szpilki, potem jego wzrok powędrował po moich nogach, przez piersi, aż zatrzymał się na twarzy.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy miała pani ostatnio badaną miednicę?

Byłam w szoku. Czemu o to pytał? Spotkałam wielu lekarzy w poszukiwaniu amfetaminy, ale to był pierwszy raz, kiedy któryś chciał przeprowadzać badania miednicy. Albo wcześniej miałam niesamowite szczęście, albo teraz niesamowitego pecha.

Nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Postanowiłam zignorować jego słowa.

– Przybrałam ostatnio parę kilo – powiedziałam. – Naprawdę chcę schudnąć.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – odparł. – Kiedy miała pani ostatnio badaną miednicę?

Próbowałam podejść do sprawy rozsądnie. Dr Gunther był lekarzem ogólnym. Lekarze ogólni nie wykonują badań miednicy. Uznałam, że każe mi umówić się na wizytę u ginekologa.

– Chyba ponad rok temu – powiedziałam.

– Och, to o wiele zbyt dawno – stwierdził. – Lepiej będzie, jeśli zbadam ją pani od razu.

Nie mogłam uwierzyć. Był to otwarty szantaż. Da mi receptę, jeśli pokażę mu różowego żółwia.

– Teraz? – zapytałam.

– Tak, teraz.

Pozwalając sobie na domniemanie niewinności, zastanowiłam się, czy może być jakiś związek między pigułkami dietetycznymi a kobiecymi dolegliwościami. Może amfetamina wywoływała infekcje grzybicze? Wrzody szyjki macicy? Po czym włączył się mój instynkt. W mózgu zamigotało słowo „zboczeniec".

Próbowałam nie okazywać mu, co myślę, bojąc się, że nie da mi recepty.

– Uch… – wyjąkałam. – Mam teraz okres.

Wyraz twarzy lekarza przeszedł z pożądliwego oczekiwania w gniewny zawód.

– Mogę się umówić na za tydzień?

Jego oczy rozjaśniły się, ale potem powieki mu opadły. Nie wierzył mi, ale co mógł zrobić?

Podjechał do biurka, wypisał receptę, po czym obrócił się i mi ją wręczył.

– Może się pani umówić na wizytę przy wyjściu – powiedział, po czym wstał. Zanim opuściłam pokój, dodał: – Proszę nie zapomnieć.

Kiedy wróciłam do poczekalni, był tam Bukowski. Podszedł do recepcji i zapłacił za moją wizytę.

Nie powiedziałam ani słowa, gdy jechaliśmy windą ani kiedy szliśmy do wozu. Nie byłam pewna, jak Bukowski zareagowałby, gdybym powiedziała mu o nienormalnym żądaniu lekarza. Dostałam, czego chciałam, i nie miałam zamiaru ryzykować sceny. Kiedy jechaliśmy ulicą, poprosiłam,

żeby zatrzymał się przy Owl Drugs na Bulwarze Hollywoodzkim, gdzie chciałam zrealizować receptę.

Po czym zapytałam go:

– A gdzie tak w ogóle się podziewałeś?

– Poszedłem do klubu ze striptizem nieopodal i wychyliłem parę piw – powiedział.

Nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że chce wywołać u mnie zazdrość i doprowadza go do szału, że nigdy mu się nie udaje.

– Więc co myślisz o moim doktorze? – zapytał Bukowski, skręcając o 180 stopni w Vermont.

– Dał mi receptę – powiedziałam.

– Tyle zgadłem – odparł.

– I chciał mi zrobić badanie miednicy.

Bukowski zachichotał. Reakcja ta sprawiła, że poczułam się zła i poniżona. Nie przejmował się, że ten lekarz próbował mnie wykorzystać? Nie uważał, żeby to było nie w porządku? Nie obchodziło go to?

Po czym wzięłam głęboki oddech i uspokoiłam się. W końcu nie była to wina Bukowskiego; chciał tylko mi pomóc dostać to, czego chciałam. I zadziałało. Miałam receptę w torebce na dowód.

– A co z tobą? – zapytałam. – Myślałam, że też chciałeś się z nim widzieć.

– Obejrzał mój tyłek, kiedy byliśmy w ubikacji – odparł. – Stwierdził, że jest naprawdę śliczny.

– Tyle to ja mogłam ci powiedzieć.

20
DWADZIEŚCIA

Pomyślmy… Mam hemoroidy, karaluchy, a teraz ciebie.

Między mną a Hankiem zawsze układało się lepiej, kiedy byliśmy sami. Kiedy pojawiali się inni ludzie, najczęściej kończyło się to kłótnią. Choć woleliśmy spędzać czas sami, nie zawsze się to udawało. Jak na samozwańczego mizantropa Bukowski wydawał się przyjmować mnóstwo gości. Znajomi, krewni, sąsiedzi, czasem fani, zawsze wpadali niespodziewanie. Czasami dzwonili, domagając się spotkania albo prosząc, żeby przyszedł do nich. Nie dawaliśmy sobie rady z nawałą intruzów.

Pewnego dnia tuliliśmy się z Bukowskim na kanapie, kiedy dobiegło nas głośne walenie w drzwi. Bukowski położył palec na ustach, a ja skinęłam głową. Uznaliśmy, że jeśli będziemy bardzo cicho, to ktokolwiek tam był, pójdzie sobie.

– No bez jaj – odezwał się aż nazbyt znajomy głos. – Wiem, że tam jesteście. Oba wasze samochody stoją przed domem.

Był to mój brat Larry. Uznałam, że skończyły mu się pieniądze i szukał narkotyków, wódy, fajek i czegoś do jedzenia. Spojrzałam w zmęczone życiem oczy Bukowskiego, westchnęłam, po czym wstałam i podeszłam do drzwi. Kiedy je otwarłam, Larry wlazł do środka, podszedł do kanapy i klapnął obok Bukowskiego.

– Jak leci, chłopie? Mogę? – zapytał, biorąc sobie pall malla Bukowskiego.

Zauważyłam, że Larry nie był za bardzo naspidowany, więc uznałam, że ta wizyta nie skończy się totalną katastrofą.

Poszłam po piwa z nadzieją, że po jednej kolejce sobie pójdzie. Ale on zaczął rozprawiać, jak to właśnie skończył czytać *Faktotum*. Wydawał się gotów, by roztrząsać z Bukowskim każdą scenę w książce.

Bukowski nienawidził rozmawiać o swojej twórczości i było komiczne, ile razy próbował zmieniać temat. Ale Larry nie zamierzał się poddawać.

– Ta twoja dziewczyna naprawdę zrobiła ci papierowy kapelutek na wacka? – zapytał.

Jego twarz była szczera, bez śladu ironii czy żartu, jakby pytał, ile pali volkswagen Bukowskiego.

Wtedy nagle zadzwonił telefon. Przez twarz Bukowskiego przemknął wyraz ocalonego przez gong. Podniósł słuchawkę.

– Nie, chłopie, raczej nie – powiedział. Słuchał przez chwilę, po czym powiedział: – Mamy gościa. – Posłuchał jeszcze trochę, po czym skonkludował: – Dobra, tylko na parę minut.

Kiedy Bukowski się rozłączył, powiedział, że Brad chce, żebyśmy wpadli i przywitali się z gościem, który tu kiedyś mieszkał. Zajmował to samo mieszkanie, które teraz ja wynajmowałam, a Bukowski go lubił. Brad powiedział też, że ma dla nas dobry towar i powinniśmy przyjść wszyscy.

– Nie chcę spędzać popołudnia z Bradem – powiedziałam.

– Lubię Steve'a – stwierdził Bukowski. – To porządny chłopak. Powinienem przynajmniej się przywitać.

Miałam nadzieję, że Larry uzna to za dobry moment na pójście do domu, ale on wstał i poszedł za Bukowskim do drzwi. Nie tak zamierzałam spędzać wolny czas. Ale zamiast robić scenę, postanowiłam iść z nimi, z nadzieją, że wizyta u Brada i jego ziomka będzie krótka i Larry wkrótce pójdzie do domu.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania Brada, zastaliśmy otwarte drzwi.

– Wchodźcie! – krzyknął ze środka.

Weszliśmy gęsiego do salonu. Brad siedział na segmentowej kanapie ze Steve'em oraz kobietą, którą uznałam za dziewczynę Steve'a. Żona Brada, Tina, pracowała w strip klubie i miała wrócić do domu dopiero dużo później.

Bukowski podszedł do Steve'a i powiedział, chwytając go za rękę:

– Hej, chłopie, dobrze cię widzieć.

– Ciebie też, chłopie. Dawno się nie widzieliśmy. To moja narzeczona, Mary. Mary, to Charles Bukowski.

– Słyszałam o tobie masę rzeczy od Steve'a. Miło móc w końcu poznać Wielkiego Bukowskiego – powiedziała, cała w skowronkach.

Po tym, jak Bukowski przedstawił mnie Steve'owi i Mary, usiedliśmy, by się napić. Sącząc piwo, studiowałam uroczą, młodą parę.

Byli zaraz po trzydziestce. Oboje mieli ciemne włosy, on dłuższe od niej. Byli ubrani w wyjściowe dżinsy i T-shirty. Roztaczali aurę piękna, liberalizmu, elitaryzmu – szyk i klasa. Przy tym, jaki przystojny był Steve, dziwiłam się, że Bukowski go tak lubi.

Z początku rozmowa obracała się wokół Steve'a i jego kariery. Był muzykiem, co mnie uspokoiło – bo lubiłam rozmawiać o muzyce. Nie należał do żadnego znanego zespołu, ale odnosił pewne sukcesy. Mówił, że koncerty zdarzają się rzadko, ale miał zabukowane lokalne występy i wielką nadzieję, że wszystko się wkrótce rozkręci.

Następnie rozmowa zeszła na literaturę, co mi się już nie spodobało – bo nie wiedziałam zbyt wiele na ten temat. Słuchałam, jak przelatują nade mną nazwiska – Hemingway,

Fitzgerald, Faulkner, Mailer, Updike – i choć znałam samych pisarzy, nie przeczytałam zbyt wiele z ich twórczości. Miałam nadzieję, że wkrótce temat się zmieni.

Zaczęłam się czuć niepewnie. Nie byłam w swoim rock'n'rollowym, kontrkulturowym żywiole. Nie przeczytałam nawet książek Bukowskiego, nie mówiąc już o komercyjnych sławach. Zaczęłam kurczyć się w sobie. Chciałam zniknąć. By stawić czoła swojemu poczuciu niższości, zaczęłam pić więcej niż zwykle.

Wszyscy palili papierosy, z wyjątkiem Steve'a i Mary. Steve kaszlnął parę razy, po czym przeprosił i wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy pozostali zaczęli omawiać dzieła Philipa Rotha, postanowiłam dołączyć do Steve'a na zewnątrz. Poza tym nie znałam tego całego Portnoya i nie obchodziło mnie, na co narzekał.

Zaczęłam pytać Steve'a o jego muzykę, rozmawialiśmy też o aktualnych zespołach, jak The Eagles czy Fleetwood Mac. Spytałam, co sądzi o tej nowej grupie, Queen. Był bardzo bystrym, uprzejmym i miłym facetem, przyjemnie mi się z nim rozmawiało.

Po jakichś piętnastu minutach wróciliśmy do środka. Zaczynałam się czuć pijana i w nastroju do walki. W tle grało radio. Usłyszałam *Love Will Keep Us Together* grupy Captain & Tennille.

– Hej, podkręć głos, Brad – zawołałam. – Kocham tę piosenkę!

Zaczęłam śpiewać z radiem.

– *Miłość, miłość utrzyma nas razem. / Myśl o mnie, kochanie, kiedykolwiek / pojawi się obok jakaś słodkousta dziewczyna…*

Bukowski przerwał mi.

– Przestań, Ruda, jesteśmy w połowie rozmowy.

– Tak, uspokój się, Pam – ostrzegł Larry.

Powstałam chwiejnie i wymamrotałam swoim najbardziej urażonym tonem:

– Chrzańcie się obaj. Idę na górę. Nudzicie mnie!

Idąc ku drzwiom, wpadłam na uroczą parę gości. Wtedy Steve wstał i powiedział, że on i Mary też muszą iść.

– Hej, nie skończyłeś nawet piwa – powiedział Bukowski.

– Przepraszam, Hank, ale mam jutro przesłuchanie. Muszę przez wieczór poćwiczyć z chłopakami – powiedział Steve. – Wrócę innym razem. Dobrze było cię widzieć, chłopie.

Byłam już w połowie podwórka, kierując się do mieszkania Bukowskiego, by zwędzić parę piw, nim udam się na górę.

Kiedy gramoliłam się po schodach, krzyknęłam do Steve'a i Mary:

– Na razie, miło było was poznać!

Chwyciłam piwa i wbiegłam do domu. Po czym wyciągnęłam mój ulubiony album Lindy Ronstadt i podkręciłam głośność gramofonu. Był to gorący dzień i wszystkie okna były pootwierane.

Śpiewałam na całe gardło:

– *Ty i ja maszerujemy do innej muzyki, / ach, czy nie widzisz tego po tym, jak biegnę / za każdym razem, gdy robisz na mnie oczy. / Łoo-oo.*

Później skończyło mi się piwo, a miałam ochotę na następną kolejkę. Byłam nadal zawiana po wcześniejszym spotkaniu i postanowiłam wpaść do Bukowskiego, pożyczyć jeszcze parę michelobów. Zapukałam do drzwi, ale przez parę minut niczego nie usłyszałam w odpowiedzi. Po czym dobiegł mnie odgłos, jakby ktoś walnął tylnymi drzwiami. Po kolejnej minucie otworzył drzwi.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Masz może pożyczyć jakieś piwa?

– Idź sobie, Ruda.

– Masz jakiś problem?

– Pomyślmy… Mam hemoroidy, karaluchy, a teraz ciebie.

– Nie zaprosisz mnie do środka?

– Jestem teraz zajęty. Nie mam nastroju na twoje wygłupy.

– Świetnie! Ja też jestem zajęta!

Ruszyłam z powrotem do swojego mieszkania. Kiedy weszłam do środka, znów usłyszałam trzaśnięcie jego tylnych drzwi. Musi z kimś być, pomyślałam. Inaczej dlaczego byłby taki chamski?

– Dobra, możemy w to grać we dwoje – wymamrotałam do siebie.

Poczekałam parę minut, po czym podeszłam do okna w salonie. Obróciłam twarz w stronę kuchni i zawołałam:

– Możesz mi przynieść jeszcze kieliszek wina?

Po czym pobiegłam do kuchni. Zniżyłam głos, jak tylko mogłam, i powiedziałam:

– Pewnie, mała. Z lodem?

Następnie znów pobiegłam do okna w salonie i powiedziałam głośno i seksownie:

– Tak, bardzo chętnie!

I znów pobiegłam do kuchni i swym najniższym, męskim głosem zawołałam:

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, mała.

Robiłam tak jeszcze przez jakieś dziesięć minut, śmiejąc się cały czas, po czym zgasiłam światło. Wyjrzałam przez okno, czy Bukowski siedzi w kuchni. Nie dostrzegłam niczego, ale po kilku minutach jego tylne drzwi znów trzasnęły. Zastanawiałam się, czemu jego towarzyszka wciąż wchodzi i wychodzi i czemu nie używa drzwi frontowych. Podbiegłam do okna, ale wciąż nikogo nie widziałam. Zastanawiałam się, z kim jest, ale byłam zbyt zmęczona, by robić scenę. O co był taki zły? Jedynie nazwałam go nudziarzem. Był to długi dzień,

a ja za dużo wypiłam. No cóż, pomyślałam, gramoląc się do łóżka, do diabła z nim. Zasnęłam szybko.

Nie opuściłam mieszkania przed 2.30 następnego popołudnia. Musiałam odebrać Stacey ze szkoły. Wychodząc, nie zajrzałam do Bukowskiego, bo nie byłam pewna, jak mnie przyjmie ani kogo tam zastanę.

Zobaczył, że idę. Wyszedł na ganek i zawołał:

– Hej, dokąd biegniesz, mała?

– Odebrać Stacey.

– Wiesz, wczoraj zachowałaś się chamsko. Nie powinnaś była iść za Steve'em, kiedy była tam jego dziewczyna.

– Wiem – powiedziałam. – Przepraszam. Byłam znudzona rozmową. Poza tym wiesz, że nigdy nie czuję się dobrze w obecności Brada. Myślę, że on też mnie nie lubi.

– Tylko nudziarze się nudzą – powiedział, po czym powtórzył: – Nie wyglądało to dobrze, kiedy wyszłaś ze Steve'em. Myślę, że zdenerwowałaś Mary.

– Starczy już tego, powiedziałam, że przepraszam. Nie ma powodu, by się denerwować. Tylko gadaliśmy!

– Ale wiesz…

– Och, wyluzuj, Hank. Nikomu nie muszę się tłumaczyć. Nie zrobiłam niczego złego. A teraz się odczep!

Wiedziałam, że przesadza, żeby mi było przykro. To on sam czuł się niepewnie. Dobra, więc byłam młoda i czasami nierozważna, ale nigdy nielojalna. Miało minąć kilka miesięcy, nim jego przepowiednie zmieniły się w prawdę.

Wieczorem zjadłyśmy ze Stacey kolację u mamy. Przyzwyczaiła się już do spędzania tam nocy w dni robocze. Po położeniu jej spać pojechałam z powrotem na Carlton Way. Kiedy zbliżałam się do mieszkania, usłyszał mnie Bukowski i wystawił głowę przez drzwi.

– Hej, mała. Mam tu butelkę twojego ulubionego szampana. Chcesz wpaść na kieliszek?

– Pewnie, czemu nie.

Kiedy poszedł do kuchni po szampana, ja opadłam na sofę. Otworzył butelkę i nalał nam po kieliszku, po czym zasiadł naprzeciwko w swoim prążkowanym fotelu. Siedzieliśmy przez parę minut w ciszy. Każde z nas czekało, aż to drugie wykona pierwszy ruch.

W końcu powiedziałam:

– Więc… kto był u ciebie poprzedniego wieczora?

– O czym ty mówisz?

– Wyglądało to tak, jakby wczoraj ktoś z tobą był. Jakby ktoś parę razy wszedł albo wyszedł z twojego mieszkania. Słyszałam, jak trzaskają twoje tylne drzwi. Co się dzieje? Próbowałeś żonglować pomiędzy dwiema kobietami naraz?

– Naprawdę cię to obchodzi?

– Oczywiście, że tak. Jak mogłoby nie?

– Czasami sobie myślę, że cię nie obchodzi.

– Cóż, mylisz się. Obchodzi mnie. Jesteś tylko cholernie przeczulony i niepewny siebie, Hank.

– A może to ty jesteś zbyt nieczuła.

– Dobra, w porządku, może i jestem. A teraz powiedz mi, kto tu był.

– To nieistotne. Nikt, kogo znasz. A kto był u ciebie poprzedniego wieczora?

– Nikt, kogo znasz.

– Dobra, Ruda. Ta rozmowa mnie nudzi.

– Wiesz, jak mawiają: tylko nudziarze się nudzą.

Zaśmiał się i uniósł kieliszek.

– Wygrałaś, młoda. Zawsze wygrywasz.

Zwiesił głowę i westchnął ciężko. Jego brwi zaczęły się marszczyć. Przybierał ten smutny, zrezygnowany, zamyślony

wyraz twarzy, który zawsze na mnie działał. Ten sam wyraz, który przybierał, opowiadając o Jane.

Wstałam z sofy i podeszłam do niego. Usiadłam mu na kolanach i otoczyłam jego szyję ramionami.

– Nie smuć się tak, Hank. Wiesz, że cię kocham.

Spojrzał mi w oczy i zaczął się uśmiechać. Po czym powstał, trzymając mnie w ramionach. Zatoczył się i opadł z powrotem na fotel, niemal wywracając się.

– Hej, w filmach wygląda to inaczej – powiedział, śmiejąc się.

Udało mu się czegoś złapać, zanim oboje polecieliśmy na podłogę. Biorąc pod uwagę, jak nie szanował swojego ciała, był wyjątkowo silny i zdrowy. Oboje śmialiśmy się, kiedy szedł do sypialni, niosąc mnie w ramionach.

Po wspaniałej sesji pojednawczego seksu rozluźniliśmy się w łóżku i zapaliliśmy papierosy. Wtedy zapytałam go znów.

– Więc powiedz mi, kto tu wczoraj był?

– Najpierw ty. Kto z tobą był wczoraj wieczór?

– Dobra… A obiecujesz, że nie będziesz się śmiał?

– Obiecuję – odparł, opierając głowę na dłoni. Spoglądał na mnie z wielkim zaciekawieniem.

– Nikogo u mnie nie było. Pomyślałam, że skoro ty kogoś masz, to ja będę udawać, że też kogoś goszczę.

– No nie, Ruda, mam w to uwierzyć? Słyszałem tam mężczyznę – powiedział.

– To byłam ja. Posłuchaj. – Zniżyłam głos i powiedziałam: – Hej, mała, całujemy się?

Zaczął śmiać się tak głośno, że aż całe łóżko się trzęsło. Wył do sufitu. Po czym wyskoczył z łóżka i ruszył do kuchni. Wrócił z butelką piwa w jednej ręce i szklanką szampana w drugiej, uśmiechając się szeroko. Siadł na skraju łóżka i zasalutował mi butelką.

– Niezła z ciebie aparatka, Czerwony Kapturku – powiedział. – Na zdrowie, kotku.

Oboje pociągnęliśmy łyka, po czym zapytałam go znowu:

– Dobra, teraz moja kolej. Kto z tobą wczoraj był?

Znów zaczął się śmiać.

– Przestań, Hank, co w tym takiego, do diabła, śmiesznego? Powiedz mi tylko, kto tu wczoraj był?

Nadal się śmiał. Moje ponaglenia wydawały się jedynie sprawiać, że śmieje się coraz głośniej, jakbym go łaskotała. Łzy nabiegły mu do oczu. Po czym wreszcie złapał oddech i powiedział:

– Och, dziecinko, jesteśmy siebie warci. Nikogo tu wczoraj nie było.

21
DWADZIEŚCIA JEDEN

Scarlet *było największym komplementem, jaki mógł sprawić kobiecie.*

Kwiecień 1976 roku był naszym piątym miesiącem razem. Przez ten czas nauczyliśmy się akceptować wzajemnie jako niedoskonałe istoty ludzkie i pojęliśmy, że nasz związek nigdy nie będzie przewidywalny.

Bukowski traktował moje wady filozoficznie, a ja, nie licząc jego nieracjonalnej zazdrości, akceptowałam jego niedociągnięcia jako mężczyzny. Przeżyliśmy trudne chwile i pełne pasji kłótnie, nieraz na granicy absurdu, ale było też jasne, że zaczęliśmy na sobie polegać i utworzyliśmy nierozerwalną więź.

Nadal wędrowałam przez pola minowe, szukając swojego miejsca – próbując osiągnąć jakieś poczucie osobistej satysfakcji, która mi się zawsze wymykała, póki stałam na ziemi. Zostawiałam Bukowskiego bez słowa, spędzając czas u matki i trzeźwiejąc. Czasami, gdy wracałam na Carlton Way, nie było tam Bukowskiego. Zawsze zapewniał mnie, że to były „interesy", a ja zawsze mu wierzyłam. Ale kiedy nie było mnie kilka dni, załamywał się. Sprawiało mu to okropne, emocjonalne katusze. Jak w obsesji maniakalno-depresyjnej, przechodził od radości w rozpacz z bolesną regularnością.

Pewnego kwietniowego dnia, wracając z tygodniowych wakacji u mamy, zajrzałam do Bukowskiego.

Otwarłam drzwi i powiedziałam:

– Puk, puk, puk, jest tam kto?

Bukowski wyszedł z kuchni z piwem w ręku. Odstawił butelkę na stolik i wziął mnie w ramiona.

– Cups… Kochanie, gdzie byłaś?

– Zatrzymałam się u mamy na parę dni. Powinieneś już wiedzieć, że to tam zwykle jestem.

– Tęskniłem, młoda.

Po czym walnął się w czoło i powiedział:

– O, szlag!

Usadził mnie na kanapie i powiedział:

– Mam dla ciebie niespodziankę, ale czekaj, muszę najpierw zadzwonić do Johna.

Usiadł obok mnie, wybierając numer swojego wydawcy, Johna Martina.

– Cześć, to ja – powiedział do słuchawki. – Potrzebuję przysługi. Cupcakes wróciła i chcę, żebyś wycofał te wiersze, które wtedy kazałem ci dodać. Czy książka poszła już do druku?

Zamilkł na chwilę, po czym powiedział:

– No cóż, to zatrzymaj drukarnię albo zrujnujesz moje życie miłosne. A wiem, że tego nie chcesz.

Ścisnął mnie za kolano, słuchając odpowiedzi Johna.

– Tak, mówię poważnie, wróciła… Jesteśmy razem i jest dobrze, chłopie. No, bądź dobrym kumplem. To w słusznej sprawie.

Westchnął głęboko, po czym powiedział:

– Jesteś w porządku, chłopie. Dzięki, mam u ciebie dług.

– O co znowu chodziło? – zapytałam, gdy się rozłączył.

– Szlag, niewiele brakowało – mruknął do siebie. – Cóż, powiedziałem ci, że mam dla ciebie niespodziankę, i chciałem

się upewnić, że ci się spodoba. Napisałem tomik poezji specjalnie dla ciebie, kotku.

– Naprawdę, Hank? – powiedziałam, obejmując go za szyję. – Ale co miał z tym wspólnego ten telefon? – zapytałam, wycofując się.

– Cóż, kiedy zniknęłaś, nic mi nie mówiąc, zadzwoniłem do Johna i kazałem mu dodać do książki parę nieprzyjemnych wierszy. Z początku miał być to hołd dla ciebie, ale potem zdecydowałem, że może właściwsza będzie elegia. Poczułem się lepiej, dodając do tego nieco złości. Wiedziałem, że to cię zdenerwuje, i chciałem się na tobie zemścić, kotku, ale już nie chcę. A uwierz mi, naprawdę by cię to zdenerwowało, szczególnie wiersz, gdzie porównuję cię do rekina.

– Do rekina? To niezbyt miłe, Hank. Dlaczego miałbyś porównywać mnie do rekina?

– Cóż, powiedziałem ci, zraniłaś mnie, odchodząc, więc ja chciałem zranić ciebie. Nie przejmuj się, zapobiegłem temu na czas. A teraz mnie pocałuj.

– A nie boisz się, że odgryzę ci głowę?

– Dawaj tu te szczęki, mała.

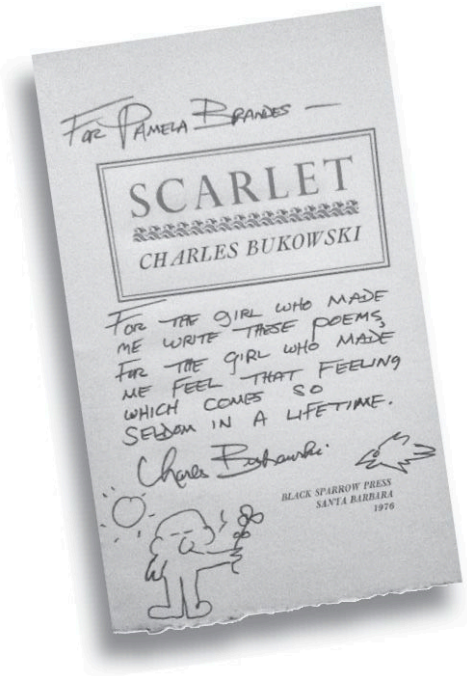
For Pamela Brandes —
SCARLET
CHARLES BUKOWSKI
For the girl who made me write these poems
For the girl who made me feel that feeling
which comes so seldom in a lifetime.
Charles Bukowski
BLACK SPARROW PRESS
SANTA BARBARA
1976

Pocałowaliśmy się i zrekompensowaliśmy sobie stracony czas.

Książka przyszła kilka tygodni później. Był to tomik w pięknie zdobionej, twardej oprawie. Nosił tytuł *Scarlet.* Wydanie było ograniczone do 180 egzemplarzy, z których 40 zawierało oryginalny rysunek Bukowskiego. Ozdobił reprezentacyjny egzemplarz oryginalną inskrypcją z obrazkiem, która brzmiała: „Dla Pameli Brandes – dziewczyny, przez którą napisałem te wiersze, dziewczyny, która pozwoliła mi poczuć to uczucie, które przychodzi tak rzadko w ciągu jednego życia". Podpisał się jako Charles Bukowski i dodał swój charakterystyczny rysunek z uśmiechniętym człowieczkiem palącym papierosa i trzymającym kwiat w lewej dłoni, ze słońcem w kształcie serca u góry po lewej i lecącym ptakiem u góry po prawej.

Zanim zasiadłam do czytania, zabrał mnie do Hollywood Ranch Market, gdzie kupił moje ulubione żołądki oraz

surówkę z białej kapusty. Zamówił smażone krewetki. Udało nam się nie pokłócić przez cały wieczór.

Później, kiedy Bukowski pisał w kuchni, podekscytowana wyciągnęłam się w łóżku, aby przeczytać *Scarlet*. Były tam cztery wiersze. Po przeczytaniu pierwszego, usiadłam prosto i przeczytałam pozostałe. Byłam oszołomiona i skonfundowana. Nie były tym, czego bym się spodziewała. Pomyślałam: *I ty uważasz to za wiersze miłosne?* Jak większość twórczości Bukowskiego, wiersze były surowe i nieskrępowanie naturalistyczne. Były też usiane brzydkimi słowami oraz, tak, funkcjami fizjologicznymi.

Przeczytałam te wiersze jeszcze kilka razy. Zrozumiałam, że ze strony Bukowskiego – mężczyzny nieobeznanego ze sztuką romansu – *Scarlet* było największym komplementem, jaki mógł sprawić kobiecie. Był to szczególny sposób wyznania miłości. Ale ja byłam przyzwyczajona do mężczyzn, którzy wyrażali uczucie w bardziej tradycyjne sposoby, i nie wiedziałam, co myśleć o tym niezbyt górnolotnym popisie Bukowskiego. Oczekiwałam czegoś bardziej romantycznego w stylu Yeatsa albo Byrona. Pragnęłam tylko móc pokazać to z dumą rodzinie i przyjaciołom, ale wiedziałam, że to niemożliwe.

Choć czułam zawód, nigdy mu tego nie zdradziłam. Może i byłam niedojrzała i zaaferowana sobą, ale nie kompletnie bezmyślna. Miało minąć sporo czasu, nim w pełni doceniłam ukryte piękno i ważkość tych pełnych głębokich znaczeń wierszy. Teraz czytam je z uśmiechem nostalgii. Rozumiem, że Bukowski dał mi największy możliwy dar.

(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

22
DWADZIEŚCIA DWA

Ech.

Bukowski wciąż wzdychał. Dla mnie westchnienie coś znaczy – jestem smutna, zmęczona, znużona. Ale Bukowski wzdychał dla zasady. To była jego odpowiedź na bycie żywym. *Ech.*

Kiedy zaczynaliśmy związek, pytałam go, co jest nie tak, kiedy wydawał z siebie długie westchnienie.

– Nic – mówił. – I wszystko. Cały ten przeklęty świat.

Więc próbowałam go rozweselić.

– Przestań – mówiłam. – Nie może być aż tak źle. Chodźmy na zewnątrz, zróbmy coś.

Ech.

– Chodźmy na spacer.

Ech.

– Chodźmy coś zjeść.

Ech.

– Przejedźmy się.

Ech.

– Napijmy się szampana.

Ech.

– Chodźmy na wyścigi.

– Dobra. Chodźmy.

Był kwiecień, a w Hollywood Park znów ścigały się konie, tor mieścił się w Inglewood, parę kilometrów od lotniska w Los

Angeles.

Zanim pojechaliśmy na wyścigi, Bukowski kupił dziennik wyścigowy i porównywał konie. Opuściliśmy mieszkanie około jedenastej rano i dotarliśmy na tor przed południem. To oznaczało około godziny do pierwszego wyścigu. Czas ten Bukowski spędził, przeglądając program oraz robiąc notatki odnośnie koni i dżokejów.

Zwykle czekał z zakładami na ostatnią chwilę. Jego wybory opierały się na wielu czynnikach – ale głównie na tym, jak zmieniały się stawki i jak obstawiali inni. Kiedy widział, jak obstawiają wszyscy, zwykle stawiał na innego konia.

Uważałam za zabawne, jak śmiertelnie poważny Bukowski jest na torze. Patrzyłam, jak analizuje kupony wyścigowe, jakby był matematykiem, usiłującym znaleźć formułę skomplikowanego algorytmu. Wyglądało to zupełnie jak praca. Dla mnie był to czas relaksu i zabawy. Prawda, Hollywood Park w latach siedemdziesiątych nie był uważany przez nikogo za miejsce z klasą. Można było go uznać za smutne, posępne miejsce, zaludnione głównie przez zdesperowanych bezrobotnych i oderwanych od rzeczywistości naiwniaków. Mimo to, wiosenny dzień na świeżym powietrzu, połączony z piciem piwa i oglądaniem przepięknych koni oraz dżokejów w jaskrawych jedwabiach, był całkiem przyjemną sprawą.

Odmiennie od wielu hazardzistów, Bukowski nie pragnął w głębi duszy przegrać. Zawsze chciał wygrać – i cieszył się, zbierając małe wygrane w przeciągu dnia. Na końcu rachunek zwykle się zgadzał. Więcej wygrywał, niż przegrywał. Z natury Bukowski był stworzony do zaciekłej rywalizacji, a ta znalazła swoje ujście na torze wyścigowym.

Czasami, podczas przestojów pomiędzy wyścigami, kiedy nie biegłam nigdzie i nie gubiłam się, Bukowski wspominał o Jane i o tym, jak po raz pierwszy zabrała go na wyścigi.

Lekarze kazali mu przestać pić, bo inaczej umrze. Bukowski spytał Jane, co ma robić z czasem. Powiedziała mu:

– Cóż, zawsze są jeszcze wyścigi.

Bukowski nie przestał pić i pokochał obstawiać konie. Była to jego ulubiona rozrywka i wydawało się, że podchodził do niej tak samo, jak do pisania – z oddaniem, konsekwencją i dyscypliną.

Oczywiście ja zupełnie nie posiadałam podobnych zalet i to one mnie w nim pociągały. Zawsze miałam nadzieję, że jakaś część jego stateczności zostanie we mnie. Ale byłam zbyt kapryśna i zwykle gdzieś uciekałam.

Pomiędzy wyścigami często odwracałam się do Bukowskiego, mówiąc:

– Zaraz wracam.

Ech.

23
DWADZIEŚCIA TRZY

Pobiegłam do frontowych drzwi, a on za mną.

Po tym, jak w październiku na antenę weszło *Saturday Night Live*, próbowałam oglądać ten program, kiedy tylko mogłam. Kiedy pracowałam na wieczorną zmianę w Alpine Inn, rzadko miałam okazję. Ale odkąd straciłam pracę, nie opuściłam ani odcinka. Próbowałam namówić Bukowskiego, by oglądał *SNL* ze mną, ale on nienawidził telewizji. Czasami myślałam, że nie znosi tego programu, bo był czymś innym niż on sam, co mnie bardzo bawiło.

Sama nie oglądałam telewizji zbyt często, ale na *SNL* czekałam z zapartym tchem. Dla mnie było to ważne wydarzenie – totalnie kochałam ten program i całą obsadę.

24 kwietnia 1976 roku leżałam w łóżku, pijąc piwo, paląc papierosy i śmiejąc się na całe gardło. Raquel Welch i John Belushi, udający Joego Cockera, śpiewali w duecie *Superstar*, wspaniały utwór Leona Russela. W miarę trwania piosenki Belushi robił się coraz zabawniejszy, sepleniąc i podskakując, aż wreszcie upadł na podłogę. Ryczałam tak głośno, że aż Bukowski zawołał z drugiego pokoju:

– Co w ciebie wstąpiło?

– Chodź i zobacz – odkrzyknęłam.

Ale dalej pisał w drugim pokoju. Było około północy, więc sesja pisania Bukowskiego dopiero się zaczynała. Na szczęście potrafił pisać praktycznie w każdych warunkach i nie

przejmował się specjalnie hałasem ani innymi zakłóceniami. Myślę, że w jakimś sensie czuł się dobrze, że ktoś po prostu jest z nim w mieszkaniu.

Śmiałam się przez cały skecz Dana Aykroyda, gdzie grał Joego Franklina z Amerykańskiej Rady Standardów i Miar. Był to mistrzowski występ, w którym Aykroyd/Franklin wyjaśniał szybko i zwięźle, jak alfabet zostanie skrócony do zaledwie dziesięciu liter – decybetu – by zgadzać się z nowym systemem metrycznym.

Po kilku kolejnych skeczach Phoebe Snow zaśpiewała *All Over*. Może to właśnie przyciągnęło Bukowskiego do sypialni. Uwielbiał brzmienie kobiecego głosu, a Snow miała uroczy, unikalny styl, który działał na Bukowskiego niczym flet Szczurołapa z Hameln. Choć Bukowski był beznadziejnie nieobeznany z aktualną sceną popu, zrobiłam, co mogłam, by uaktualnić jego wiedzę.

Gdy śpiewała, zapalił papierosa i siadł na skraju łóżka. Kiedy piosenka dobiegła końca, obrócił się do mnie i powiedział:

– To nie było takie złe.

Wstał i ruszył do wyjścia.

– Obejrzyj ze mną choć jeden skecz – poprosiłam.

Niechętnie odwrócił się na pięcie i wrócił na łóżko.

– Tylko jeden – powiedział.

Po reklamie na ekranie pojawił się tytuł: *Konkurs Zamknięty Claudine Longet*.

Jakiś miesiąc wcześniej piosenkarka Claudine Longet, była żona słynnego solisty Andy'ego Williamsa, zastrzeliła swojego konkubina, znanego narciarza Spidera Sabicha. Twierdziła, że broń wypaliła przypadkiem, i wyszła za kaucją, czekając na proces. Media oraz publika powszechnie uważali, że zamordowała swojego kochanka, gdy ten postanowił ją

opuścić po czteroletnim związku. Prawie nikt nie kupował jej historyjki o wypadku.

W skeczu Chevy Chase i Jane Curtin stali obok wyciągu narciarskiego. Chase oznajmił, że są w Vale w Kolorado, by komentować Konkurs Zamknięty Claudine Longet, zawody narciarskie mężczyzn w stylu wolnym. Chase i Curtin obwieścili, że na stok wyjechał narciarz nazwiskiem Helmut. Zabrzmiał strzał i Helmut padł w śnieg. Chevy Chase stwierdził, że Helmut został przypadkowo postrzelony przez Claudine Longet. Następnie ruszył narciarz imieniem Jean-Paul. Zabrzmiał strzał i Jean-Paul padł w śnieg. Chevy Chase obwieścił, że Jean-Paul został przypadkowo postrzelony przez Claudine Longet. Po czym Jean-Paul wstał, bowiem został tylko draśnięty. Zabrzmiał kolejny strzał. Jean-Paul upadł z powrotem w śnieg. Wstał. Zabrzmiał trzeci strzał. Padł na dobre. Za każdym razem został przypadkowo postrzelony przez Claudine Longet. Następnie przedstawiono najważniejsze momenty całych zawodów. Narciarze padali jeden po drugim. Powody: Claudine upuściła pistolet, a ten wypalił; Claudine pokazywała pistolet koleżance; Claudine czyściła pistolet. Na koniec odłożyła pistolet na śnieg, a ten wypalił sam z siebie.

Byłam zszokowana tym skeczem; uwielbiałam bezkompromisowy, sardoniczny humor *SNL*, ale to wydało mi się naprawdę w złym guście. Było mi przykro, że kazałam Bukowskiemu to oglądać.

Kiedy pojawiły się reklamy, Bukowski zaśmiał się i powiedział:

– Hej, no to było niezłe. – Po czym dodał: – Ale musisz zrozumieć, że parodia jest najniższą formą pisania czy humoru.

– Te skecze są zwykle lepsze od tego – powiedziałam.

– Cały pomysł na program jest banalny i nieoryginalny – stwierdził.

– Większość tego, co robią, jest bardzo pomysłowa – powiedziałam. – Nie możesz sądzić programu po jednym skeczu.

Bukowski pokręcił głową i stwierdził:

– Łatwo jest wziąć coś, co już istnieje, i użyć tego w pisaniu. Nie wymaga to żadnej wyobraźni.

– Bierzesz to zbyt poważnie – odrzekłam.

– Wiem coś o pisaniu – powiedział.

Byłam zaskoczona, że to powiedział. Zawsze był taki skromny odnośnie swych umiejętności pisarskich i nigdy nie próbował się popisywać czy zachowywać jak wielki skryba.

– Więc co, twoim zdaniem, jest zabawne? – zapytałam, a potem dodałam: – Flip i Flap?

– Przynajmniej byli oryginalni.

– Hank, mamy rok siedemdziesiąty szósty, nie dwudziesty szósty.

– To nie ma znaczenia – powiedział. – Humor powinien być ponadczasowy. To, co widziałaś, za parę lat nie będzie miało żadnego sensu.

Wyłączył telewizor z pięści i wrócił do łóżka.

– Dobrze dziś wyglądasz, Ruda – powiedział, zmieniając temat.

Przysunął się bliżej i objął mnie w talii. Pocałował mnie w policzek, zaczął wodzić palcami po nodze. Wydawał się pragnąć i potrzebować mnie bardziej z każdym dniem, a ja nie wiedziałam, co zrobić z całą tą intensywnością. Znów zaczynałam się czuć jak zwierzę w klatce.

Wysunęłam się z łóżka i wcisnęłam stopy w buty. Odnalazłam torebkę i kluczyki, po czym skierowałam się do drzwi.

– Żartujesz sobie, prawda? – zapytał.

– Hank, muszę się stąd na chwilę wyrwać – powiedziałam.

Wstał i ruszył w moją stronę. Jego nienasycenie zaczynało sprawiać wrażenie bezgranicznego. Potrzebowałam nieco dystansu między nami, więc użyłam tej drobnej utarczki jako wymówki. Musiałam pojechać gdzieś, gdzie nie czułabym się przytłoczona. Te epizody stawały się już u mnie rutynowe, przypominały ataki paniki.

Pobiegłam do frontowych drzwi, a on za mną.

– Proszę, nie idź. Nie chciałem cię obrazić. Proszę, już włączyłem telewizor z powrotem.

Słyszałam, jak głos mu się łamie. Czułam się okropnie, ale nie na tyle okropnie, by chcieć zostać.

– Muszę, Hank. Nie czuję się najlepiej. Po prostu muszę wyjść na chwilę – powiedziałam.

– Proszę, nie odchodź – błagał. Zaczął się czerwienić. Z przerażeniem pomyślałam, że jeśli zostanę tu choć jeszcze chwilę, to on się rozpłacze. Nie potrafiłabym tego znieść.

Bukowski stał przy drzwiach frontowych. Poszłam na tył, otwarłam drzwi na oścież i szybko wyszłam z domu. Kiedy dotarłam na chodnik, zobaczyłam, że stoi przy moim samochodzie.

– Potrzebuję cię dziś, kotku – powiedział. – Proszę, zostań.

– Proszę, Hank, nie rób mi tego. Powiedziałam ci, nie czuję się najlepiej!

Przepchnęłam się obok niego, otwarłam drzwi samochodu i wsiadłam. Nachylił się i przycisnął twarz do przedniej szyby po stronie kierowcy. Jestem pewna, że zobaczyłam łzy w jego oczach. Przygazowałam, ale on się nie odsunął. Nie chciałam go przejechać, ale nie mogłam zostać. Miałam atak lęku. Oddychałam spazmatycznie. Czułam, że jeśli zaraz nie ucieknę, to stracę przytomność.

Odkręciłam okno i zawołałam:

– Wrócę jutro, obiecuję.

Wcisnęłam gaz i wyrwałam się stamtąd w cholerę.

Odjeżdżając, nie patrzyłam w lusterko. Nasz pierwszy, słodki wieczór razem, kiedy Bukowski nachylił się przez szybę i pocałował mnie na do widzenia, wydawał się bardzo odległy. A było to tylko pięć miesięcy wcześniej. Nie wiedziałam, dokąd jadę. Nie wiedziałam, czy jadę do mamy, czy do Georgii, czy do baru. Była prawie pierwsza.

Próbowałam nie myśleć o Bukowskim, jeżdżąc bez celu po Hollywood. Ale nie mogłam pozbyć się jego biednej, nieszczęśliwej twarzy z mojego umysłu. Wydawał się tak załamany; przerastało mnie to. Nie chciałam się tak czuć; było to zbyt niebezpieczne. Więc pomyślałam o tym, co zwykle, gdy emocje były zbyt bliskie wyrwania się na powierzchnię – pomyślałam, żeby się znieczulić. Musiałam walczyć z pragnieniem zatrzymania się na drinka albo łyknięcia pigułki.

Ze wszystkich trudnych dni i nocy, które razem przeżyliśmy, ze wszystkich naszych absurdalnych kłótni, ta jest dla mnie najgorsza. Czuję wstyd, że nie potrafiłam z nim zostać, kiedy najbardziej mnie potrzebował. Ale teraz rozumiem, że to dokładnie z tego powodu uciekłam. Jego uczucia były zbyt intensywne, bym wówczas umiała sobie z nimi poradzić. Nie potrafiłam odwzajemnić mu się taką głębią uczucia i miłości, jakiej oczekiwał i na jaką zasługiwał. Do dziś czasami widzę jego twarz z tamtej nocy, tak pełną miłości i bólu, i łamie mi to serce.

24
DWADZIEŚCIA CZTERY

– Wynoś się stąd, Larry – powiedziałam, zaczynając łkać.

Wróciłam do mojego mieszkanka przy Carlton Way w niecały tydzień po owej impulsywnej ucieczce. Byłam odświeżona, naładowałam baterie i pragnęłam zobaczyć się z Bukowskim, ale nie było go w domu. Parę dni później usłyszałam jego volkswagena, jak zatrzymuje się przed domem. Naprawdę za nim tęskniłam. Aby przywitać go w domu, założyłam jego ulubiony strój w stylu Daisy Mae – krótkie szorty i wycięty top w niebieską kratę z falbankami. Pobiegłam do jego mieszkania boso.

Kiedy wpadłam przez drzwi, siedział zgarbiony w tym swoim prążkowanym fotelu. Podeszłam, podskakując, i wśliznęłam się mu na kolana.

– Gdzie uciekłeś? – spytałam, całując go mocno. Zanim odpowiedział, dodałam: – Zostawiłeś wszystkie drzwi i okna otwarte, kiedy cię nie było. Obiecujesz, że się nie wściekniesz?

– Obiecuję.

– Kiedy cię nie było, przyszła Georgia i używała twojego aparatu. Myślę, że wykonała kilka rozmów międzymiastowych. Próbowałam ją powstrzymać, ale była mocno naćpana. Przepraszam, Hank.

Zaśmiał się z mojego zmartwienia i powiedział:

– Nic nie szkodzi, kotku.

– Cóż… to gdzie byłeś?

– Byłem w Teksasie – powiedział znużonym głosem. – A za parę dni znów muszę wyjechać.

– Z powrotem do Teksasu? – spytałam.

Po naszej kłótni w zeszłym tygodniu coś mi mówiło, że nie powinnam za mocno dociekać, gdzie był. Byłam szczęśliwa, że wrócił, to mi wystarczało.

– Muszę zrobić odczyt w Nowym Jorku – powiedział. – Wyjeżdżam pojutrze.

– Nowy Jork! – zawołałam. – Och, Hank, zabierz mnie ze sobą, proszę.

– Gdybym tak zrobił – odparł – kosztowałoby mnie to tyle, ile zarobię na odczycie. Równie dobrze mógłbym zostać w domu, co i tak bym wolał. Nienawidzę Nowego Jorku.

– Och, Haaank – powiedziałam, robiąc smutną minę.

Wydęłam policzki i wysunęłam dolną wargę, próbując wywołać efekt komiczny. Bukowski roześmiał się.

– Może John za to zapłaci – powiedział, mając na myśli swojego wydawcę. – Uważa, że dobrze wpływasz na moje pisanie. Może mi pomoże.

Kiedy dzwonił, nie ruszałam się z jego kolan.

– Halo, John – powiedział do słuchawki.

Siedziałam, trzymając kciuki i wstrzymując oddech. Trzymałam zaciśnięte oczy, kiedy Bukowski wyjaśniał, czemu dzwoni.

Wreszcie usłyszałam, jak mówi:

– Zrobisz to? Dzięki, chłopie, znowu ci wiszę, młody.

Wymieniwszy jeszcze kilka zdań z Johnem, Bukowski odłożył słuchawkę.

– Wszystko ustalone – powiedział. – Jedziesz.

Zeskoczyłam mu z kolan i paradnym krokiem odtańczyłam taniec zwycięstwa.

– Tak, tak, tak! – wołałam. – Jadę do Nowego Jorku!

– Chodź no tu, ty ruda lisico – powiedział, biorąc mnie na kolana, obejmując i całując mocno.

Następny dzień spędziłam na przygotowaniach do wyjazdu. Musiałam znaleźć coś do ubrania i zrobić pranie. Ale przede wszystkim musiałam sobie załatwić jakieś farmaceutyczne wsparcie, bo latanie mnie przerażało.

Dzień przed lotem odwiedziłam Doktora Dobrodzieja. Opowiedziałam mu o moim strachu przed lataniem, a on wypisał mi receptę na pół tuzina pięciomiligramowych tabletek valium. Normalnie nie brałam depresantów, bo czułam się od nich przymulona – a zawsze wolałam być hiperrozbudzona. Ale w tym przypadku chciałam się właśnie przymulić.

Po wizycie u lekarza pojechałam do mamy zrobić pranie i ustawić się w sprawie opieki nad Stacey, kiedy mnie nie będzie. Ale kiedy tam dotarłam, nie było jej w domu.

Gdy zaczęłam napełniać pralkę, przez drzwi wszedł Larry.

– Masz jakiś koks? – zapytał, nie zadając sobie nawet trudu, by się przywitać.

Normalnie nie miałam nic przeciwko dzieleniu się. Ale teraz miałam tylko tyle, by starczyło na podróż. Po utracie trzech godzin, lecąc na wschód, czekał mnie jetlag i musiałam mieć coś na pobudzenie.

– Nie, nie mam – powiedziałam.

– Nie masz nic?

– Tylko receptę na valium – powiedziałam, uznając, że Larry nie będzie zainteresowany, bo pytał o pobudzacze.

– Valium! Dawaj receptę! – krzyknął.

– Przykro mi, Larry, nie mogę.

Larry

Popatrzył na mnie przez parę sekund. Było to zimne, nieruchome spojrzenie, jak u jaszczura, który skrada się za ofiarą. Zamierzał spróbować innego podejścia.

– Zrealizuję ci tę receptę, jeśli się podzielisz – powiedział uspokajającym tonem oszusta.

– Wypisał mi tylko parę pigułek – odparłam. – Potrzebuję ich na samolot. Jutro lecę z Hankiem do Nowego Jorku.

Larry był podręcznikowym przykładem osoby uzależnionej. Zrobiłby wszystko, spróbowałby każdej możliwości, byle tylko dostać działkę. Kiedy chłodne, spokojne podejście nie poskutkowało, szybko zmienił front na przeciwny. Przeistoczył się we wściekłego wilka.

– Dawaj receptę, Pam. Gdzie ona jest? – zażądał. Jego głos rozniósł się echem po domu.

Cofnęłam się o krok. Wyglądał, jakby stracił rozum. Oczy miał dzikie, rozbiegane. Jego ruda czupryna wydawała się jeszcze bardziej kędzierzawa, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Wiedziałam, że muszę od niego uciec.

Zobaczył, jak moje oczy wędrują ku półce z utensyliami, gdzie położyłam torebkę. Podbiegł do półki i chwycił torebkę. Odepchnęłam go i próbowałam mu ją wyrwać z rąk. Kiedy o nią walczyliśmy, sięgnęłam do środka i wyciągnęłam receptę.

Gdy się na mnie rzucił, wsadziłam karteczkę do ust i udałam, że ją połykam. Wskoczył na mnie i zaczęliśmy się siłować. Ścisnął mnie za twarz, po czym chwycił dłońmi za szyję, dusząc.

– Wypluj to! Wypluj! – wrzeszczał, waląc moją głową o podłogę.

Myślałam, że mnie zabije, ale byłam zbyt dumna i uparta, żeby dać mu, czego chciał. Wolałam już umrzeć.

– Połknęłam ją! – skłamałam.

Poluźnił uchwyt, patrząc na mnie i próbując stwierdzić, czy mówię prawdę. Wtedy poczułam przypływ adrenaliny i udało mi się zepchnąć go ze mnie. Pobiegłam do sypialni mamy i zamknęłam drzwi na klucz.

– Wynoś się stąd, Larry – powiedziałam, zaczynając łkać.

Podniosłam słuchawkę różowego telefonu stojącego na szafce nocnej i zadzwoniłam do Bukowskiego. Nadal trzymałam receptę wciśniętą między dziąsło a policzek. Powiedziałam mu, że Larry próbował mnie zabić za receptę na valium. Nie zadawał żadnych pytań, tylko powiedział, że zaraz będzie. Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami z innego pokoju.

Pozostałam zamknięta w sypialni mamy, aż usłyszałam parkującego volkswagena Bukowskiego. Otwarłam drzwi i przeszłam przez dom na palcach, szukając Larry'ego. Ale on zniknął. Kiedy przy drzwiach spotkałam Bukowskiego, rzuciłam mu się w ramiona z płaczem.

– Chcesz, żebym mu spuścił łomot? – zapytał.

– Nie, tylko chodź ze mną.

Wyjęłam brudne ciuchy z pralki i pojechaliśmy. Po drodze na Carlton Way spojrzałam na receptę. Była pomięta, mokra i częściowo rozmazana. Wątpiłam, żeby udało mi się ją zrealizować.

Kiedy dotarliśmy do domu, zadzwoniłam do Georgii. Powiedziałam jej, że lecę do Nowego Jorku, i zapytałam, czy nie ma jakichś środków znieczulających na lot. Zaoferowała parę quaalude'ów.

Gdy przybyłam do jej mieszkania, była kompletnie naćpana – drzemiąc i budząc się na przemian, z papierosem zwisającym z kącika ust. Siedziała w łóżku z przepełnioną popielniczką po jednej stronie i na wpół zjedzonym, dwudniowym hamburgerem po drugiej. Było u niej diabelnie gorąco, a ona miała na sobie jedynie czerwone, koronkowe body, opadające z jej kościstych ramion.

– Nooo, więc femme fatale z Hollywood leci do Wielkiego Jabłka. Matki, ukryjcie swoich synów – wymamrotała, drapiąc się po twarzy i rękach.

Chwyciłam jej papierosa i zgasiłam go, zabierając popielniczkę z łóżka i stawiając na szafce nocnej.

– Gdzie masz pigułki, Georgia? Przepraszam, ale muszę lecieć. Za chwilę muszę odebrać Stacey ze szkoły.

– Nie ma sprawy, Panno Vanderbilt. Daj mi moją torebkę – powiedziała, wskazując w nogi łóżka. Jak większość narkomanek, Georgia nigdy nie spuszczała oka ze swojej torebki.

Podałam jej tę wielką, brązową, zamszową torbę. Wepchnęła ramię w tę bezdenną otchłań i, kilka razy przysypiając, mieszała na jej dnie, w zwolnionym tempie wyciągając kolejne fiolki, aż trafiła na tę właściwą.

– Kurde, dziewczyno, jestem spóźniona – poganiałam.

– O Jezu, Maryjo i Fredzie, uspokój się, kurwa! Masz – powiedziała, podając mi dwie tabletki quaalude'a.

– Dzięki – odparłam, biegnąc do drzwi.

– Tak, tak – powiedziała, próbując odnaleźć właściwy koniec następnego papierosa.

Następnego dnia Bukowski wspiął się do mnie na górę, żeby pomóc mi z torbami. Dosłownie. Nie miałam żadnych walizek, więc wszystko spakowałam do papierowych toreb na zakupy. Było ich jakieś pół tuzina, wyładowanych po brzegi sukienkami, bluzkami, niebieskimi dżinsami, butami.

Po kilku wędrówkach do volkswagena wreszcie byliśmy gotowi do drogi. Wskoczyłyśmy ze Stacey do wozu i ruszyliśmy do mieszkania mamy.

Kiedy wyruszaliśmy, powiedziałam:

– Czekaj, zapomniałam czegoś.

Pobiegłam do mojego camaro i przekopywałam się przez warstwy śmieci, aż odnalazłam polaroida, którego Bukowski dał mi na urodziny. Z aparatem w ręku pobiegłam z powrotem do volkswagena.

– Jestem głodna – jęknęła Stacey. – Chcę cheesburgera.

– Babcia zrobi ci lunch – powiedziałam.

Wybuchnęła łzami.

– Jestem głodna teraz, mamo – zawyła.

Kiedy byliśmy kilka przecznic od Carlton Way, zawołałam:

– Czekaj. Zawróć, zapomniałam szczoteczki do zębów!

– Możesz używać mojej – powiedział. – Nie zatrzymujemy się już choćby nie wiem co. Będziemy mieć szczęście, jeśli w ogóle zdążymy.

– Nasz samolot odlatuje dopiero za godzinę – odparłam.

– Tak, a dotrzemy tam za godzinę i piętnaście minut, dzięki tobie.

W głębi duszy wiedziałam, że zapewne próbuję sabotować podróż, ponieważ byłam przerażona perspektywą wejścia do samolotu. Żołądek podchodził mi do gardła.

Kiedy dotarliśmy do mieszkania mamy, jej nie było w domu.

Bukowski krzyknął z samochodu:

– Do cholery, Ruda, chodź!

Nie wiedziałam, gdzie jest mama ani jak się z nią skontaktować. Powinna być już w domu. Ale może też zapomniałam jej powiedzieć, kiedy się pojawimy.

– Chcę coś do jedzenia – powiedziała Stacey, łkając.

Znalazłam w spiżarni torbę ciastek i nalałam jej szklankę mleka.

– Masz, włączymy telewizor i możesz sobie zjeść ciastka – powiedziałam, głaszcząc ją po głowie. – Babcia zrobi ci lunch, kiedy tylko dotrze do domu. Będzie tu niedługo, bardzo niedługo.

Ale Stacey tego nie kupowała.

– Nie, nie, nie! Zostań, mamo! – krzyknęła, przyklejając się do mnie.

Bukowski trąbił raz po raz.

– Chodź tutaj, Ruda, do diabła! – wołał.

Uściskałam Stacey mocno, pocałowałam ją na pożegnanie, po czym wstałam i ruszyłam ku drzwiom. Obejrzałam się i spojrzałam na nią. Ostatnim, co zobaczyłam, była jej twarz, czerwona i mokra od łez.

Byłam zmartwiona i smutna, wychodząc na zewnątrz i zamykając drzwi za sobą.

– Kocham cię, skarbie – zawołałam, zamykając drzwi. Wciąż słyszałam, jak płacze. – Niedługo wrócę. Słuchaj się babci – krzyknęłam przez drzwi.

Pobiegłam do wozu i wskoczyłam do środka

Bukowski ruszył szaleńczym zrywem. Prowadził jak maniak, katując skrzynię biegów, gdy docierał z jedynki do piątki w ciągu dziesięciu sekund.

Pozostawienie Stacey sprawiało mi taki ból, że pierwszego quaalude'a połknęłam już w drodze na lotnisko. Przez większość drogi byłam nietypowo milcząca. Gdy dotarliśmy do LAX, czułam przyjemne buzowanie.

Bukowski przeciągnął mnie przez terminal jak szmacianą lalkę. Gdy mieliśmy wsiadać, zobaczyłam automat z ubezpieczeniami. Zatrzymałam się i wyrwałam z jego uścisku.

– Daj mi dwie ćwierćdolarówki, Hank. Chcę się ubezpieczyć. Chcę mieć pewność, że Stacey będzie miała opiekę, jeśli coś mi się stanie.

– O mój Boże, proooszę, Cups, nie rób mi tego. Samolot odlatuje za dwie minuty.

Tupnęłam nogą i zaparłam się mocno o ziemię.

– Nie idę, dopóki nie dasz mi drobnych – zawołałam, waląc go pięścią w ramię jak rozhisteryzowane dziecko.

Twarz Bukowskiego była czerwieńsza od moich włosów. Myślałam, że mnie uderzy albo dostanie ataku serca. Wziął głęboki oddech i wręczył mi dwie ćwierćdolarówki.

Po wypełnieniu krótkiego formularza próbowałam włożyć go w szczelinę automatu. Byłam naćpana, więc potrzebowałam kilku prób. Kiedy wreszcie wykonałam misję, w podskokach podbiegłam do bramki.

Z oddechu Bukowskiego, który brzmiał jak sapanie i parskanie byka, wiedziałam, że aż się w nim kotłuje. Ale nie powiedział ani słowa.

Byliśmy ostatnimi osobami na pokładzie i samolot zaczął kołować, gdy tylko postawiliśmy stopy w środku. Bukowski wsadził moje papierowe torby do schowka nad głową i klapnęliśmy na fotele. Wydał z siebie ogromne westchnienie.

Gdy już się rozsiedliśmy, stewardessa spytała, czy czegoś się napijemy.

– Cztery wódki z tonikiem – odpowiedział jej.

Stewardessa wgapiała się w niego, jakby próbując stwierdzić, czy dobrze usłyszała.

Odpowiedział jej spojrzeniem i rzekł:

– Oczekujemy towarzystwa.

Błysnęła wymuszonym uśmiechem i poszła po nasze drinki. Opuściliśmy tacki i już po chwili każde z nas miało przed sobą po dwa kieliszki. Obaliłam swoje w rekordowym czasie i wyciągnęłam z torebki saszetkę do makijażu i lusterko. Zaczęłam nakładać tusz do rzęs. Jak to miałam w zwyczaju, rozdziawiałam przy tym usta.

Bukowski uwielbiał obserwować, jak nakładam makijaż. Nakręcało go to. Często wchodził do łazienki i po prostu na mnie patrzył. Zwykle robiłam się skrępowana i wypychałam go za drzwi. Ale tym razem odleciałam na więcej niż jeden sposób. Nie obchodziło mnie, kto się na mnie gapi.

Zmieszawszy tabletki z wódą, zaczęłam czuć senność. Wcisnęłam saszetkę pod siedzenie i oparłam się wygodnie o Bukowskiego. Nachylił się ku mnie, a ja ułożyłam głowę na jego ramieniu i wtuliłam się w nie jak w poduszkę.

Dotknął mojej twarzy i wyszeptał mi do ucha:

– Kocham cię, młoda.

– Umm, umm – wymamrotałam.

Następne, co pamiętam, to tłum ludzi nade mną. Z przodu klęczała piękna stewardessa, trzymając moją twarz w dłoniach.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Gdzie jestem? Co się dzieje?

Po czym skupiłam wzrok na Bukowskim.

Uniósł mnie w ramionach i powiedział:

– Hej, Czerwony Kapturku, wystraszyłaś mnie. Dotarliśmy. Jesteśmy już w Zgniłym Jabłku. Możesz wstać i iść?

– Tak, pewnie, nic mi nie jest. O co to całe zamieszanie?

– Myśleliśmy, że nie żyjesz, Cups. Obsrałem się przez ciebie ze strachu.

25
DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Kiedy wchodziliśmy do kościoła, Bukowski trzymał mnie za rękę. Tłum wiwatował i gwizdał, gdy zagłębialiśmy się w ludzkie masy, były tam jedynie miejsca stojące.

Byłam nadal dość otumaniona, ale udało mi się wysiąść z samolotu. Ściskałam po dwie papierowe torby w każdej dłoni, a Bukowski obejmował mnie w talii, niosąc resztę.

Na terminalu JFK przywitał nas barczysty mężczyzna z wielkim uśmiechem. Wziął od nas parę toreb, po czym chwycił dłonie Bukowskiego i potrząsnął.

– Cześć – powiedział. – Jestem Harold. Zabiorę was do hotelu.

– Dzięki, Harold – odparł Bukowski.

– Mój Boże – powiedziałam. – Czuję się jak w parniku.

– Witamy w czerwcowym Nowym Jorku – odparł Harold. – Nie jest tu jak w piosence Irvinga Berlina.

Nie mogłam uwierzyć, jak było tam gorąco i parno. Dorastając w Kalifornii, nigdy nie doświadczyłam podobnej wilgotności. Czułam się, jakbym weszła do sauny, dusiłam się. Cieszyłam się, że założyłam długą, bawełnianą sukienkę. Ale biedny Bukowski miał na sobie grube dżinsy i koszulę z poliestru. W przeciągu kilku minut oboje spływaliśmy już potem.

Było koło północy, gdy dojechaliśmy z Queens na Manhattan. Po drodze zabraliśmy młodego hipstera imieniem

Brian. Adorował Bukowskiego i był grzeczny wobec mnie, ale zauważyłam, że nie wymienił ani słowa z Haroldem. Uznałam, że są rywalizującymi poetami na nowojorskiej scenie.

Gdy w dali uniosły się światła Manhattanu, byłam zadziwiona wysokością budynków. Samo patrzenie przyprawiało mnie o lęk wysokości. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie mieszkają w tych monstrualnych blokach, stojących jeden przy drugim.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, Harold wypuścił nas z wozu, przekazał rzeczy i zmył się. Gdy staliśmy na chodniku, Brian powiedział nam, że Chelsea to legendarne miejsce, gdzie bywało wielu słynnych artystów.

– Macie pokój 1010 – powiedział. – Tam zawsze zatrzymywała się Janis Joplin, kiedy była w mieście.

Gdyby tylko Georgia mogła mnie teraz widzieć, pomyślałam.

Po reklamie hotelu Chelsea, która padła z ust Briana, podekscytowałam się. Widziałam już siebie, jak mieszkam w prawdziwie ekskluzywnym miejscu i żyję jak burżujka. Ale kiedy przestąpiłam próg, moje fantazje rozwiały się. Choć miejsce to miało wiele zalet – wysokie stropy, spiralne schody z kutego żelaza i wspaniałe obrazy na ścianach – zdawało się też zimne i sterylne. Było mroczne i zmurszałe, niemal niepokojące.

Gdy się zameldowaliśmy, Brian pożegnał się, życząc nam dobrej nocy, po czym ruszyliśmy windą na dziesiąte piętro. Zaraz po lataniu najbardziej nie znoszę jeżdżenia windą – a ta była szczególnie straszna. Klatka z kutego żelaza wyglądała, jakby zrobiono ją w dziewiętnastym wieku. Winda zgrzytała i dygotała przez całą drogę na górę, która wydawała się trwać całą wieczność. Podczas tej szarpiącej nerwy podróży trzymałam się mocno Bukowskiego. A on śmiał się przez całą drogę na górę.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do pokoju, moje rozczarowanie tylko wzrosło. Był nijaki i ponury – zupełnie jakbyśmy wrócili na Carlton Way, tylko tu było goręcej niż w piekle. Nie było klimatyzacji albo nie działała. Zaczęłam wachlować się jedną z papierowych toreb.

– Nie ruszaj się stąd, Ruda – powiedział Bukowski. – Zaraz wracam.

Wyszedł z pokoju, a ja siedziałam na skraju łóżka jak posąg. Obawiałam się poruszyć, myśląc, czy nie wyskoczy na mnie jakiś szczur albo szaleniec.

Jakieś piętnaście minut później wrócił Bukowski. Spływał potem i niósł dwa oszronione sześciopaki.

Nie pamiętam, kiedy jeszcze tak bardzo smakowało mi zimne piwo.

Następnego dnia rano pojechaliśmy taksówką do kościoła św. Marka, niemal dwustuletniej budowli w Bowery, gdzie miał odbyć się odczyt. Byłam poruszona majestatem tej świątyni. Była otoczona ogrodzeniem z kutego żelaza i miała białą, strzelistą wieżę z zegarem pośrodku. Przez płot widziałam wysokie posągi z białego marmuru. Piękny kościół był miłą odmianą po nieciekawym Chelsea.

Przed wejściem powitał nas Brian, odstrzelony w modne ciuchy. Uznałam za zabawne, że Bukowski nie wygląda na poetę, a Brian tak. Ale to za zobaczenie Bukowskiego ludzie płacili pieniądze.

Widziałam, że Bukowski jest spięty. Na czoło wystąpiły mu krople potu, jego twarz wydawała się blada i zmarnowana. Nienawidził dawać odczytów. Przyprawiały go one o mdłości ze zdenerwowania. Miałam tylko nadzieję, że wytrzyma i nie zwymiotuje na święconą ziemię kościoła św. Marka.

– Hej – powiedział Brian. – Zanim wejdziemy, pokażę wam coś naprawdę fajnego.

Poprowadził nas na tyły, gdzie mieścił się cmentarz. Zaczął pokazywać groby różnych sławnych ludzi, którzy byli tam pochowani. Bukowski próbował powstrzymać torsje, ale zwyczajnie nie dał rady. Zwymiotował przy jakimś zmarłym, sławnym nowojorczyku.

– W porządku, Hank? – zapytałam.

– Wszystko gra, Ruda – odparł. – Nic mi nie jest, naprawdę.

Podeszliśmy od frontu i zajrzeliśmy do kościoła. Był wypchany. Ludzie stali w wejściach. Tłum był głośny i się niecierpliwił.

– Tędy – powiedział Brian, prowadząc nas do tylnego wejścia.

Wstąpiliśmy do pomieszczenia, które przypominało częściowo odremontowaną piwnicę. Nagle poczułam się zaniepokojona i skrępowana, myśląc o oczekującym w sąsiednim pomieszczeniu tłumie. Jak matka, której syn jest miotaczem w małej lidze bejsbolowej, szczególnie obawiałam się o Bukowskiego. Sprawdziłam makijaż, po czym wyjęłam szczotkę i zaczęłam czesać włosy, jakbym ja też występowała na scenie. Spojrzałam na Bukowskiego. Opierał się o ścianę, zgięty wpół i z ręką na brzuchu.

– Chodź, Hank, czas na przedstawienie – powiedział Brian.

Bukowski wyprostował się, po czym sprawdził w lusterku, czy na twarzy nie zostały mu ślady po wymiocinach.

– Jest tam piwo? – spytał Briana.

– Wszystko przygotowane – odparł Brian. – A teraz chodźmy.

Kiedy wchodziliśmy do kościoła, Bukowski trzymał mnie za rękę. Tłum wiwatował i gwizdał, gdy zagłębialiśmy się w ludzkie masy, były tam jedynie miejsca stojące. Gdy Bukowski zbliżył się do sceny, puścił moją dłoń. Brian zaprowadził mnie do krzesła w pierwszym rzędzie.

(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

W hotelu wypiliśmy prawie całe piwo, więc teraz czułam zawroty głowy z tego całego podekscytowania. Gdy patrzyłam, jak Bukowski czyta, uśmiechałam się jak dumna dziewczyna, którą byłam. Szczególnie kiedy odczytywał wiersze miłosne napisane dla mnie. Moimi ulubionymi były *Wielkie kolczyki* oraz *Obietnica.* Ludzie patrzyli na mnie, gdy je czytał, a ja czułam się odrobinę skrępowana, ale i podekscytowana ich uwagą.

Kiedy Bukowski przeczytał ostatni wiersz tego wieczora, publiczność oszalała. Występ trwał około półtorej godziny. Po wszystkim wymknęliśmy się tyłem i wróciliśmy prosto do hotelu.

W taksówce ścisnęłam go za ramię i powiedziałam:

– Świetnie ci poszło, Hank. Jestem z ciebie dumna, skarbie.

Uśmiechnął się i odrzekł:

– Nie było tak źle.

Widziałam, że jest zadowolony ze swego występu.

W pokoju uczciliśmy udany odczyt ciepłym piwem. Byliśmy uradowani. Padliśmy na łóżko, chichocząc jak dzieci.

Wtedy ktoś zaczął walić w drzwi. Dźwięk ten wyrwał nas z wesołego nastroju. Bukowski pokręcił głową, zwiesił ramiona.

– Kto to, u diabła, może być? – wyszeptał.

Nastąpiły jeszcze dwie serie ostrych stuknięć w drzwi.

– Szlag! Kto tam? – krzyknął Bukowski.

Odpowiedział mu męski głos:

– To my, Dick Williams i Jane Miller.

Bukowski powlókł się do drzwi i otwarł je.

Do środka weszła atrakcyjna para z Ligi Bluszczowej.

– Czego chcecie? – warknął Bukowski.

– Zobaczyć cię, oczywiście – odparł Dick i roześmiał się.

Bukowskiemu nie było do śmiechu.

Dick opadł na łóżko, a Jane zasiadła w fotelu. Po czym Dick zaczął opowiadać nam o swojej poezji, i jak Jane wspierała go, gdy pisał swoje *opus magnum*. Mówił o książkach, których nigdy nie czytałam, i autorach, o których nigdy nie słyszałam. Był aroganckim, akademickim intelektualistą, którego człowiek od razu miał ochotę kopnąć w tyłek.

Po jakichś dziesięciu minutach Bukowski powiedział:

– Dobra, widzieliście mnie. Teraz możecie iść.

Otworzył drzwi i zamachał ręką, żeby poszli. Choć raz byłam szczęśliwa, że jest gburem.

Kiedy wyszli, zrzuciliśmy ubrania i poszliśmy do łóżka. Oboje zasnęliśmy kamiennym snem. Następnego ranka zbudziliśmy się odświeżeni. Nie jadłam od doby, ale czułam, że raczej nic nie utrzymam w żołądku. Łyknęłam tabletkę i popiłam butelką gorącego piwa. Kiedy się ubierałam, Bukowski wyszedł i kupił coś do jedzenia. Wrócił po jakiejś pół godzinie z nowymi piwami i butelką smirnoffa.

Paliłam się, żeby wyjść i coś zobaczyć.

– Hej, chodźmy do Empire State Building – powiedziałam.

– Nie, nie mam ochoty iść do Empire State Building.

– A może Coney Island, czy czasem nie jesteśmy w pobliżu?

– Nie, nie chcę iść na Coney Island.

– A co powiesz na Statuę Wolności? – powiedziałam.

– Nie, nie chcę zobaczyć Statuy Wolności.

– A może…

– Jestem zmęczony, skarbie – powiedział. – Te odczyty mnie wykańczają. Chodź, młoda, poodpoczywajmy sobie.

– Jesteś nieimprezowy – odparłam. – Jesteśmy w Nowym Jorku, a ja nawet nie mogę zobaczyć żadnego ze słynnych miejsc. Możemy chociaż wyjść z tej sauny i przejść się na spacer?

– Dobra, Ruda, możemy się przejść – powiedział. Wydawał się zmęczony, znudzony i poirytowany jednocześnie. – Chodźmy.

– Och – powstrzymałam go. – Sekundę.

Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam na informację. Poprosiłam o numer do Eytona Ribnera. Poznałam Eytona, kiedy mu pozowałam, w czasach, gdy był studentem fotografii w Art Center College of Design w Pasadenie. Słyszałam, że ostatnio przeprowadził się do Nowego Jorku, żeby robić karierę fotografa mody.

– Która dzielnica? – zapytała operatorka nosowym, aroganckim głosem.

– Myślę, że mieszka w Queens – powiedziałam.

– Pani oddzwoni, jak się dowie! – krzyknęła operatorka, po czym rozłączyła się.

– Rany, straszne chamstwo w tym mieście – powiedziałam do Bukowskiego, który stał przy drzwiach niczym znużony strażnik.

Chwyciłam mojego polaroida i wyszliśmy z hotelu. Na zewnątrz wciąż było gorąco i wilgotno. Miałam na sobie mój najlżejszy strój – niebieski tank top, dżinsowe szorty wioślarskie i sandały, ale i tak się pociłam. Bukowski pocił się razem ze mną w swoich luźnych dżinsach i białym T-shircie.

Przespacerowaliśmy się wzdłuż 23. Ulicy do następnej przecznicy. Zauważyłam kiosk z gazetami, podeszłam do wystawy i zaczęłam przeglądać okładki. Szukałam „Village Voice", myśląc, że może być tam recenzja odczytu Bukowskiego.

Kiedy tak szukałam, starszy facet za ladą krzyknął:

– Hej, siostrzyczko, albo coś kupujesz, albo zmykaj!

Odskoczyłam w szoku. Chamstwo było stylem życia nowojorczyków, a ja właśnie dostawałam końską dawkę.

Spojrzałam na Bukowskiego, ale on tylko wzruszył ramionami, jakby mówiąc: „Czego się spodziewałaś?".

Gdy tak szliśmy, czułam, jakby miażdżył mnie jakiś wielki ciężar. Wszyscy wydawali się niespokojni i wystraszeni. Nawet powietrze zdawało się brudne i złe.

– Chodź, Ruda, wracajmy do pokoju.

– Hank – nalegałam – naprawdę nie możesz ze mną choć trochę pozwiedzać?

Więc szliśmy tak jeszcze jakiś czas. Cyknęliśmy parę zdjęć. Zrobiłam mu jedno na tle tablicy z napisem „Jezus cię kocha". On sfotografował mnie pod tablicą z napisem „Wszystko za pół ceny".

– Mówię poważnie, Ruda. Muszę wrócić do pokoju. Jest cholernie gorąco.

Dostrzegłam sklep meblowy, gdzie na wystawie stały piękne, skórzane fotele i biurka z półeczkami. Odkąd pamiętałam, moim obrazem sukcesu było biurko z wiśniowego drewna i pękaty, skórzany fotel.

Podbiegłam do sklepu i zaczęłam podziwiać fotel. Kątem oka zobaczyłam, że Bukowski zawraca i rusza w przeciwną stronę. Nie sądziłam ani przez chwilę, że mnie tam zostawi, ale tak właśnie zrobił. Kiedy się obejrzałam, zniknął.

Wracałam samotnie wśród bojaźliwych nowojorczyków. W L.A. zaczepialiby mnie mężczyźni, ale rudowłosa magia nie robiła wrażenia na tych tutaj. Byli jak chodzące trupy. Wydawali się prawie mnie bać.

Pomyślałam o locie powrotnym do L.A. następnego dnia i zaczęłam się czuć niespokojnie. Po czym przypomniałam sobie o recepcie na valium. Otwarłam torebkę i znalazłam poskładaną karteczkę.

Minęłam jeszcze kilka przecznic i zobaczyłam niewielką, wciśniętą w ścianę budynku aptekę przy 8. Alei.

W środku wszystko wydawało się starodawne. Przez brudne okna sączyło się słabe światło, nadając wszystkiemu chorobliwy, żółtawy odcień. Poszłam na tył zakładu i znalazłam starca ubranego w biały kitel. Wręczyłam mu receptę. Nie miałam wielkich nadziei. Nie spodziewałam się też, że będzie uprzejmy, zważywszy że dotąd spotykałam tu samych prostaków i chamów.

– Co to jest? – zapytał, rozprostowując pomiętą receptę.

Byłam zaskoczona, jak łagodny był ton jego głosu. Był to pierwszy nieznajomy tego dnia, który nie był wobec mnie niemiły.

– Jutro wracam samolotem do L.A. – powiedziałam. – I potrzebuję valium, kiedy znajdę się w samolocie. Boję się latać.

– Bardzo mi przykro, proszę pani – powiedział – ale powinna była pani to zrealizować w L.A.

– Nie miałam czasu – odparłam.

– Chciałbym pani pomóc – powiedział – ale nie mogę zrealizować tej recepty.

– A to dlaczego?

– Jest z innego stanu – odparł.

– Ale może pan zadzwonić do mojego lekarza – powiedziałam.

– Przykro mi – odrzekł – ale nie możemy zrealizować recepty spoza stanu. Poza tym jest praktycznie nieczytelna.

– A gdyby mógł pan ją zrealizować – zapytałam – ile by to kosztowało?

– Dwanaście dolarów – powiedział. – Ale nie mogę zrealizować tej recepty. Przepraszam, droga pani. Proszę zamiast tego wypić parę głębszych na pokładzie.

Wzięłam kartkę z jego rąk i wyszłam na zewnątrz.

Kiedy wróciłam do pokoju, Bukowski pił wódkę. Otwarłam piwo i opowiedziałam mu, co zaszło w aptece.

– Powtarzał tylko: „nie mogę zrealizować tej recepty, nie mogę zrealizować tej recepty". Jakbym mogła to zrobić w sklepie z rupieciami? Ale gdyby mógł, kosztowałoby to dwanaście dolarów. Dwanaście dolarów! W L.A. kosztuje tylko sześć. Jak ludzie mogą żyć w tym piekielnym mieście?

Bukowski słuchał, ale nie powiedział nic. Wydawał się kompletnie wycieńczony gorącem i wysiłkiem.

W pokoju nadal było jak w saunie. Podeszłam do okna i siadłam okrakiem na parapecie. Nie było tu żadnej okiennicy, więc oparłam prawą stopę o framugę, a lewą wywiesiłam na zewnątrz i zaczęłam nią machać.

– Hej, młoda, lepiej stamtąd zejdź – powiedział Bukowski.

– W porządku – odparłam. – Tu jest o wiele chłodniej. Powinieneś sam spróbować.

– Mówię poważnie. Złaź, do diabła, z tego parapetu. Jesteśmy na dziesiątym piętrze.

Spojrzałam w dół, na miasto, i zakręciło mi się w głowie. Straciłam równowagę i poleciałam na bok, na zewnątrz. Chwiałam się na boki, po czym udało mi się złapać obiema rękami framugi i wciągnąć się do środka, używając prawej nogi jako przeciwwagi. Bukowski skoczył mi na pomoc. Tak

bardzo się wystraszyłam, że pobiegłam w stronę łóżka, trzymając się za serce.

– Jezu, młoda – powiedział Bukowski. – Mało brakowało. Traciłem już kobiety, ale nigdy w ten sposób. Jak ja bym to wyjaśnił twojej matce? Jesteś szalona, Ruda.

Pomimo zastrzyku adrenaliny, gdy otarłam się o śmierć, nagle uderzyły we mnie naraz gorąco, skręty i alkohol. Kiedy Bukowski przysunął się, by mnie objąć, spadłam z łóżka. Momentalnie zasnęłam na podłodze.

Następnego ranka polecieliśmy do domu. Nie mogłam się doczekać powrotu do cywilizowanego Hollywood. Tak jak Bukowski, znienawidziłam Nowy Jork.

26
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Jesteś pierdolonym szaleńcem. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! Jesteś jebnięty, Bukowski!

Wkrótce po naszym powrocie z Nowego Jorku Bukowski powiedział mi, że ma kolejny odczyt poezji.

– A gdzie ten będzie? – zapytałam.

– W Złotym Niedźwiedziu – odparł, jakby ta nazwa nic dla niego nie znaczyła.

Jako fanatyczna wielbicielka muzyki wiedziałam, że Złoty Niedźwiedź był prestiżowym klubem nocnym w Huntington Beach, gdzie wielu z największych – w tym Bob Dylan, Jimi Hendrix, Doorsi i Janis Joplin – grało podczas drogi na szczyt.

– Rany, stajesz się popularny, Tatusku. Wspaniałe wieści!

– Nie, nie ma w tym nic wspaniałego. Nienawidzę odczytów, ale mam z nich na czynsz.

– Jak możesz ich nienawidzić? Publiczność cię kocha… Przynajmniej tak było w Nowym Jorku.

– Publiczność mnie nie kocha, a ja nie kocham publiczności. Ludzie patrzą na mnie jak na karnawałowego dziwoląga z trojgiem oczu. Traktują mnie jak małpę naśladującą człowieka. „Chodźcie, chodźcie, panie i panowie. Zobaczcie zdumiewającego Bukowskiego. To pół człowiek, pół małpa. Jego matka została zgwałcona przez King Konga". Niech to chuj, nienawidzę tych skurwysynów.

Poczułam ukłucie smutku, bowiem wiedziałam, że było w tym ziarno prawdy. Choć publiczność w Nowym Jorku była liczna i entuzjastyczna, był tam element szyderstwa. Rozumiałam, czemu Bukowski nie cieszył się na myśl o występie w Złotym Niedźwiedziu.

– Pójdziesz ze mną? – zapytał.

– Kiedy jest ten odczyt?

– W ten piątek – powiedział.

W piątek Stacey miała zostać z babcią, więc powiedziałam Bukowskiemu, że z nim pójdę. Wziął mnie na kolana i ucałował mocno.

– Jesteś w porządku, młoda – powiedział, ściskając mnie.

Przyjechaliśmy do Złotego Niedźwiedzia godzinę przed czasem. Bukowski przedstawił mnie wodzirejowi, który wyglądał mi na cwaniaka. Wydawał się lekko podejrzany i od razu negatywnie się do niego nastawiłam. Choć traktował nas oboje bardzo uprzejmie, nie ufałam mu.

Ponieważ mieliśmy z Bukowskim nieco czasu do zabicia, zatrzymaliśmy się przy barze i wypiliśmy parę drinków.

– Tym razem spróbuj pić nieco wolniej, Hank. Ostatnio nieźle się ubzdryngoliłeś i zacząłeś trochę bełkotać pod koniec – powiedziałam.

Po jakichś trzech kolejkach wróciliśmy do klubu. Bukowski zaczynał czuć się niedobrze i chodził po zapleczu jak zwierzę w klatce.

– Zaopiekuj się moją dziewczyną – powiedział do wodzireja.

– Nie przejmuj się, skarbie. Zajmiemy się nią po królewsku. Może pić na mój rachunek. Co byś chciała, cukiereczku?

Wtedy obwieścili występ Bukowskiego. Wziął głęboki oddech i wszedł na scenę. Tłum zaczął klaskać i wyć.

– Spokojnie, pizdy. Dam wam radę wszystkim na raz – odgrażał się im Bukowski.

To jeszcze bardziej nakręciło tłum. Ludzie gwizdali i krzyczeli wulgaryzmy. Kompletnie zdziczeli. Wreszcie zaczęli się uspokajać, gdy Bukowski zaczął czytać. W międzyczasie co dziesięć minut podchodziła do mnie kelnerka. Zupełnie jakbym miała prywatną służącą. Ciągle pojawiały się nowe drinki, a ja konsekwentnie je osuszałam.

Kiedy Bukowski skończył czytać, byłam już konkretnie zmaltretowana. Udało mi się trafić na zaplecze, gdzie Pan Złoty Niedźwiedź załatwiał sprawy z Bukowskim.

– Byłeś cudowny, skarbie – powiedziałam wylewnie. – Było lepiej niż w Nowym Jorku!

– Tak, tak, dzięki, Cups – odparł Bukowski, próbując mnie usadzić na miejscu. Nienawidził komplementów.

– Dobra, to gdzie byliśmy? – zapytał Pan Niedźwiedź. – Ile mówiłem, że ci zapłacę? Dwie stówy, tak?

– Dwie stówy! – krzyknęłam. – Obiecałeś mu pięćset. Lepiej nie próbuj go ruchać, chłopie! Wiedziałam, że jesteś jakiś podejrzany, jak tylko na ciebie spojrzałam! Masz złe oczy!

– Hej, Ruda, wyluzuj – powiedział Bukowski. – Tylko żartował.

Bukowski odebrał pieniądze i wyprowadził mnie przez tylne drzwi. Gadałam od rzeczy przez całą drogę do domu.

Kiedy dotarliśmy do skrzyżowania Zachodniej Alei z Carlton Way, Bukowski stwierdził, że trzeba mnie uciszyć i przetrzeźwić. Zamiast zwolnić, kiedy skręcaliśmy w Carlton, przyspieszył. Zrobił szeroki łuk przy szybkości co najmniej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, nieomal zahaczając o chodnik.

– Co ty wyprawiasz, Hank? Przestań, przerażasz mnie!

Zaczął śmiać się jak szaleniec i nadal jechał tak samo. Zamiast podjechać pod dom, zaczął kręcić bączki na środku ulicy. Obróciliśmy się kilka razy, po czym wjechał na parking

przed Pizza Pete's i kręcił się dalej. Zaczęło mnie brać na wymioty. Przez cały czas krzyczałam:

– Przestań, Hank! Pozabijasz nas!

Skuliłam się na siedzeniu i wcisnęłam lewą stopę w deskę rozdzielczą, a prawą oparłam o szybę.

– Ty szalony sukinsynu! Natychmiast zatrzymaj wóz!

Po czym zaczęłam płakać. Zahamował gwałtownie. Obcas mego lewego buta przeszedł przez przednią szybę. Cieszyłam się, że miałam na sobie szpilki. To zapewne uratowało moją stopę przed obcięciem.

Pęknięta szyba w volkswagenie Bukowskiego
(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

Kiedy wóz przestał się trząść, Bukowski powiedział:

– No przestań, nie płacz. To było fajne. Nie uważasz, że było fajnie?

Wyskoczyłam z wozu i krzyknęłam:

– Jesteś pierdolonym szaleńcem. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! Jesteś jebnięty, Bukowski!

Przebiegłam przez ulicę, a potem wbiegłam w szpilkach po schodach do mieszkania. Chwilę mi zajęło, nim zasnęłam. Nie mogłam przestać się trząść po tym maniackim popisie kaskaderskim.

Następnego dnia Bukowski przyszedł do mojego mieszkania pełen skruchy i z przeprosinami. Nigdy nie potrafiłam się na niego zbyt długo gniewać, bo on też miał cierpliwość do moich wygłupów. Wybaczyłam mu i życie potoczyło się normalnym biegiem.

To lato w L.A. było gorętsze niż zwykle, a może tak się zdawało, bo żadne z nas nie miało klimatyzacji. Wieczorami chodziliśmy na spacery, by odetchnąć świeżym powietrzem. Pewnego razu szliśmy Carlton Way w kierunku Zachodniej Alei, gdy na jakiejś ruderze zobaczyłam szyld: „Wróżby, 5 dolarów".

– Hej, Hank, patrz, wróżbita. Chodź, zróbmy sobie czytanie z dłoni.

– Ja tam już wiem, co przyniesie los, i to nic dobrego.

– No daj się namówić. Będzie fajnie. *Proszę*.

– To sami oszuści, mała. Nie bądź frajerką.

– *Prooooszę* – błagałam.

– Ach, szlag, dobra.

Zapukaliśmy do drzwi. Otwarła nam jakaś pulchna nastolatka.

– Przyszliśmy po wróżbę – powiedziałam, gdy Bukowski stał z w tle, jak mężczyzna na zakupach z żoną.

– Aha, dobra, czekajcie – powiedziała. Po czym zawołała do drugiego pokoju: – Mamo, są tu jacyś ludzie, chcą wróżby. – Odwróciła się do nas, mówiąc: „Czekajcie", po czym poszła do drugiego pokoju.

Parę minut później przyczłapała w klapkach rozczochrana kobieta w średnim wieku. Miała na sobie stary szlafrok i wyglądała, jakby właśnie wstała z łóżka.

– Może będzie lepiej, jak przyjdziemy kiedy indziej? – zapytałam.

– Nie, siadajcie tu – odparła, prowadząc nas do starego stołu kuchennego, bardzo podobnego do tego, który miał Bukowski.

Zepchnęła na bok jakieś czasopisma, po czym zapytała z mocnym akcentem z Bronksu:

– Dobra, kto chce pierwszy?

– Ty pierwszy, Hank – powiedziałam.

– Pokaż mi dłoń.

Wyciągnął prawą dłoń, a ona zaczęła ją studiować.

– Hmmm – mruknęła. – Widzę, że jesteś chłopem, który za dużo pije. To niedobrze – ostrzegła.

– Hej paniusiu, miałaś czytać moją dłoń, a nie twarz.

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem, ale wróżka pozostała poważna.

– Widzę też, że masz oko do młodych dziewczyn. To też niedobrze. Nie będzie z tego nic poza złamanym sercem.

Rozumieliśmy już wtedy oboje, że ta kobieta nie potrafiła nawet udawać oszusta.

Hank zabrał rękę i powiedział:

– Dobra, wystarczy tego, paniusiu. Chodźmy stąd, Cups.

Złapał mnie za ramię i ruszył ku drzwiom.

– Hej! Panie, należy się pięć dolców.

Bukowski sięgnął do spodni i wyciągnął banknot, po czym z obrzydzeniem położył go na stoliku przy drzwiach.

– Jezu, Ruda – powiedział, gdy dotarliśmy do chodnika. – Powiedziałem ci, że to będzie strata pieniędzy.

Ruszyliśmy do domu, włączyliśmy wentylator, wzięliśmy jakieś zimne piwa i próbowaliśmy jakoś poradzić sobie z gorącem, nie zastanawiając się, co może przynieść jutro.

Que sera, sera.

27
DWADZIEŚCIA SIEDEM

Stwierdziłam, że moją nagrodę Matki Roku diabli wzięli.

Stacey miała wakacje, więc spędzałam mniej czasu na hulankach z Bukowskim. Chyba to dlatego właśnie układało nam się lepiej niż zwykle.

Pewnego gorącego lipcowego dnia wpadliśmy ze Stacey zobaczyć, co porabia. Był w wyjątkowo dobrym nastroju i przywitał nas uściskiem i psotnym uśmieszkiem. Zapytał, czy napiję się piwa, i nawet przyniósł Stacey szklankę 7-upa.

Zawsze był miły wobec Stacey, ale, z oczywistych powodów, wolał być ze mną sam na sam. Czasami robił się zniecierpliwiony jej obecnością. Ale tego dnia był wesoły i kiedy poszedł do kuchni po nasze napoje, poruszał się sprężystym krokiem.

– Hej, co w ciebie wstąpiło? – zapytałam. – Wydajesz się dziś niemal szczęśliwy.

– Po prostu cieszę się, że cię widzę – odparł.

Po kilku minutach opowiedział mi o filmie autorstwa niejakiego Thomasa Schmitta. Pracował on w niemieckim studiu filmowym, które zamierzało nakręcić dokument o codziennym życiu Bukowskiego. Zapytał, czy chcę w nim wystąpić. Byłam zaskoczona, że podchodzi do tego tak entuzjastycznie. Zawsze odnosił się lekceważąco i cokolwiek pogardliwie do wszystkiego, co wiązało się z mediami. Nie wiedziałam o połowie jego wywiadów i sesji zdjęciowych, póki

nie dobiegły końca. Zwykle uznawał je za przykry obowiązek, ale nie tym razem. Powiedziałam mu, że projekt ów brzmi jak dobra zabawa.

– Będą z nami codziennie przez może tydzień. Nie zrób mi tylko tak, Ruda, że najpierw się zaangażujesz, a potem znikniesz.

Obiecałam, że będę grzeczna i wytrzymam. Wydawał się być niemal w siódmym niebie.

Jakiś tydzień później, koło południa, Bukowski wspiął się po moich schodach, by mnie zabrać.

– Hej, Ruda, są tu Niemcy, są tu Niemcy – powiedział. – Weź ten swój słodki tyłeczek w troki, złaź na dół i pokaż im, co masz.

Kiedy weszłam do mieszkania Bukowskiego, spotkałam tam Thomasa i Alexandrię Schmittów, atrakcyjną parę po trzydziestce. On był wysoki i smukły, miał długie włosy, a ubrany był jak miejscowy – dżinsy, T-shirt i sandały. Ona też była wysoka i smukła, o pięknych, długich, prostych, rozpuszczonych blond włosach. Miała na sobie letnią sukienkę i wyglądała jak modelka. Przypominali mi dwoje najatrakcyjniejszych członków grupy ABBA. Uścisnęli mi dłoń. Mówili łagodnymi głosami i byli bardzo uprzejmi. Posiedzieliśmy trochę w salonie Bukowskiego, gadając o niczym, po czym włączyli kamery. Chociaż oboje mówili z niemieckim akcentem, ich angielski był bardzo dobry.

Thomas powiedział mi, że zatrzymali się w motelu Super 8 przy Zachodniej Alei, parę przecznic od Carlton Way. Było to okropne miejsce w okropnym sąsiedztwie i prawdziwa jaskinia grzechu. Powiedzieli, że słyszeli krzyki o trzeciej nad ranem. Alfons próbował utopić prostytutkę, bo ta chowała przed nim pieniądze. Słyszeli, jak krzyczał: „Dawaj kasę, suko, bo cię

zabiję", a kiedy wyjrzeli przez okno, zobaczyli, jak trzyma ją za gardło, wpychając jej głowę do basenu.

– Witajcie we Wschodnim Hollywood, przyjaciele – powiedział Bukowski, śmiejąc się. – Mamy tu wszystko, alfonsów, kurwy, bezdomnych i bezrozumnych. Światowe życie, ludkowie. Słyszymy tę melodię co noc. A jeśli nie, to boimy się, że coś jest nie tak.

Jeśli Schmittowie mieli jakiekolwiek wątpliwości co do reputacji Bukowskiego jako „poety śmietnikowego", to teraz przekonali się, że jest prawdziwa.

Zanim włączyli kamery, wypiliśmy parę piw. Kiedy zaczynaliśmy, ja czułam się już bardzo komfortowo. Prawdę mówiąc, robiłam się ubzdryngolona.

Siedliśmy z Bukowskim blisko siebie na kanapie. Przez większość wywiadu obejmował mnie ramieniem. Przez ostatnie parę tygodni świetnie się nam układało. Nasz związek był w fazie wznoszącej i czułam, że nasze interakcje przed kamerą będą przyjemne.

Schmittowie zadali Bukowskiemu kilka pytań, głównie o dzieciństwo i czasy, gdy mieszkał w podrzędnych motelach, żywiąc się jednym batonikiem dziennie. On raczył nas zabawnymi anegdotami. Był w tak dobrym nastroju, że nawet zaśpiewał dla mnie swoją ulubioną piosenkę:

– *Jesteś dla mnie zła... Czemu musisz być dla mnie taka zła?*

Z Bukiem i Stacey

Tego dnia udało mi się skłonić brata, żeby został ze Stacey przez parę godzin. Niestety musiał ją zostawić, gdy jechał do pracy. Weszła do naszej jaskini niegodziwości, gdy jeszcze trwało filmowanie. Okrągły stolik na środku salonu zastawiony był szczelnie butelkami po piwie i przepełnionymi popielniczkami. Wyglądało to jak najgorsza mordownia w Hollywood – niewłaściwe środowisko dla siedemnastolatki, a co dopiero dla siedmiolatki. Stwierdziłam, że moją nagrodę Matki Roku diabli wzięli.

Stacey była takim dobrym dzieckiem – pomimo swej wyrodnej matki. Ale nie wydawała się wystraszona, przeciwnie, pełna energii atmosfera i skierowana na nią uwaga wydawały się ją bawić. Wiele lat później, w 2004 roku, miała zobaczyć te nagrania w dokumencie *Born Into This* i zareagować kompletnym przerażeniem.

Kiedy przyszedł sąsiad Sam, zawołaliśmy, by wszedł do środka i usiadł z nami. Sam mieszkał na parterze, obok mojego mieszkania i pod kątem do Bukowskiego. Pracował jako ochroniarz w księgarni dla dorosłych przy naszej ulicy. Był wysoki, barczysty, miał jakieś czterdzieści lat i, wbrew swemu budzącemu respekt wyglądowi, zachowywał się bardzo uprzejmie. Przybył tu z Nowego Jorku. Pilnował porządku na podwórku i był samozwańczym obrońcą sprawiedliwości przy Carlton Way. Nie było niczym niezwykłym widzieć, jak wychyla głowę przez drzwi albo przychodzi do Bukowskiego z karabinem w ręku, pytając, czy „słyszeliśmy to” albo czy „nie widzieliśmy czegoś podejrzanego”. Docenialiśmy z Bukowskim jego czujność i strasznie go lubiliśmy.

Sam

Schmittowie zapytali Sama o jego znajomość z Bukowskim. Odpowiedziawszy na kilka pytań, poszedł sobie. Zanim opuścili nas Schmittowie, zaprowadziłam Stacey na górę, do mojego mieszkania. Zaczynałam widzieć podwójnie i musiałam się na chwilę położyć. Jakąś godzinę później wpadła do nas Alexandria. Spytała, czy może nas sfilmować. Zgodziłyśmy się chętnie i powygłupiałyśmy się przed kamerą. Filmowcy poszli sobie wieczorem i obiecali wrócić następnego dnia koło południa.

Nazajutrz Schmittowie pojawili się zgodnie z planem, a Bukowski wpadł do mnie spytać, czy chcę się przyłączyć. Planował zabrać ich na trasę po swoich ulubionych miejscach, dawnych i obecnych, i przy okazji załatwić parę spraw. Wymówiłam się od tego, bo miałam kaca.

Kiedy po południu wrócił do domu, już bez Schmittów, zapytałam, gdzie był przez cały dzień. Powiedział, że wpadli kupić lunch do jednego z jego ulubionych sklepów przy Bulwarze Hollywoodzkim, gdzie ze smakiem zjedli tłuste kanapki z pastrami, które były dobre na kaca. Potem zanieśli jego ciuchy do pralni chińskiej, po czym udali się do urzędu pocztowego w centrum Los Angeles, gdzie pracował przez dwanaście lat. Gdy tak mi o tym opowiadał, widziałam, że czuje się zmęczony i nieco smutny. Zastanawiałam się, czy to ta wycieczka szlakiem wspomnień wprawiła go w złe samopoczucie.

Poszłam do Pizza Pete's po drugiej stronie ulicy i wróciłam z pizzą z pepperoni oraz trzema dużymi pepsi dla każdego z nas. Zjedliśmy u Bukowskiego spokojną kolację, po czym, dla odmiany, poszłyśmy ze Stacey wcześnie spać.

Następnego dnia Schmittowie znów pojawili się koło południa. Tym razem załatwiłam, żeby Stacey spędziła dzień ze swoją koleżanką Niną. Uznałam, że widziała już dość rozpusty.

Spotkałam całą trójkę w mieszkaniu Bukowskiego. Jak zwykle zaczęliśmy wszyscy pić. Bukowski siedział w swym ulubionym prążkowanym fotelu, a ja siedziałam na podłodze obok, przed stolikiem. Tym razem filmowcy skupili się na naszym związku.

Bukowski był w dobrym nastroju i wciąż żartowaliśmy z siebie nawzajem. Rozmowa zeszła na temat małżeństwa. Spytali, czy mamy jakieś plany na sformalizowanie związku, a my żartowaliśmy, że wyprawimy się do którejś z tandetnych kaplic w Las Vegas. Piliśmy, paliliśmy i śmialiśmy się, póki wreszcie nie poszli sobie wczesnym wieczorem.

Gdy tylko zniknęli za drzwiami, Bukowski wybuchnął.

28
DWADZIEŚCIA OSIEM

– Jesteś zwykłą szmatą – bełkotał.

– Ty kurwo! – krzyknął. – Widziałem, jak na niego patrzysz! Nie masz wstydu? Facet siedzi ze swoją kobietą, a ty z nim flirtujesz! Myślałaś, że nie zauważę, co? Ty jebana, zła, jebana kurwo!

Jego oczy były martwe, a twarz stężała w grymasie. Usta miał wykrzywione, a jego wargi drżały, gdy wywarkiwał słowa. Słyszałam już tę jego piosenkę, ale nigdy z takim przekonaniem i z taką agresją. Cholernie się wystraszyłam. O Boże, to się dzieje naprawdę, tym razem naprawdę oszalał.

Poprzednimi razami, kiedy się w to wkręcał, śmiałam się tylko albo mówiłam: „Daj spokój, zwariowałeś, Bukowski". Albo po prostu szłam sobie, póki nie ochłonął.

Ale teraz było inaczej. Wstał z fotela i ruszył na mnie. Nadal siedziałam na podłodze przy stoliku, gdy się ku mnie rzucił. Uniosłam ręce nad głowę, by się bronić, po czym udało mi się wstać na nogi. Dotarłam jakoś do drzwi, gdy kontynuował swą jadowitą tyradę.

– Jesteś zwykłą szmatą – bełkotał. – Wszystkie jesteście takie same! Lepiej uciekaj, ty jebana cichodajko!

Kiedy już widziałam, że mogę bezpiecznie opuścić jego mieszkanie, stanęłam w drzwiach i przeszłam do ofensywy. Instynkt mówił mi, że najlepszym podejściem będzie

zachowywać się jeszcze bardziej nierozsądnie od niego. Zaczęłam wrzeszczeć, jak opętana.

– TY SUKINSYNU! NIGDY WIĘCEJ NIE MÓW DO MNIE ANI MNIE NIE STRASZ W TEN SPOSÓB! MAM JUŻ DOŚĆ TWOICH CHORYCH, JEBANYCH UROJEŃ! CO JEST Z TOBĄ, KURWA, NIE TAK, TY PIERDOLNIĘTY DRANIU?! JESTEŚ CHORY, OBŁĄKANY, LEPIEJ SIĘ Z TEGO SZYBKO WYLECZ ALBO WIĘCEJ MNIE NIE ZOBACZYSZ. MĘCZĄ MNIE TE TWOJE PARANOICZNE GADKI, WYZWISKA I OSKARŻENIA. PIERDOL SIĘ!

Stał tam, gapiąc się tylko i dysząc jak wściekły pies. Wyglądało, jakby wmurowało go w podłogę. Nigdy mnie takiej nie widział i nie był pewny, jak zareagować. Nawet gdy byłam pijana, rzadko mówiłam słowo „pierdolić". Wiedział, że mówię poważnie.

Pobiegłam do swojego mieszkania. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i obserwowałam go z okna na balkonie. Wyłączył światła i nie widziałam, co robi. Nadal byłam wstrząśnięta jego nieprzewidywalnym zachowaniem i bałam się, że się do mnie włamie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby zrobił tak gwałtowny zwrot. Nigdy też nie widziałam z jego strony podobnej fizycznej groźby. Pewnie, doświadczyłam w przeszłości jego zazdrosnych szałów, ale ten przyszedł zupełnie niespodziewanie. Pojawił się nagle i znikąd. Było to naprawdę straszne.

Choć sporo tego dnia wypiliśmy, zastrzyk adrenaliny kompletnie mnie otrzeźwił. Wyłączyłam światło i przyciągnęłam swój wielki, wiklinowy fotel pod okno, by wyglądać znaków, czy nie opuszcza domu. Nie widziałam ani nie słyszałam niczego, nawet stukania maszyny. Uznałam, że siedzi po ciemku, pijąc wódę i użalając się nad sobą.

Około szóstej rano obudziłam się w fotelu. Powlekłam się do sypialni, żeby poleżeć jeszcze parę godzin. Koło jedenastej obudziło mnie pukanie do drzwi. Zastygłam w bezruchu, wiedząc, że to prawdopodobnie on, bo Stacey ciągle była u koleżanki.

Stukanie zrobiło się głośniejsze.

– Hej, Czerwony Kapturku, to ja, szaleniec z dołu – powiedział. – Otwórz. Hej, przepraszam za wczoraj. Chcę z tobą porozmawiać.

Milczałam i nie poruszałam się.

– No chodź, skarbie – powiedział. – Słuchaj, powiedziałem, że mi przykro. Proszę, podejdź do drzwi. Kupię ci nowy kapelusz i szpilki do kompletu.

Nie odpowiedziałam.

– Dobra – powiedział. – Idę sobie, ale chcę, żebyś wiedziała, że mi przykro.

Nie miałam telefonu, więc komunikowaliśmy się głównie osobiście albo pisemnie. Usłyszałam, jak schodzi po schodach. Odczekałam chwilę, a potem podeszłam do okna upewnić się, że poszedł. Przykleiłam się do ściany, żeby mnie nie zobaczył. Zobaczyłam, jak wchodzi do domu tylnymi drzwiami.

Pospiesznie wciągnęłam dżinsy i koszulkę. Nawet nie zawracałam sobie głowy zakładaniem stanika czy majtek. Umyłam zęby i wytarłam twarz szmatką. Musiałam odebrać Stacey i wynieść się stąd, zanim przybędą filmowcy. Kiedy czesałam włosy, usłyszałam, jak ktoś pierzcha spod moich drzwi. Znów odczekałam chwilę i wyjrzałam przez okno. Widziałam, jak ucieka do swojego mieszkania, jak niegrzeczny dzieciak. Skończyłam doprowadzać się do porządku i zdecydowałam, że pójdę boso, szpilki robiły zbyt wiele hałasu.

Chwyciłam torebkę i miałam już wychodzić, gdy zjawili się filmowcy. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak kieruje się ku mnie Alexandria. Szlag, za późno! Otwarłam drzwi, gdy dochodziła do najwyższego stopnia. Na ziemi leżała jakaś koperta. Podniosłam ją i wcisnęłam do torebki.

– Witaj, Pamelo – powiedziała Alexandria. – Jak się masz? Hank powiedział, że nie czujesz się najlepiej.

– Nie, nie czuję się dobrze. Chyba mam grypę, więc nie będę dziś z wami filmować.

Zauważyłam, że ma ze sobą aparat. Wyglądałam jak świeżo wygrzebane zwłoki i poprosiłam, żeby nie robiła mi żadnych zdjęć.

– Przykro mi, że źle się czujesz. Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. Dziś wyjeżdżamy i chciałam powiedzieć ci, jak bardzo mi było miło cię poznać.

Odparłam, że wzajemnie i chętnie bym ją uściskała, ale nie chciałam narażać jej na kontakt z zarazkami grypy, prawdziwymi ani zmyślonymi.

– Trzymaj się, Pamelo.

– Dziękuję, Alexandrio. I proszę, pożegnaj ode mnie Thomasa. Wracajcie bezpiecznie do domu – powiedziałam, gdy schodziła na dół, ku mieszkaniu Bukowskiego.

Odczekałam kilka chwil, chwyciłam torebkę i stanęłam przy drzwiach wyjściowych. Wyciągnęłam kopertę z torebki i otwarłam ją. Choć czułam ulgę, bo Bukowski wydawał się z powrotem przy zdrowych zmysłach, nadal byłam wstrząśnięta całym tym zdarzeniem.

Wiadomość mówiła, że jest złym człowiekiem i błaga o wybaczenie. Podpisał się „Cholerny Hank” i narysował swego charakterystycznego ludzika, który trzymał bukiet kwiatów. Wsadziłam kartkę z powrotem do torebki i ruszyłam do samochodu.

Było tylko jedno wyjście na ulicę i przechodziło ono przed drzwiami jego mieszkania. Przebiegłam przed jego frontowym oknem, jak szybko umiałam, z nadzieją, że mnie nie zobaczy. Dotarłam do wozu i pojechałam ku Zachodniej Alei.

Odebrałam Stacey z domu Niny. Dziewczynki właśnie kończyły lunch. Podziękowałam mamie Niny, Annie, i pojechałam. Nie wiedziałam, dokąd się teraz udać. Nadal prześladował mnie poprzedni wieczór.

Zatrzymałyśmy się pod monopolowym, żeby kupić swój normalny zestaw śmieciowego żarcia – parę yoo-hoo, dla mnie slim jimy, dla Stacey jakieś batoniki i chipsy. Zdecydowałam pojechać do naszego ulubionego miejsca, Echo Park. Często tam bywałyśmy ze Stacey. Było tam sztuczne jezioro i można było wynająć łódkę za dwa dolary za godzinę. W parku było cicho i spokojnie. Dokładnie to, czego potrzebowałam.

Echo Park stał się miejscem, gdzie chodziłyśmy ze Stacey, by odbudować naszą więź. Było to dla nas schronienie przed pogmatwanym życiem.
(©Taylor Brittenham)

Wynajęłyśmy łódkę i zjadłyśmy nasze pożywne przekąski. Byłam nadal oszołomiona wczorajszym koszmarem.

– Wszystko gra, mamo? – spytała Stacey.

Wyrywając się z odrętwienia, powiedziałam:

– Wszystko gra, słodziutka. – Po czym uśmiechnęłam się do niej i zapytałam: – Jak ci minęła noc?

Po jakiejś godzinie wiosłowania wzdłuż i wszerz jeziora pojechałyśmy do domu mojej mamy. Zostałyśmy na kolację i oglądałyśmy razem telewizję. Był już weekend i zapytałam mamy, czy nie miałaby nic przeciwko, żeby Stacey została na noc.

Nie zamierzałam zabierać jej z powrotem na Carlton Way, przynajmniej przez jakiś czas. Zdawałam sobie sprawę, że prowadzę niekonwencjonalny tryb życia i nie jest to idealne otoczenie do wychowywania dziecka. Ale dopóki nie byłam gotowa, by się zmienić, zawsze pilnowałam, by Stacey znajdowała się w bezpiecznym otoczeniu, chroniona przed większością szaleństwa i chaosu mego życia. Choć nie ma substytutu poczucia bezpieczeństwa, które daje kochająca matka, to było najlepsze, co mogłam jej dać, wobec mojego pędu ku samozniszczeniu.

Uściskałam i ucałowałam Stacey, po czym powiedziałam jej, że zobaczymy się nazajutrz.

Kiedy wychodziłam, mama posłała mi swoje typowe spojrzenie, mówiące: „Tak bardzo się na tobie zawiodłam".

Kiedy przybyłam na Carlton Way, było zapewne koło dziewiątej wieczór. Gdy parkowałam, zobaczyłam niebieskiego volkswagena Bukowskiego, więc wiedziałam, że jest w domu. Pospiesznie minęłam jego mieszkanie.

Miał zapalone światła, słyszałam z jego kuchni muzykę klasyczną. Dobiegło mnie terkotanie maszyny do pisania. Wyglądało na to, że wredny rudzielec znów go zainspirował. Udało mi się wejść po schodach do siebie bez zwracania jego uwagi. Byłam zmęczona po całodniowej walce i chciałam już jedynie pójść wcześnie spać.

Zdjęłam dżinsy i wśliznęłam się do łóżka z pamiętnikiem. Po piętnastu minutach pisania usłyszałam pukanie do drzwi. Tym razem otworzyłam. Stał tam, znużony i przybity.

– No i kogo my tu mamy? – zapytałam. – Doktora Jekylla czy pana Hyde'a?

– Mogę wejść? Nie zostanę długo – poprosił z wzrokiem wbitym w podłogę.

– Usiądź – powiedziałam, wskazując na otwierane łóżko pośrodku salonu. Usiadłam naprzeciwko w wiklinowym fotelu.

– Brakowało nam ciebie dzisiaj – zaczął.

Nic nie odpowiedziałam. Siedziałam tam tylko, patrząc na niego.

– Słuchaj, Cups, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Masz tę swoją…

– Hej, nie zwalaj tego na mnie – wypaliłam.

– Dobra, masz rację – powiedział. – To nie twoja wina. To ja. Mam w sobie to zło – powiedział, dotykając serca dwoma palcami. – To mój ojciec. Był bardzo złym człowiekiem, a ja mam część jego genów. Przez to nigdy nie będę kompletną osobą. Jestem uszkodzony, skarbie, nie rozumiesz? Nic na to nie poradzę, jestem źle poskręcany.

Nadal na niego patrzyłam. Wydawał się szczerze zrozpaczony swoim zachowaniem i DNA. Zaczynałam się łamać. Ta jego zmaltretowana twarz była brutalnie ekspresywna i żałosna. Wyglądało, że męczy go tak wiele bólu. Zawsze mnie to brało, ale dalej nic nie mówiłam.

– Dobra… to wszystko – powiedział, wzdychając ciężko.

Wstał i ruszył ku drzwiom. Ja nadal siedziałam, patrząc w milczeniu. Kiedy otworzył drzwi, powiedział:

– Mam w domu trochę szampana, jeśli później zaschnie ci w gardle.

– Cordon rouge? – zapytałam.

– Oczywiście – odparł.

– Czekaj, włożę spodnie.

Kiedy wychodziliśmy razem, obróciłam się ku niemu i spytałam:

– A tak przy okazji, co to takiego: cichodajka?

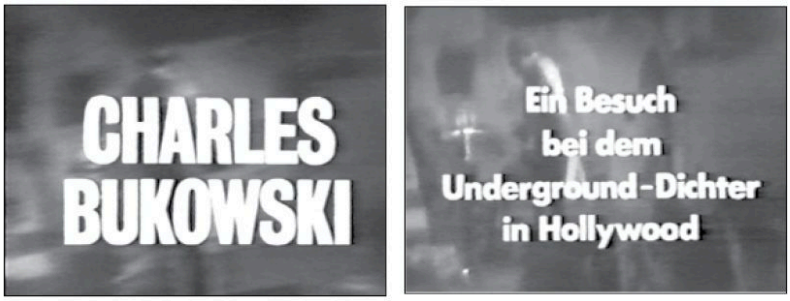

Wspomniany film dokumentalny miał swoją premierę w Niemczech w 1976 roku pod tytułem Charles Bukowski. Wizyta u podziemnego poety w Hollywood.

29
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

[Buk] nie był hipokrytą i nie prawił kazań o tym, nad czym sam nie umiał zapanować.

Parę dni po tym, jak wyjechali niemieccy filmowcy (a przynajmniej tak mi się zdawało), Bukowski miał zrobić odczyt w Trubadurze w Zachodnim Hollywood. Trub, jak go nazywaliśmy, był popularnym lokalem, uważanym za jedno z najbardziej rozrywkowych miejsc w Hollywood. Choć wówczas tego nie wiedziałam, mieli tam być również Schmittowie, by zakończyć swój dokument materiałem filmowym z odczytu Bukowskiego.

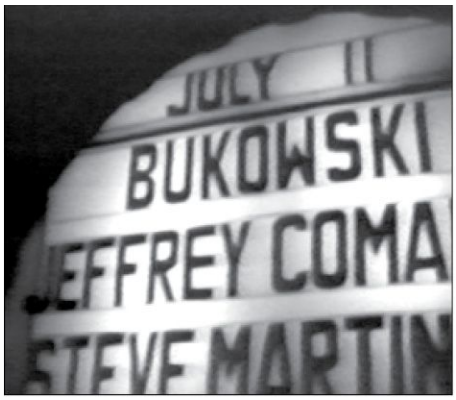

(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

11 lipca Bukowski miał wystąpić przed Steve'em Martinem, który w wieku trzydziestu lat był u progu swej oszałamiającej

kariery, niczym jakaś gwiazda rocka. W przeciągu kilku ostatnich lat Steve przeszedł z pisania do występów na scenie kabaretowej, stał się też znaną twarzą z programów Sonny'ego i Cher, braci Smothers oraz Johnny'ego Carsona. Dzięki swym szalonym wygłupom, zabawnym historyjkom i grze na banjo Steve stawał się przebojem, gdziekolwiek się pojawił. Znaleźć się w jednym programie ze Steve'em było dla Bukowskiego nie lada osiągnięciem.

Bukowski jednak nienawidził występów. Nie potrafiłam wyobrazić sobie większego kontrastu niż pomiędzy rozgadanym, przyjacielskim, kochającym publiczność Steve'em Martinem a ponurym, introwertycznym, nienawidzącym fanów Charlesem Bukowskim.

Jak zwykle przybyliśmy przed czasem – Bukowski był pedantycznie punktualny – po czym podeszliśmy do baru, żeby wypić parę drinków przed oznajmieniem swej obecności obsłudze Trubadura. Zasugerowałam, żeby Bukowski pił tylko piwo, żeby za wcześnie się nie upił. Obiecałam też, że będę oglądać jego występ.

Bukowski pomachał do kogoś w tłumie i skierował mnie na drugą stronę sali. Na tego rodzaju imprezach był przeważnie nietowarzyski, więc zastanawiałam się, kto mógł sprawić, że nie tylko mu pomachał, ale jeszcze się uśmiechnął. Była to poetka Joan Jobe Smith w towarzystwie swego nowego chłopaka.

Podziwiałam cudownie pozytywną, przyjazną osobowość Joan. Promieniała ciepłem i dowcipem, doprowadziła nas oboje do śmiechu. Wypiliśmy we czwórkę jeszcze parę kolejek, po czym pożegnaliśmy się i poszliśmy z Bukowskim zameldować się u Petera, pracownika lokalu, który zarządzał występami.

Klub zaczynał się już zapełniać, a Bukowski zaczynał się denerwować. Poleciał do ubikacji, a ja stałam na zewnątrz, słuchając, jak wymiotuje. Choć brzmiało to tak, jakby miał wyrzygać wnętrzności, byłam spokojna. Przechodziłam z nim przez to już zbyt wiele razy.

Zaczynałam się czuć oszołomiona, porwana podekscytowaniem tłumu, sławą lokalu, reputacją gwiazdy wieczoru oraz działaniem alkoholu.

Kiedy Bukowski wyszedł z ubikacji, Peter zapytał, czy może coś dla nas zrobić. Był przyjaznym, atrakcyjnym młodzieńcem, wysokim, smukłym blondynem, dokładnie takim, jakich Bukowski nienawidził. Bukowski opróżnił pięć piw w niecałą godzinę, więc obawiałam się, że będzie najeżony i nastawiony konfrontacyjnie wobec Petera. Modliłam się, żeby przynajmniej zachował maniery.

– Piwo gotowe? – zapytał Bukowski.

– Jest w lodówce na scenie – odparł Peter.

– Ile go tam jest?

– Pełna lodówka.

Bukowski poklepał Petera po plecach, a ja rozluźniłam się. Teraz było już z górki. Dopóki Bukowski miał zapas browarów, wszystko było dobrze.

– Mogłabym przedstawić Hanka? – zapytałam Petera.

Peter obrócił się do Bukowskiego, który skinął głową i spojrzał na mnie.

– Dla mnie brzmi w porządku – powiedział.

Wbiłam się na scenę z piwem w ręku, chwyciłam mikrofon i spojrzałam na tłum.

– Panie i panowie – zaczęłam, po czym zrobiłam przerwę dla efektu.

Po kilku chwilach powiedziałam:

– Z przykrością zawiadamiam, że Charles Bukowski nie mógł dziś tu dotrzeć.

Hałaśliwa publiczność umilkła, po czym zaczęła wyć, gwizdać i tupać. Bałam się, że bukofile mogą skoczyć i zabić posłańca. Czyli mnie.

– Tylko żartowałam! – powiedziałam szybko. Po czym zawołałam: – Panie i panowie… Charles Bukowskiii!

Publiczność skandowała, gdy Bukowski wgramolił się na scenę, złapał piwo z lodówki i zakosami dotarł do krzesła. Wziął mikrofon i powiedział publiczności, że ma nowy chwyt sceniczny.

Spojrzał na mnie i powiedział:

– Coraz młodsze się robią.

Tłum oszalał. Było to niczym Mardi Gras w lipcu.

Peter odeskortował mnie do stolika z przodu sali, na lewo od sceny.

– Tu będzie dobrze? – zapytał, poklepując blat stołu.

Było to najlepsze miejsce na sali. Skinęłam głową i podziękowałam Peterowi, po czym obróciłam się do kelnerki, która praktycznie zgięła się przede mną wpół. Wszyscy traktowali mnie jak królową, a ja miałam wypieki na twarzy.

– Mogę podać pani coś do picia? – zapytała energiczna kelnerka.

Skoro Bukowski był już bezpieczny na scenie, gdzie nie miał do picia nic poza piwem, uznałam, że mogę już zmienić repertuar. Przez całą tę uwagę czułam się obnażona i potrzebowałam czegoś do ukojenia nerwów.

– Whiskey Sour – powiedziałam.

– Zaraz przyniosę – odparła kelnerka.

Nie mogłam doczekać się jej powrotu. Nagle potrzebowałam wypić coś mocniejszego.

Dałam jej napiwek, po czym rozsiadłam się, by sączyć swego drinka i słuchać Bukowskiego. No cóż, nie słuchałam go aż tak uważnie, znałam już te wiersze, nie sączyłam też drinka, tylko wychyliłam go, po czym złapałam wzrok kelnerki i uniosłam szkło, by nalała mi następną kolejkę.

Opróżniłam kieliszek i zamówiłam następny. Bukowski czytał jakieś wiersze o mnie. Zaczynałam być ostro zawiana, a moje normalne zahamowania zniknęły.

Buk dający odczyt w Trubadurze, 1976 r.
(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

– To było o mnie! – zawołałam, kiedy Bukowski skończył czytać wiersz.

– Tak, moja droga – odparł niezrażony. – To byłaś ty.

Wypiłam jeszcze jednego drinka, a Bukowski przeczytał więcej wierszy. Po każdym wykrzykiwałam jakiś komentarz.

– Kocham cię, Hank.

– Tak, kochanie.

– Przeczytaj jeszcze jeden o mnie!

Po jakiejś godzinie występu Bukowskiego zaczęło mnie mdlić. Cała sala się kołysała, podobnie jak mój żołądek.

Wstałam i natychmiast opadłam z powrotem na krzesło. Znów spróbowałam wstać. Podniosłam się i zobaczyłam symbol wyjścia. Zataczając się pomiędzy stolikami,

próbowałam nie spuszczać go z oka. Potrzebowałam trochę świeżego powietrza, inaczej będzie ze mną naprawdę źle.

Byłam już prawie na zewnątrz, gdy usłyszałam:

– Pam, hej, Pam.

Rozejrzałam się i zobaczyłam Jacka Nitzschego i Carrie Snodgress, siedzących przy stoliku na środku sali. Jack zamachał do mnie, żebym podeszła. Wzięłam głęboki oddech. Spróbowałam iść prosto i wyglądać na trzeźwą.

Gdy szłam ku ich stolikowi, moja iluzja zaczęła się sypać. Potykałam się, zataczałam i wpadałam na ludzi.

Kiedy wreszcie do nich dotarłam, wybełkotałam:

– Cześć, Jack. Jak leci?

– Świetnie się bawimy – odparł. – Pan starszy nie bierze jeńców – powiedział, machając na tłum.

– Tak – odparłam, czując przypływ mdłości.

Modliłam się, by się nie zbłaźnić, wymiotując na ich oczach.

Gdy Jack przedstawiał mnie Carrie, czułam się rozgorączkowana i pokryta zimnym potem. Dlaczego wychyliłam te wszystkie whiskey?

Kiedy sięgnęłam, by uściskać dłoń Carrie, zatoczyłam się na stół, przewracając drinki, które polały im się prosto na kolana.

– Och, przepraszam, przepraszam – jęczałam, chwytając serwetki i próbując osuszyć ich ubrania, robiąc przy tym tylko jeszcze większy bałagan.

Od kiwania się pomiędzy nimi zrobiło mi się jeszcze gorzej i padłam twarzą na stolik.

– Wszystko w porządku, Pam? Chciałabyś usiąść i do nas dołączyć? – zapytała Carrie uspokajającym głosem, próbując podtrzymać mnie za ramię.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam w jej oczach troskę. Była taka urocza i pełna gracji. Rozumiałam teraz, czemu Jack oszalał na jej punkcie.

Odepchnęłam się od krawędzi stolika i usiłowałam stanąć prosto, ale wszystko wokół wydawało się być ułożone pod niewłaściwymi kątami.

– Och, nie, ale dziękuję – wybełkotałam. – Muszę iść.

Zrobiłam niepewny krok, po czym obróciłam się i powiedziałam:

– Bardzo przepraszam.

– Nie musisz przepraszać – powiedziała Carrie swoim słodkim głosem.

– Na pewno dasz sobie radę? – zapytał Jack.

– Tak, tak, nic mi nie jest – zapewniłam, próbując zwinąć usta w przyjazny uśmiech. – Do zobaczenia później.

Cofając się, wpadłam na kolejny stolik. Modliłam się, żeby dotrzeć do toalety, zanim zdemoluję cały lokal.

Po drodze do łazienki miałam wrażenie, że brnę przez stadion o olimpijskich wymiarach, pełen pułapek i przeszkód. Jakoś udało mi się dotrzeć do celu, gdy wreszcie niebo spadło mi na głowę. Kiedy rzygałam, wszystko to wydało mi się chorym żartem, niczym akt końcowy sztuki, rozpoczętej wymiotami Bukowskiego przed odczytem.

Gdy skończyłam, ochlapałam sobie zimną wodą twarz, kark i nadgarstki. Musiałam wracać do domu, i to zaraz. Pomieszczenie wirowało, a ja miałam wrażenie, że zaraz stracę przytomność.

Kiedy wyszłam z toalety, Bukowski wciąż czytał. Znalazłam telefon obok wyjścia i zadzwoniłam do mamy.

– Mamo, jestem w Trubadurze w Zachodnim L.A. i naprawdę źle się czuję. Mogłabyś po mnie przyjechać? – wyjęczałam.

– Jest tu Larry. Wyślę go po ciebie – odparła.

– Jest mi naprawdę, naprawdę niedobrze… Powiedz mu, żeby się pospieszył! – błagałam.

Kazałam jej przekazać Larry'emu, żeby podjechał po mnie od frontu. Zapewniła mnie, że już jedzie.

Kiedy się rozłączyłam, znalazłam bramkarza i poprosiłam, żeby powiedział Bukowskiemu, że poczułam się źle i wróciłam do domu z bratem.

Czekając, siedziałam na chodniku z głową między kolanami. Larry przyjechał w ciągu piętnastu minut.

– Idiotko – mówił mi, pomagając wejść do wozu. – Kiedy się nauczysz, jakie są twoje ograniczenia?

Gdybym nie czuła się tak źle, roześmiałabym się z takiej ironii. Mój starszy brat mówi mi, żebym znała swoje ograniczenia. Jeśli w grę wchodził alkohol albo narkotyki, Larry nie przestawał, póki nie stracił przytomności.

– Wisisz mi, Pam – powiedział.

Podczas drogi wzięłam kilka głębokich wdechów, próbując zapanować nad żołądkiem i nie zwymiotować. Gdybym zarzygała samochód Larry'ego, zapewne zatrzymałby się i zbił mnie na kwaśnie jabłko.

Gdy tak jechaliśmy, Larry ściskał kierownicę, jakby próbował ją udusić. A może wyobrażał sobie, że to moja szyja. Wydawało się, że celowo wjeżdżał w każdą dziurę na drodze, tylko po to, by słyszeć, jak jęczę, i widzieć, jak trzymam się za brzuch.

Kiedy wspinaliśmy się po wjeździe na autostradę, Larry obrócił się do mnie i zapytał:

– Czujesz czasem pragnienie, żeby zjechać przez krawędź autostrady? Ja tak. Czasami, gdy śmigam autostradą, patrzę ponad krawędzią w dół i myślę sobie, że wystarczyłoby skręcić tylko o parę stopni w lewo i byłoby po wszystkim. Nie myślisz czasem o takich rzeczach?

– Nie, Larry, raczej nie – wyjęczałam. Biedny Larry, był tak umęczoną duszą.

Gdy wyjechaliśmy zza rogu i pojawił się przed nami dom mamy, zastanawiałam się, co robi Bukowski i czy dostał moją wiadomość. Na pewno zrozumie, bo czemu nie? Sam zawsze się upijał, a potem chorował. W odróżnieniu od Larry'ego miał wobec siebie jakiś dystans. Nie był hipokrytą i nie prawił kazań o tym, nad czym sam nie umiał zapanować.

– Masz jakiś towar? – zapytał Larry, gdy parkowaliśmy pod domem mamy.

Sięgnęłam do torebki i dałam mu moje ostatnie pobudzacze. Byłam gotowa na kolejny odwyk, na myśl o zażyciu czegokolwiek robiło mi się jeszcze gorzej.

Stara, dobra mama otwarła mi drzwi. Od razu pobiegłam do łazienki. Kiedy wróciłam, poszła już do łóżka, a na kanapie leżała poduszka i koc. Znów nadszedł czas na odpoczynek. Nie miałam zobaczyć Bukowskiego przez kolejny tydzień, a on, oczywiście, miał mi wybaczyć.

Buk dający odczyt w Trubadurze z zapasem piwa u boku. W pewnym momencie kłóci się z kimś z widowni i mówi: „Spotkajmy się na parkingu".
(Zdjęcie dzięki uprzejmości Thomasa Schmitta)

30
TRZYDZIEŚCI

– …idźcie obie spać. I żadnych więcej krzyków z balkonu.

Gdy nadszedł wrzesień 1976 roku, mój związek z Bukowskim stawał się coraz bardziej napięty. Minęło dwie trzecie roku, a ja nie miałam pracy, źródła utrzymania ani dumy. Moje uzależnienie od Bukowskiego i pigułek dietetycznych było pełne. Podobnie jak moja matka, nie stawał mi na drodze ku samozniszczeniu, a ja wykorzystywałam to w pełni. Nie byłam pewna, czy się nie ugadali, ale wkrótce miałam się dowiedzieć, że Bukowski zaczynał mieć tego dość.

Seksowny kociak zmienił się w dziką tygrysicę. Im więcej dla mnie robił, tym moja miłość stawała się bardziej nieuchwytna. Tracił kontrolę i musiał uznać, że nadszedł czas szorstkiej miłości. Nie zapłaciłam jeszcze czynszu za sierpień, a był już wrzesień. Wcześniej z radością za mnie wykładał. Zawsze oddawałam mu pieniądze, przynajmniej większość. Ten miesiąc miał być inny.

Kiedy jechałam do Georgii po tabletki, wpadłam do Bukowskiego. Było piękne, ciepłe popołudnie. Specjalnie założyłam jego ulubioną, białą sukienkę z cienkimi ramiączkami, dużym dekoltem i ciasnym gorsetem, który podkreślał wszystkie moje najlepsze atrybuty. Weszłam bez pukania. Siedział przy maszynie i, jak uznałam, klepał kolejne wiersze.

– Cześć, Hankie – powiedziałam swym najsłodszym, najseksowniejszym głosem.

Pisał nadal, nie podnosząc oczu znad maszyny.

– Co tam piszesz? – zapytałam, podchodząc doń od tyłu.

Położyłam mu dłonie na ramionach, jakbym zamierzała zrobić mu masaż. Strząsnął je, jakby miał na plecach muchę.

– Słuchaj, Cups, jestem teraz trochę zajęty – powiedział z irytacją w głosie.

– Och, przepraszam – powiedziałam, widząc, że czeka mnie robota. – Co piszesz? – zapytałam ponownie.

– Słuchaj, próbuję być uprzejmy – odparł, próbując zasłonić ramieniem papier w maszynie. – Jestem tu w połowie roboty, a obiecałem Johnowi, że do dziś skończę.

– Dobra, wrócę wieczorem.

Gdy podeszłam do drzwi, postanowiłam powiedzieć mu, o co mi chodziło.

– Umm, myślisz, że możesz pożyczyć mi parę stów, aż dostanę zasiłek? Jestem już prawie dwa miesiące do tyłu z czynszem. Obiecuję, że ci to zwrócę, w ten czy inny sposób – powiedziałam, trzepocząc powiekami.

– Nie, młoda, tym razem nie mogę ci pomóc. Jestem spłukany – odparł, wracając do maszyny.

– Proszę, Hank, tylko ten jeden raz. Obiecuję, nigdy więcej cię nie poproszę. Prooooszę, oddam ci – żebrałam jak rozpuszczona sześciolatka.

– Nie, nie mam. Proszę, Cups, muszę to skończyć – powiedział, wracając do pisania.

– Spoko-loko, na razie, Hank – powiedziałam, wychodząc.

Szlag! Co mu się stało? Czyżbym traciła rudowłose moce? Postanowiłam ponowić próbę nazajutrz. Może był zwyczajnie zestresowany.

Kiedy zajechałam do Georgii, jej drzwi stały otwarte na oścież. Siedziała na łóżku, malując paznokcie cukierkowo-jabłkową czerwienią. Skończyły się wakacje, a nasze dzieci były w szkole. Mieszkanie wyglądało nie najgorzej, nie licząc bzyczących wszędzie much. Pewnie Bill posprzątał przed wyjściem do pracy w Art Mart. Georgia była o wiele bardziej komunikatywna, niż kiedy ją ostatni raz widziałam.

– Hej, patrzcie, kto tu jest – powiedziała – muza starego świntucha. Co tam, Erato?

– Hej, George, jak się masz? – odparłam.

– Żyję sobie jak we śnie, kotku. – Kiwnęła głową w stronę kuchni i dodała: – W lodówce jest parę piw.

Wróciłam do jej łóżka z piwem i dałam jej jedno.

– Co z tobą? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś miała kupę w majtkach. Gdzie się podziała rozszczebiotana królowa balu?

– To przez Hanka. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Ostatnio dziwnie się zachowuje – powiedziałam, przyciągając sobie krzesło.

– Jakie są objawy? – zapytała.

– Zachowuje się, jakby był na mnie zły. Chciałam, żeby pożyczył mi pieniądze, a on odmówił. Wydawał się bardzo pewny swego.

– Chryste Panie na gumowym bananie, jest, kurwa, facetem – powiedziała. – Z facetami nic nie jest pewne, poza tym, że są zawsze głodni i napaleni. Usiądź mu, kurwa, na kolanach, powzdychaj mu na uszko i pogłaskaj mu wacka. A potem zrób mu kanapkę. Zmieni zdanie.

– Nie jestem pewna, czy to zadziała. Nie jest sobą. Coś się zmieniło – odparłam. Otrząsnęłam się z zamyślenia i przeszłam do prawdziwego powodu mojej wizyty. – Masz jakieś pobudzacze? Recepta odnowi mi się dopiero za tydzień.

Sięgnęła do torebki leżącej na poduszce obok i wyciągnęła fiolkę. Wytrząsnęła na dłoń jakieś dziesięć przezroczystych tabletek, wypełnionych zielonymi i białymi groszkami.

– Mi też by się przydało parę dolców – stwierdziła. – Dam ci dziesięć za dwie dychy.

Przetrząsnęłam torebkę w poszukiwaniu pieniędzy. Znalazłam dziewięć banknotów po dolarze i kilka dolarów w drobnych. Podałam jej te pieniądze, obiecując, że oddam resztę, kiedy dostanę zasiłek. Włożyłam do ust tabletkę i popiłam piwem.

– Wiesz, ten stary skurwiel dzwonił do mnie w zeszłym tygodniu – powiedziała. – Chyba cię szukał.

– Co mówił? – zapytałam.

– Chciał wiedzieć, co robię. Powiedziałam, że poleruję swoje jebane klejnoty i zajadam czekoladki. Co innego mogłabym robić? Stwierdził, że to całkiem zabawne. A potem spytał, czy cię tu nie ma. Powiedziałam, że nie widziałam cię od tygodni. Może to właśnie wkurzyło starego misia.

– Może – odparłam, nie za bardzo w to wierząc.

Zmieniłam temat i zapytałam o Billa i dzieci. Zapewniła mnie, że wszystko jest w dechę. Skończyłam piwo i pojechałam odebrać Stacey.

Następnego dnia obudziłam się, wciąż myśląc o czynszu. Znów zrobiłam się na bóstwo – tym razem założyłam ciasną, anielską bluzkę i jeszcze ciaśniejsze, dżinsowe, krótkie spodnie à la Ann-Margret. Zamiast iść na bosaka, stwierdziłam, że potrzebuję ciężkiej artylerii. Dopełniłam przebrania mymi najseksowniejszymi szpilkami. Sprawdziłam fryzurę i makijaż, po czym zeszłam na dół, do Bukowskiego.

Było wczesne popołudnie. Tym razem zapukałam przed wejściem. Siedział w swoim ulubionym fotelu z piwem w jednym ręku i jajkiem na twardo w drugim.

– Heeejo, skończyłeś swój projekt na czas? – zapytałam.

– Tak, zrobiłem go – odparł.

Ugryzł kawałek jajka i łyknął piwa, po czym powiedział: – Słuchaj, Ruda, przepraszam z tymi pieniędzmi, ale nie mogę już ci pomagać. Sam mam problemy.

– Nie wierzę ci, Hank! Już mnie nie kochasz! – powiedziałam, tupiąc prawym butem w zmaltretowany dywan.

Wmaszerowałam do kuchni, żeby mógł mi się dobrze przyjrzeć od tyłu. Złapałam piwo i wróciłam do salonu. Zamiast siadać mu na kolanach, stanęłam naprzeciwko. Łyknęłam piwa i spojrzałam w dół, prosto na niego.

– Nie wiem, co się z tobą dzieje – powiedziałam. – Ale zmieniłeś się. Chcesz mnie ukarać? Wcześniej zawsze mi pomagałeś. Dlaczego teraz mnie tak traktujesz?

– Hej, spokojnie – odparł, śmiejąc się. – To dla twojego dobra. Nie widzisz? Musisz się nauczyć, jak lepiej zarządzać pieniędzmi.

– Wiesz, że w zeszłym miesiącu musiałam odwiedzić siostrę – powiedziałam. – Pieniądze na czynsz poszły na wyjazd. Miała wypadek samochodowy, na miłość boską, i mnie potrzebowała. Tylko ten jeden raz, proooszę. Przyrzekam, że więcej cię nie poproszę.

– Tym razem nie mogę ci pomóc, Cups. Dlaczego nie wprowadzisz się do mnie? – zapytał, patrząc mi w oczy.

Skończyłam piwo i z hukiem odstawiłam flaszkę na stolik.

– Gadasz zupełnie od rzeczy! – krzyknęłam.

Wyszłam dumnie przez drzwi frontowe i wróciłam do siebie. Trzasnęłam drzwiami, mając nadzieję, że to usłyszy. Aż się we mnie kotłowało. Wzięłam pigułkę dietetyczną i zapomniałam o tym. Później odebrałam Stacey i pojechałyśmy do mamy na kolację.

Kiedy wróciłam na Carlton Way, był wieczór. Kiedy szłyśmy do mnie, Stacey automatycznie podeszła do werandy Bukowskiego. Paliły się u niego światła i było słychać, jak pisze.

– Nie, Stacey – powiedziałam, chwytając ją za rękę. – Jestem na niego wściekła. Już go nie lubię. Jest dla mnie niedobry. Chodźmy na górę.

Kiedy dotarłyśmy do mieszkania, wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że siedzi przed maszyną. Był tam i pisał sobie, jakby nigdy nic. Im dłużej patrzyłam, tym do większego doprowadzał mnie szału, on i jego nonszalanckie podejście. Byłam w okropnych kłopotach finansowych, a on nie wydawał się tym przejmować. Żeby się uspokoić, otwarłam butelkę szampana i usiadłam na balkonie, żeby ją wypić.

– Co tam robisz, mamo? – zapytała Stacey.

– Patrzę sobie tylko na księżyc i gwiazdy – odparłam, dotykając dłonią jej policzka. – Usiądź, skarbie.

– Widzę Hanka, mamo. Widzisz? – powiedziała, wskazując na okno jego kuchni.

– Tak, widzę go – powiedziałam, robiąc się coraz bardziej zła.

Po skończeniu wysokiego kieliszka szampana, złapałam za korek i rzuciłam nim Bukowskiemu w okno.

– A masz, ty draniu! – krzyknęłam z balkonu.

– Tak jest, a masz, ty draniu! – zawtórowała mi Stacey.

– Jesteś palantem, wiesz? – zawołałam.

– Tak, jesteś palantem, Hank – powiedziała Stacey, śmiejąc się.

– Jesteś Pioneer Chicken – dodałam, zdając sobie sprawę, że robi się to absurdalne.

– Tak, jesteś… tym… pieczonym żołądkiem – zawołała Stacey, ciesząc się z tej zabawy w wyzwiska.

Bukowski wstał, zamknął okno, po czym zasiadł z powrotem na krześle i pisał dalej. Gdy tak stukał w klawisze, uśmiechał się i kręcił głową. Ja i Stacey dalej krzyczałyśmy na niego.

Ktoś z podwórka zawołał:

– Cicho tam!

Nic sobie z tego nie zrobiłyśmy.

– Twoja matka jest hamburgerem, a twój ojciec to krowa mleczna! – krzyknęłam, zdając sobie sprawę, że wyglądam coraz bardziej głupio.

– Tak, a twoja gęba wygląda jak purée z ziemnia…

Zanim Stacey zdążyła dokończyć obelgę, zabrzmiały dwa wystrzały.

Co to, do diabła, było?, pomyślałam. Po czym pojęłam, że ktoś strzelał z broni palnej. Natychmiast wrzasnęłam do Stacey, żeby się kryła, i wepchnęłam ją w głąb mieszkania.

– Wszystko w porządku, skarbie? – zapytałam, leżąc płasko na podłodze.

– U mnie w porządku, a u ciebie w porządku, mamo? – powiedziała, pociągając nosem.

– Chyba tak – odparłam, patrząc po sobie.

Zauważyłam mokrą plamę na nodze.

– O mój Boże! – wrzasnęłam. – Dostałam! Nie ruszaj się, Stacey! – krzyknęłam, czołgając się w stronę balkonu jak ranny żołnierz na froncie. – Hank, Hank, chodź tu, szybko!

– Hank! – krzyknęła Stacey. – Chodź tutaj, mama jest ranna! Szybko, szybko!

Bukowski znalazł się w moim salonie w ciągu sekund. Byłam kompletnie spanikowana.

– Co się dzieje, skarbie? – zapytał spokojnie.

– Chyba mnie postrzelono. Spójrz na moją nogę!

Sama bałam się spojrzeć. Gdy ukląkł, by obejrzeć moje nogi, odwróciłam głowę. Wydawało się, że ta czynność sprawia mu

radość.

– Jeezu, Ruda, nic ci nie jest. Tylko rozlałaś sobie coś na spodnie.

Zaczął się śmiać. Kiedy zebrałam dość odwagi, by spojrzeć na nogę, zobaczyłam tam jedynie ciemną plamę po rozlanym szampanie. Wszyscy poczuliśmy ulgę i wybuchnęliśmy krótkim, nerwowym śmiechem.

– Nie możesz tak hałasować i spodziewać się, że nikt nie będzie chciał cię zabić – powiedział. – Nie we Wschodnim Hollywood, mała.

Pojawili się Brad i Sam, Burdelowy Opiekun. Sam miał już naszykowaną strzelbę, gotów strzelać do wroga.

Zanim któryś z nich zdążył coś powiedzieć, Bukowski wyjaśnił, co się stało.

– Wszystko gra. Trochę ją tylko poniosło.

Brad powiedział, żebyśmy nie hałasowali, a potem wyszedł razem z Samem. Kręcili głowami. Bukowski spytał, czy ma zostać na noc.

– Nie, dzięki, damy sobie radę – odparłam.

– Dobra, idźcie obie spać. I żadnych więcej krzyków z balkonu.

31
TRZYDZIEŚCI JEDEN

Pomyślałam, jak to wszystkie osoby w moim życiu, które kochałam i którym ufałam, zdradziły mnie. A teraz do tej listy dołączył Bukowski.

Następnego dnia była sobota. Zrobiłyśmy sobie ze Stacey kolejną wycieczkę do Echo Park, po czym wpadłyśmy do mojej mamy. Znała już procedurę i wzięła Stacey na noc.

Kiedy wróciłam na Carlton Way, podskoczyłam do Bukowskiego. Leżał na łóżku w samej bieliźnie.

– Zaraz wracam – powiedziałam. – Wezmę resztkę szampana.

Wspięłam się do mieszkania i zobaczyłam przyklejoną na drzwiach wiadomość o eksmisji. Nie mogłam uwierzyć. Ściągnęłam ją i pobiegłam z powrotem do Bukowskiego.

– Spójrz na to – powiedziałam, machając kartką. – To wiadomość o eksmisji!

Spodziewałam się, że będzie równie oburzony, co ja. Ale on nawet nie spojrzał na kartkę. Tylko obojętnie podszedł do lodówki w swych bokserkach i koszulce, żeby wziąć sobie następne piwo.

– Hej, tak się dzieje, gdy nie płacisz rachunków – powiedział, biorąc długi haust.

– Hank, nie miałeś z tym nic wspólnego? – zapytałam.

– Oczywiście, że nie, ale czego się spodziewałaś?

– Do diabła! Myślę, że to twoja robota! – powiedziałam. – Daj mi numer do właściciela… Nie zalegam z czynszem aż tak

bardzo.

– Nie znam jego numeru, mała.

– Oczywiście, że znasz. Kiedy się wprowadzałam, mówiłeś, że to twój ziomek.

– To było wtedy, a teraz jest teraz. Wyprowadził się z miasta. Nie znam jego nowego numeru. Posyłam mu pieniądze na skrzynkę pocztową. Tam też wysyła czeki Brad.

– KŁAMIESZ, HANK. NIENAWIDZĘ CIĘ!

Wybuchnęłam płaczem i wybiegłam na zewnątrz. Nie wiedziałam, co robić dalej. Podeszłam do mieszkania Brada i Tiny. Otworzył mi Brad. Potraktował mnie chłodno i nie zaprosił do środka. Stał tylko z głową między drzwiami a moskitierą, jakbym była przechodniem proszącym o skorzystanie z telefonu. Kiedy zapytałam o eksmisję, zaprzeczył, żeby coś wiedział na ten temat, i dodał, że nic nie może na to poradzić. Poprosiłam go o numer do właściciela. Rzucił mi nieobecne spojrzenie, pokręcił głową i powiedział:

– Nie znam go. – Po czym zamknął drzwi.

Poszłam do mieszkania Sama. On też wydawał się bać ze mną rozmawiać, strzelał oczami na boki. Stwierdził, że nie ma pojęcia, jak się skontaktować z właścicielem i zasugerował, żebym porozmawiała z Bradem.

Wróciłam do domu i krzyknęłam z frustracji. Co się ze mną działo? Traciłam kontrolę nad wszystkim i wszystkimi. Czułam się, jakbym była w odcinku *Strefy mroku*. Wszyscy traktowali mnie jak kosmitkę z innej planety. Nawet mój największy fan, mój obrońca, mój bohater mnie zdradził. Pomyślałam, jak to wszystkie osoby w moim życiu, które kochałam i którym ufałam, zdradziły mnie. A teraz do tej listy dołączył Bukowski. Zaczęłam się nad sobą użalać jak nigdy. Dopiłam szampana i poszłam spać, płacząc w poduszkę.

Obudziłam się nazajutrz, zastanawiając się nad następnym ruchem. Dobra, pomyślałam, trzeba się zbierać. Nie ma sensu z tym walczyć. Byłam przekonana, że Bukowski jest w spisku. Mój smutek zmienił się w gniew i determinację. Już ja mu pokażę, pomyślałam. Pójdę sobie i więcej nie wrócę. Pożałuje tego.

– Wszyscy możecie iść do diabła! – wymamrotałam.

Ubrałam się i pojechałam do mieszkania mamy. Opowiedziałam jej, co zaszło, i spytałam, czy mogę się wprowadzić. Nie była szczególnie szczęśliwa, ale się zgodziła. Wróciłam na Carlton Way i zaczęłam wypełniać torby naszymi ciuchami. Bukowski zobaczył mnie i wbiegł po schodach na górę.

– Co ty robisz, Cups?

– A na co ci to wygląda? – wypaliłam.

– No cóż, pomyślmy, wzięłaś swoje najlepsze walizki – powiedział, mając na myśli moje brązowe, papierowe torby. – Jedziesz do Europy? Wiem, że zawsze chciałaś zobaczyć wieżę Eiffla.

– JEB SIĘ, HANK! DOBRZE WIESZ, CO ROBIĘ, I TO TWOJA WINA!

– Hej, nie, skarbie, to zupełnie nie tak – powiedział. – Nie miałem nic wspólnego z tą wiadomością o eksmisji. Naprawdę, źle to zrozumiałaś.

Prawie mu się udało mnie przekonać.

– Słuchaj – dodał – musisz się nauczyć, jak lepiej zarządzać swoim budżetem.

– Ach tak? – powiedziałam. – Cóż, ty się musisz nauczyć zarządzać swoim życiem beze mnie! Zejdź mi z drogi, ty… świętoszkowaty dupku!

Wsadziłam torby pod pachy i przepchnęłam się obok niego, idąc do drzwi.

– Hej, Ruda, nie idź – zawołał za mną, chichocząc.

Zignorowałam go i ruszyłam do wozu.

– Ruda, wracaj tu. No wróć, proszę. Porozmawiajmy o tym. Może mogę ci pomóc – zawołał, idąc za mną do samochodu.

Wrzuciłam torby na tył camaro i szybko odjechałam.

Spędziłam trzy pełne napięcia dni u mamy. Nie piłam. Bukowski dzwonił kilka razy, ale odmówiłam rozmowy. Mama błagała mnie, żebym oddzwoniła. Mówiła, że jest jej go żal, bo brzmiał „tak smutno". Lubiła Bukowskiego i uważała, że ma on na mnie dobry wpływ – ha! Przekazała mi, że powiedział, iż zabrał większość moich rzeczy z mieszkania i przechowuje je u siebie. Niech je sobie ma, pomyślałam.

Trzeciego dnia wpadł mój brat z kolegą z pracy, Norbertem. Norbert był cichym, ciemnowłosym Argentyńczykiem z wąsikiem sprzedawcy używanych samochodów, przez który wyglądał jak postać wykreowana przez Johnny'ego Carsona, Art Fern. Był młody, mniej więcej w moim wieku, niezbyt wysoki, ale uroczy i grzeczny. Spotkałam go dotąd dwukrotnie – raz, kiedy odbierałam Larry'ego z pracy, i drugi raz, gdy Larry zabrał go ze sobą na Carlton Way w odwiedziny do mnie i Bukowskiego. Larry wspomniał, że Norbert jest przy mnie cichy ze względu na głęboki podziw. Powiedział, że uważa mnie za piękność i pragnąłby się ze mną spotkać.

Choć byli kolegami z Larrym, Norbert w ogóle nie tykał narkotyków. Pracował w Art Mart, aby mieć pieniądze na studia dentystyczne w USC.

Norbert nie pociągał mnie fizycznie, ale byłam oczarowana jego rozmarzonymi spojrzeniami. Jak mogłabym nie lubić kogoś, kto nie potrafił mi się oprzeć?

Piliśmy kawę, siedząc przy stoliku w kuchni mamy i gadając o niczym. Oczywiście rozmowa w końcu zeszła na temat narkotyków.

– Masz jakiś towar, Pam? – zapytał Larry.

– Nie, nic nie brałam od paru dni.

– Może umówisz się na wizytę u Dobrodzieja? Zawiozę cię tam i zapłacę – zasugerował Larry.

– Czuję się nieźle bez tabletek – powiedziałam. – A poza tym muszę znaleźć pracę i się stąd wynieść w cholerę. Duszę się przy niej – dodałam, mając na myśli naszą matkę.

– No przestań, dopiero co byłem u dobrego doktora, inaczej sam bym to zrobił – powiedział Larry.

– A co z Georgią?

– Nie ma już dobrych dopalaczy. Dostałem od niej tylko jakieś gówno robione w wannie, poza tym za dużo bierze.

Wiedziałam, że Larry nie przestanie mnie nagabywać, dopóki się nie zgodzę. Zwyczajnie nie miałam energii, by z nim walczyć.

– Dobra, jutro zadzwonię do lekarza – powiedziałam.

Na tym stanęło, po czym pożegnali się ze mną. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi. Był to Norbert. Larry czekał w samochodzie.

– Uch, tego, hm, myślisz, że moglibyśmy kiedyś gdzieś pójść razem?

Był taki zawstydzony i nerwowy. Zrozumiałam, że musiał zebrać w sobie niezwykłą odwagę, by tu wrócić i zagadać do mnie. Jak mogłabym odmówić?

– Pewnie, chciałabym – odparłam.

– Może jutro? Jesteś dostępna?

– Myślę, że tak – odparłam.

– Świetnie! – powiedział, a twarz rozjaśniła mu się w szerokim uśmiechu. – Przyjdę po ciebie o siódmej?

– W porządku.

Następnego dnia mama powiedziała, że znalazła dla mnie ładne, przytulne studio do zamieszkania. Było tuż za rogiem,

na sąsiedniej Monon Street. Powiedziała, że zapłaciła już kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc. Choć nie miałam nic do powiedzenia w tej sprawie, byłam wniebowzięta. Nie mogłam się doczekać, żeby się od niej wynieść, a ona była równie szczęśliwa, że może się mnie pozbyć.

Podeszłyśmy do budynku i spotkałyśmy się z właścicielem mojego nowego mieszkania. Był podstarzałym transwestytą, co mnie nieco uspokoiło, szczególnie po moich ostatnich doświadczeniach ze starym zbereźnikiem z Rodney Drive. Pokazał mi maleńkie mieszkanie i powiedział, że mogę się wprowadzać, kiedy zechcę.

Wieczorem przyjechał Norbert, żeby zabrać mnie na kolację. Nawet przyniósł kwiaty mojej mamie. W samochodzie powiedział, że jedziemy do Yamashiro, eleganckiej restauracji w Hollywood Hills.

Z wielu powodów była to krępująca randka. Restauracja była wyszukana i romantyczna. Nie byłam odpowiednio ubrana, nie miałam też dość zaufania do swej znajomości manier wielkich tego świata. Którego widelca mam użyć najpierw? Co mam zrobić z tą miską wody z cytryną, wypić ją?

Wybór restauracji powiedział mi też, że Norbert ma wobec mnie poważne zamiary. Czułam się przez to niezręcznie, bo nie byłam nim zainteresowana w ten sposób. Rozmawialiśmy o niczym, głównie to ja mówiłam. Po kolacji zaproponował, żebyśmy się przespacerowali po pięknym, japońskim ogrodzie. Otoczenie i widoki były zapierające dech oraz ekstremalnie romantyczne. Szkoda, że wszystko na marne.

Nie mogłam się doczekać, żeby wrócić do domu, mimo obecności matki. Norbert zwyczajnie był jak dla mnie zbyt normalny i zbyt dostosowany.

Wreszcie zawiózł mnie pod dom i odprowadził do drzwi. Podziękowałam za wspaniałą kolację i pocałowałam go

w policzek. Szybko wśliznęłam się do środka, czując ulgę, ale i lekkie poczucie winy. Facet był we mnie totalnie zakochany. Było to ostatnie, czego chciałam, i zastanawiałam się, czy to nie jest w jakiś sposób moja wina. Nie zrobiłam niczego, by go uwieść, a mimo to znalazłam się w kolejnej kłopotliwej sytuacji.

Następnego dnia mama oznajmiła, że wyjeżdża na kilka dni z koleżanką. Jechały do Las Vegas zobaczyć Toma Jonesa. Gdy powiedziałam jej, że przeprowadzę się do nowego mieszkania, zanim wróci z Las Vegas, zobaczyłam na jej twarzy ulgę.

– Lepiej zabierz dodatkowe majtki, żeby mieć czym rzucić w Toma – powiedziałam, gdy zabierała się ze swoją koleżanką w średnim wieku.

Wsiadły do ogromnego oldsmobila. Starsze panie plus wielki samochód to zła kombinacja, pomyślałam, patrząc, jak odjeżdżają. Bardziej martwiłam się o innych kierowców niż o nie.

Tego wieczora oglądałyśmy ze Stacey odcinek *Bionicznej kobiety*, gdy zadzwonił telefon. Myślałam, że to mama, więc odebrałam.

– Hej, jak leci, Ruda? – To dzwonił Bukowski.

– Świetnie, a przynajmniej tak było do teraz – powiedziałam.

– Przestań, skarbie, bądź grzeczna – powiedział. – Nie bądź na mnie zła. Proszę, porozmawiajmy. Tęsknię, Czerwony Kapturku. Nie tęsknisz za mną?

Po czym zaczął śpiewać chórek z kawałka *Jesteś dla mnie niedobra.*

– *Jesteś dla mnie niedobra... Czemu musisz być dla mnie taka niedobra?* – zaciągał.

Ewidentnie był pijany.

– Hank, jestem teraz zajęta, muszę iść – powiedziałam, ziewając do słuchawki, żeby pokazać mu, że jestem znudzona.

– Kiedy wrócisz? – zapytał. – Zostawiłaś w mieszkaniu wszystkie rzeczy.

Wiedziałam, że wziął do siebie większość z nich, więc nie spieszyło mi się z ich zabraniem.

– Nie martw się tym – powiedziałam. – To moje rzeczy, a nie twoje.

– No martwię się o to, i martwię się o ciebie – odparł. – Kiedy cię tu nie ma, to już nie to samo, młoda.

– Zabiorę to, kiedy będę gotowa – powiedziałam. – Nie martw się o mnie.

Odłożyłam słuchawkę. Telefon od razu zadzwonił ponownie.

– Proszę, skarbie – powiedział Bukowski. – Mógłbym dziś do ciebie przyjechać? Tylko na kilka minut. Brakuje mi twojej twarzy.

– Nie! – odparłam, rozłączając się.

Siedziałam tam, czekając na kolejne dzwonki, ale te nie nadeszły.

Położyłam Stacey do łóżka i opadłam na kanapę. Oglądałam późne wiadomości, gdy usłyszałam głośny łomot od strony ganku. Usiadłam przerażona, serce mi waliło. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Cups, jesteś tam? – zapytał głos Bukowskiego. – Otwórz drzwi. To ja, Chlipiący Chłopiec.

Podbiegłam do drzwi i uchyliłam je nieco, nie zdejmując łańcucha.

– Wracaj do domu, Hank – powiedziałam głośnym szeptem. – Leżę w łóżku. Obudzisz Stacey.

– Wpuść mnie tylko na chwilę – powiedział. – Słuchaj, przywiozłem twój adapter i zabawki Stacey. Przynajmniej

otwórz drzwi i pozwól mi je wnieść. Ktoś mógłby ukraść te wspaniałe towary, jeśli je tu zostawię.

– Dobranoc, Hank – odparłam, prawie zatrzaskując drzwi na jego czerwonym, bulwiastym nosie.

Pogasiłam wszystkie światła i patrzyłam, jak wraca do samochodu. Kiedy zniknął mi z oczu, wciągnęłam wszystko do mieszkania. Odczekałam jeszcze dwadzieścia minut i uznałam, że mogę bezpiecznie pójść spać.

Było koło północy, kiedy znów usłyszałam jakieś zamieszanie pod drzwiami. No nie, znowu, pomyślałam. I faktycznie, był to on. Miał ze sobą więcej pudeł. Tym razem nie pukał. Zostawił rzeczy na ganku i się zwinął. Zastanawiałam się, jak długo będzie się tak bawił. Bałam się, że sąsiedzi złożą skargę i mama zostanie wyrzucona z mieszkania. Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon.

– Hej, Ruda, mam problem – powiedział Bukowski. – Próbowałem wsadzić twój wiklinowy fotel do wozu i utknął. Połowa wystaje przez drzwi. Zablokował się tam i nie mogę go wyciągnąć. A teraz szyba od strony pasażera jest wybita. Co ja mam zrobić?

– Zadzwoń po karetkę – powiedziałam i rozłączyłam się.

Znużyła mnie ta gra. Zdjęłam słuchawkę z widełek i zasnęłam na kanapie.

32
TRZYDZIEŚCI DWA

Dzięki Bogu, pomyślałam. Facetka nie ma żadnych szans u pragmatycznego Bukowskiego.

Następnego dnia zadzwoniłam do brata i spytałam, czy w sobotę nie pomogliby mi z Norbertem przy przeprowadzce.

– Masz jakiś towar? – spytał.

– Tak, dam ci w sobotę – obiecałam, mając nadzieję, że to zapewni jego pomoc.

Larry i Norbert pojawili się w sobotę rano i zaczęli ładować cały mój dobytek do swych samochodów. Obaj mieli volkswageny, a ja camaro, które nieoficjalnie przeszło na moją własność. Poobijałam tę biedną maszynę na tyle mocno, że mama kupiła sobie używanego dodge'a darta i przekazała mi kluczyki do zmaltretowanego red bombera.

W drodze do nowego mieszkania zauważyłam wyprzedaż garażową. Wpadła mi w oko klasyczna maszyna do pisania Royal, podobna do tej, którą miał Bukowski, zanim zniszczyła ją jego eks, Linda. Zaparkowałam przy krawężniku. Maszyna była piękna, lśniąco czarna, ze skośno ściętymi klawiszami, mniej więcej z 1930 roku, i wydawała się być w idealnym stanie. Wróciłam do wozu i spotkałam się z chłopakami w moim nowym mieszkaniu. Wyładowaliśmy wszystko i wróciliśmy do mojej mamy.

Zadzwoniłam do Bukowskiego.

– Cześć, to ja – powiedziałam. – Dzięki, że przywiozłeś moje rzeczy.

– Hej, kotku, właśnie siedziałem w domu i myślałem o tobie. – Wydawało się, że czuje ulgę i radość, że w końcu się odezwałam. – Jak się miewasz, młoda? – zapytał.

– Świetnie – odparłam. – Wprowadzam się dziś do nowego mieszkania i zgadnij, co się stało? Zobaczyłam piękną maszynę do pisania na wyprzedaży w okolicy. Chciałabym ją kupić, ale nie mam za co. Kosztuje tylko dwadzieścia dolarów i jest perfekcyjna.

– Chcesz, żebym teraz przyjechał? – zapytał.

– Byłoby wspaniale. Pokażę ci moje nowe mieszkanie.

– Zaraz tam będę – powiedział.

Pakowaliśmy moje ostatnie rzeczy, gdy zobaczyłam, jak nadjeżdża Bukowski. Wybiegłam na środek ulicy i położyłam się na asfalcie wprost przed jego maską. Zatrzymał się centymetry ode mnie. Skoczyłam na nogi i powitałam go przez okno po stronie kierowcy.

– Cześć – powiedziałam, całując go w policzek. Podbiegłam od strony pasażera i wskoczyłam do środka.

– Och… co za teatr, Ruda. Tęskniłem za tobą – powiedział.

Miałam nadzieję, że się nie roztkliwi. Zupełnie nie wiedziałam, co mam teraz zrobić z jego uczuciami do mnie. Byłam bardziej rozdarta niż kiedykolwiek odnośnie kierunku, w jaki ma zmierzać nasz związek. Pokazałam mu drogę do garażu, gdzie odbywała się wyprzedaż.

– Tam jest! – powiedziałam, gdy zatrzymywał się przy krawężniku. Wysiedliśmy i podeszliśmy do maszyny. – Czyż nie jest piękna?

– Ile? – zapytał właścicielki.

– Dwadzieścia dolarów – powiedziała.

– Bierzemy! – krzyknęłam.

Bukowski zapakował maszynę do samochodu, po czym pojechaliśmy do mojego nowego mieszkania, pojedynczy pokój na piętrze w porządnej dzielnicy w Silver Lake. Mieszkanie nie było zbyt wielkie – tylko jeden pokój, mała łazienka z wanną i aneks kuchenny – ale budynek był uroczy pod względem architektonicznym. Utrzymany w stylu tudorskim, zbudowany gdzieś na przełomie wieków, kiedy ludzie byli dużo niżsi. Bukowski wniósł maszynę po schodach i ustawił ją na stoliku. Dla mnie wyglądała jak błyszczący klejnot.

– Czyż nie jest wspaniała? – zapytałam.

– Tak, naprawdę urocza – powiedział. – Co zamierzasz z nią zrobić?

– Napisać wielką amerykańską powieść – odparłam.

– Dobra, zrób to – powiedział.

Wtedy pojawili się Larry i Norbert z resztą moich rzeczy.

– Muszę lecieć – powiedział Bukowski. – Odprowadzisz mnie do samochodu?

Przecisnęliśmy się wąskimi schodami na ulicę. Kiedy podchodziliśmy do wozu, przyciągnął mnie do siebie.

– Wiesz, młoda, zawsze możesz zamieszkać ze mną – powiedział, brzmiąc jak Humphrey Bogart.

– Trochę na to za późno – odparłam. – A poza tym, co ze Stacey?

– Możemy znaleźć większe mieszkanie – powiedział. – Zaczynam teraz zarabiać trochę szmalu. Mam dziesięć tysięcy dolarów na koncie oszczędnościowym. Dałem radę, mała. Nie wiedziałaś? Nie jestem jakimś brudnym, małym prosiakiem z namalowanymi wąsikami – dodał, mając na myśli Norberta.

– Mam teraz za dużo na głowie. Daj mi to przemyśleć, Hank – powiedziałam, wysuwając się z jego mocnego uścisku.

– Dobra, zrób tak. Zadzwoń czasem. Dam ci jakieś porady, jak napisać tę wielką powieść.

Puścił mnie i wsiadł do samochodu.

– Nadal cię kocham, młoda – powiedział, po czym odjechał.

Więc taki był jego plan? Wyobrażał sobie, że jeśli nie pomoże mi z czynszem, to wprowadzę się do niego? I jak dużą rolę odegrał w mojej eksmisji? Jaka by nie była jego pierwotna motywacja, cały plan obrócił się przeciw niemu. Nie byłam pewna, czy mogę mu jeszcze ufać.

Następny tydzień spędziłam na rozpakowywaniu. Po pewnym czasie zaczęło mnie to doprowadzać do szału. Postanowiłam na chwilę się oderwać i pojechałam na Carlton Way z niezapowiedzianą wizytą.

Kiedy podchodziłam do ganku, drzwi nagle otwarły się na oścież. Bukowski odsunął się na bok, wypuszczając dwie atrakcyjne kobiety. Kiedy się z nimi żegnał, dostrzegł mnie na chodniku.

Kobiety wydawały się być koło trzydziestki. Obie były bardzo ładne i dobrze odżywione, przypominały młode debiutantki w towarzystwie. Jedna była brunetką, druga blondynką. Wyglądały na zbyt wyrafinowane i wypielęgnowane, by być zainteresowane Bukowskim, i vice versa. Były ubrane prosto, lecz stylowo. Przypominały mi bogate dziewczyny, z którymi chodziłam do szkoły. Takie, które nosiły fikuśne majtki z wyhaftowanymi dniami tygodnia; takie, które miały własny pokój i królewskie łóżko z baldachimem, przykryte różowym prześcieradłem z koronkami, na którym leżały poduszki i pluszowe zwierzaczki.

Poczułam ukłucie zazdrości, co było dla mnie bardzo nietypowe. Powiedziałam „dzień dobry”, gdy mijały mnie bez słowa.

Nadal o nich myślałam, gdy usłyszałam głos Bukowskiego:

– Hej, Ruda, chodź do środka.

Przytrzymał mi drzwi. Rozejrzałam się wokół w osłupieniu. Mieszkanie było czyściutkie i pachniało cloroxem.

– Kto to był, twoje nowe sprzątaczki? I gdzie je znalazłeś, w stowarzyszeniu studenckim? Można tam teraz dostać pokojówki?

– Nie, to tylko fanki – powiedział, śmiejąc się.

– Nie wyglądają jak twoje typowe fanki – odparłam.

– Kochają mnie, mała – przechwalał się. – Sprzątają mi dom. Przynoszą mi jedzenie i dobre wino. Myślą, że jestem jakimś bogiem.

– To ci fajnie – powiedziałam, nie będąc pod szczególnym wrażeniem. – Masz piwo?

– A może kieliszek wina?

Piliśmy z czystych kieliszków, rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, a później napiliśmy się znowu.

Teraz, kiedy mieszkałam parę domów od mamy, Stacey spędzała z nią o wiele więcej czasu, a ja nie musiałam się tak spieszyć z powrotem. Postanowiłam zostać na noc.

Spędziliśmy bardzo romantyczny wieczór, a seks był dobry i czuły. Postarałam się, by był lepszy niż zwykle. Nadal byłam absolutnie przekonana, że jest we mnie zakochany, ale gdy zobaczyłam go z tymi kobietami, poczułam się zagrożona.

Zrozumiałam, że mogę go stracić dla innej, ale nadal nie byłam pewna, co robić. Wiedziałam, że nie chcę się całkiem go wyrzec, ale przez to, co do mnie czuł, nie mogliśmy zostać tylko przyjaciółmi. Wiedziałam też, że nie jestem wobec niego całkowicie uczciwa, ale byłam skołowana. Ta cała sytuacja zaczynała przyprawiać mnie o ból głowy. Łatwiej było o tym nie myśleć.

Następnego dnia wstałam wcześnie rano, by odwieźć Stacey do szkoły. Bukowski został w łóżku. Przed wyjściem umyłam kieliszki, po czym pocałowałam go w policzek.

Przez następny miesiąc Bukowski wpadał do mnie albo ja do niego. Spotykałam się od czasu do czasu z Norbertem i sądziłam, że Bukowski też spotyka się z innymi kobietami. Norbert mieszkał dwie przecznice od podstawówki Stacey i czasem po odwiezieniu jej z rana do szkoły wpadałam tam, by z nim pofiglować. Pracował na pół etatu i chodził na zajęcia, więc jego plan dnia poddawał się moim kaprysom.

Pomimo całego tego romansowania, ironia chciała, że zaczynałam być coraz mniej zainteresowana mężczyznami. Facet w życiu oznacza pracę na pełny etat, a dwóch facetów domagających się uwagi było okropnie wyczerpujących. Wiedziałam, że wkrótce musi coś pęknąć.

Był już listopad. Znów wpadłam do Bukowskiego bez zapowiedzi. Zapukałam, a on przywitał mnie mocnym uściskiem i pocałunkiem. Weszłam i znów uderzył mnie zapach cloroxu. Mieszkanie lśniło. Wiedziałam, że wróciły tamte kobiety.

– Rany, Hank – powiedziałam. – Co w ciebie wstąpiło? Jakim cudem jest tu tak czysto? Trochę to straszne. Znów wpadły tu twoje pokojówki?

– Ona nazywa się Linda i nie jest moją pokojówką.

– To ta sama, która tu posprzątała ostatnio?

– Tak, to jedna z nich.

– Która? – zapytałam. – Blondynka czy brunetka?

– Blondynka – powiedział. – To bardzo miła osoba. Prowadzi sklep ze zdrową żywnością i chce się mną zaopiekować, czego nie da się powiedzieć o tobie.

– A co, nie opiekuję się tobą? – powiedziałam, tuląc się do niego.

– Tak, kotku, ale w inny sposób.

Poszłam skorzystać z ubikacji. Tam też było idealnie czysto. Żadnych włosów ani pasty do zębów w zlewie. Śmieci nie

wysypywały się z kosza. Muszla klozetowa aż lśniła.

Wróciłam do salonu i powiedziałam:

– Lepiej na nią uważaj, Hank. Wyszorowała twój śmierdziuch. Naprawdę chce cię mieć!

– Chce mnie wiele dobrych kobiet, kotku. Czemu ty nie chcesz?

– Kocham cię, Hank – odparłam. – Ale nie na tyle, żeby czyścić ci toaletę. To dopiero prawdziwa miłość!

Czułam się bardziej skonfliktowana niż kiedykolwiek. Była to co najmniej druga wizyta tej blondynki. Ewidentnie miała co do niego poważne zamiary. I była bystra, musiała być. Wiedziała, że Bukowski szuka kogoś, kto by się nim zaopiekował, i grała na jego potrzebie posiadania matki. Była też piękna i prowadziła własny interes, a przynajmniej miała pracę. Ale, co najgorsze, już jej bronił! To będzie wyzwanie.

Kiedy Bukowski siedział w swoim prążkowanym fotelu w salonie, poszłam do kuchni. Wzięłam piwo z lodówki i usiadłam za jego maszyną. Zaczęłam pisać wiersz pod tytułem *Kurwa domowa*. Pisząc, wymawiałam każdą linijkę tonem szemranej piosenki:

Kurwa domowa mi wpada na chatę,
przynosi mopa i wiadro.
Otwiera clorox i chwyta za szmatę,
ja leję se piwsko w gardło.
Odkurza mi półki i zaściela leże,
potem gotuje frykasy.
Co ona tu robi, w tej brudnej ruderze,
i czemu nie chce kasy?
Niektórzy mówią, że coś jej się śni,
ja na to, że tylko jest miła.

Inni gadają, bym bał się dnia, gdy
stwierdzi, że godzina zapłaty wybiła.

Wyciągnęłam kartkę z maszyny i podeszłam do Bukowskiego.

– Mam tu wiersz, dla ciebie i twojej nowej koleżanki – powiedziałam dziecinnie, machając mu papierem przed nosem, po czym rzuciłam mu go na kolana. – Widzisz, też jestem poetką.

Usiadłam na sofie i położyłam nogi na stoliku. Oznaczałam swoje terytorium i czułam się zaborczo.

– Więc opowiedz mi więcej o tej nowej koleżance – powiedziałam.

Byłam zaskoczona, że chce o niej rozmawiać. Stwierdził, że jest bardzo miłą kobietą i że poznał ją na ostatnim odczycie poezji. Zapewniał, że łączy ich jedynie przyjaźń, ale nie czułam się przekonana. Następnie powiedział mi, że jej przewodnikiem duchowym jest Meher Baba.

– Kto?

– Ich też lubi – powiedział.

– Kogo?

– The Who[2], tę grupę rockową – wyjaśnił. – Ich lider też interesuje się Meher Babą.

Następnie Bukowski opowiedział mi o Babie. Był to duchowy przywódca z Bliskiego Wschodu. Umarł kilka lat wcześniej i miał wielu zapalonych wyznawców. Linda była jednym z nich. Gość milczał i często nie jadł. Jego wyznawcy wierzyli, że otrzymał boskie moce. Najlepsze było to, że polecał, by unikać seksu, bo przeszkadza on w kontakcie ze sferą duchową.

Dzięki Bogu, pomyślałam. Facetka nie ma szans u pragmatycznego Bukowskiego. Jako były katolik był podejrzliwy wobec ludzi, którzy należeli do zorganizowanych

religii albo wielbili przywódców duchowych. Choć nigdy nie odbyliśmy rozmowy na tematy religijne, wiedziałam dość na temat jego poglądów w tej materii, by znać jego cyniczny stosunek do każdego, kto czuł potrzebę przynależności do dowolnego związku wyznaniowego. Choć nie był pozbawiony strony duchowej, nazwałabym go raczej agnostykiem niż ateistą. Ale żadnego seksu, też mi coś! Byłam bezpieczna, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Żeby jednak nie ryzykować, przed wyjściem upewniłam się, że zaspokoiłam jego potrzebę uciech cielesnych.

– Nadal cię kocham, Czerwony Kapturku – powiedział, gdy ubierałam się do wyjścia.

– Wszyscy niesiemy jakiś krzyż – odparłam i pocałowałam go w czoło na pożegnanie.

[2] *Who* (ang.) – kto (przyp. tłum.).

33
TRZYDZIEŚCI TRZY

Kiedy wsiadłyśmy do wozu, Georgia obróciła się do mnie i powiedziała:
– Żywność organiczna? Co się, kurwa, z nim dzieje?

W grudniu 1976 roku mijały trzy miesiące, odkąd wyprowadziłam się z Carlton Way. Nadal spotykaliśmy się z Bukowskim i rozmawialiśmy przez telefon, ale już rzadziej. Choć nigdy nie zapytałam, uznałam, że spędza czas ze swoją nową przyjaciółką, Lindą. Sama nadal czasami spotykałam się z Norbertem i Bukowski wiedział o tym.

Byłam zadowolona z tego, jak wygląda sytuacja. Choć nadal żywiłam uczucie do Bukowskiego, wyrwanie się spod jego czujnego wzroku dało mi poczucie swobody. Ponieważ przestał już naciskać, bym z nim zamieszkała, miałam najlepsze z obu światów.

Pewnego popołudnia Bukowski wpadł z wizytą do mojego studia. Przyniósł parę sześciopaków, a ja otwarłam wielką torbę chipsów. Siedliśmy na kanapie, pijąc piwo i chrupiąc chipsy. Nasza rozmowa była lekka i na luzie. Było między nami mniej napięcia i rozmawialiśmy jak para starych przyjaciół.

Pogodził się już z krótkimi wizytami, takimi jak ta, pozbawionymi wątków romantycznych. Jego melancholia, wynikająca z naszej separacji, zdawała się przygasać. Nie zbliżyliśmy się intymnie już od ponad miesiąca i w tych sprawach też przestał mnie naciskać. Nasz związek zdryfował

w o wiele wygodniejszą strefę. Była pomiędzy nami chłodna atmosfera szacunku.

Rozmawialiśmy przez jakąś godzinę, nadganiając ostatnie parę tygodni. Opowiedział mi o swoich odczytach w Santa Cruz i San Francisco. Przechwalał się, jak to nadskakiwały mu różne kobiety. Powiedział, że jedna zaszturmowała scenę w trakcie jego występu, krzycząc: „Kocham cię, Bukowski, chcę mieć z tobą dziecko!". Musiała ją odciągać ochrona. Nigdy nie wiedziałam, ile z tego było wyssane z palca, a ile zdarzyło się naprawdę, ale jego anegdoty zawsze mnie bawiły, często ku jego konsternacji.

Powiedział mi też, że pisze dużo poezji i rozważa kolejną powieść. Zapytałam, o czym będzie. Odparł, że nie jest pewien, ale nadszedł czas na nową książkę. Nie zaskoczyło mnie, że niechętnie mówi o swojej aktualnej twórczości. Nigdy nie lubił rozmawiać o niedokończonym dziele. Podejrzewałam, że nie chce pozbawiać się energii, a może był trochę przesądny.

Opowiedziałam mu o swojej posadzie statystki na planie filmu *Premiera* Johna Cassavetesa i jak wydawało mi się, że flirtuje ze mną Peter Falk. On zapytał, czy napisałam coś na swojej nowej maszynie. Pokazałam mu początek opowiadania o pacjencie szpitala psychiatrycznego. Zdawało się mu, że jest lekarzem. Dawał porady lekarskie innym pacjentom, często z dobrym skutkiem. Był to zupełny bełkot, ale Bukowski był wobec mnie wyrozumiały.

– Nie najgorzej, młoda. Jest w tym odrobina połysku. Musisz tylko się skupić. Zwolnić i skupić się. Jesteś trochę zbyt… rozsypana. Twój proces myślenia, twoje życie, wszystko zbyt rozsypane.

Doceniałam jego rady i wsparcie, jak sądzę.

Potem spytał mnie, czy mogę włączyć telewizor. Powiedział, że Los Angeles Rams grają w barażach i chciałby obejrzeć

mecz.

Choć Bukowski wolał boks i konie, lubił też oglądać w telewizji mecze futbolowe i bejsbolowe. Ja natomiast nie interesowałam się żadnym z tych sportów, ale z radością się zgodziłam i włączyłam mecz.

Po jakiejś godzinie udawania, że mnie on obchodzi, zaczęłam się czuć zniecierpliwiona. Bukowski był pochłonięty meczem. Bardzo się ekscytował. Ramsi grali z Dallas Cowboys o miejsce w Super Bowl.

– ZNOWU ZABLOKOWANY WYKOP! JEEZU! WY CIENIASY! – wrzeszczał na telewizor.

Nigdy nie widziałam go tak zaangażowanego w grę, nawet na wyścigach.

Chyba źle wybrałam sobie na to czas, ale czułam się znudzona i uznałam, że czas na jakąś muzyczną rozrywkę. Zaczęłam śpiewać piosenkę *Pan Przyłożenie*.

Musisz być futbolowym bohaterem,
by zakręcić się wokół pięknych dziewcząt,
musisz zdobywać przyłożenia, o tak!
Jeśli chcesz kiedyś kołysać dziecko…
Musisz być futbolowym bohaterem,
by zakręcić się wokół pięknych dziewcząt!

Śpiewałam do Bukowskiego, żartobliwie mierzwiąc mu włosy. Obrócił się i obdarzył mnie niezwykle tajemniczym spojrzeniem, jakby studiował moją twarz w poszukiwaniu podejrzanych pieprzyków.

Potem powiedział bardzo poważnym tonem:

– Nie ma dla ciebie nic świętego, Ruda? Niczego nie bierzesz na poważnie, co?

Głębokie przejęcie w jego głosie wzięło mnie z zaskoczenia.

– Rany, Hank, to tylko mecz, ale odpowiadając na twoje pytanie… Nie.

– Nie… Nie ma dla ciebie nic takiego, co? – wyszeptał, wpatrując mi się w oczy na tyle długo, bym poczuła się niekomfortowo. Przy jego skłonności do absurdu sądziłam, że spodoba mu się moja odpowiedź. Jego reakcja zdziwiła mnie.

Po kilku minutach po tej dziwnej wymianie zdań Bukowski stwierdził, że czas wychodzić.

– Ale mecz się jeszcze nie skończył.

– To nic, przeczytam sobie o nim jutro w gazecie. Muszę skończyć parę wierszy dla Johna. Obiecałem mu, że wyślę je jutro. Na razie, młoda.

Odprowadziłam go do drzwi i gdy schodził na dół, krzyknęłam:

– Co robisz w Boże Narodzenie? Mama nie miałaby nic przeciwko, gdybyś wpadł. To już w następną sobotę, dasz wiarę?

– Dzięki, oddzwonię później – powiedział wymijająco.

W Wigilię Bukowski zadzwonił, by powiedzieć, że nie przyłączy się do świętowania z klanem Millerów. Bez zaskoczeń. Święta zawsze sprawiały, że czuł się niekomfortowo. Oboje ich nienawidziliśmy.

Następnego dnia zabrałam Stacey z wizytą do jej przyjaciółki, Niny. Matka Niny, Anna, też była samotną matką jedynaczki i dobrze się dogadywałyśmy. Wymieniliśmy uściski i prezenty. Stacey przyniosła pokazać Ninie swoją nową maszynę do szycia. My z Anną napiłyśmy się wina i odbyłyśmy przyjemną pogawędkę. Ale miałam wciąż poczucie poświątecznego zawieszenia i nie miałam ochoty na długie posiedzenie. Dziewczynki miały frajdę, bawiąc się zabawkami, a Anna zasugerowała, żeby Stacey została na kolacji. Pocałowałam je wszystkie na pożegnanie i wyszłam.

Czułam się znudzona i samotna, więc zdecydowałam się złożyć wizytę Bukowskiemu. Ale najpierw wpadłam do Georgii zobaczyć, jak się miewa. Nie widziałam jej od miesięcy. Nasz związek stawał się coraz bardziej odległy. Popadała w poważną narkomanię.

Ponieważ sama nie byłam aniołem, nie wypadało mi doradzać komukolwiek w sprawie uzależnienia. Mimo to trudno było patrzeć na upadek Georgii, zwłaszcza zważywszy na jej dzieci.

Zatrzymałam się w Thrifty Drugs i kupiłam butelkę taniego szampana dla Billa i Georgii oraz wielkie batoniki Hersheya dla dzieci. Przybyłam do niej około drugiej po południu. W drzwiach powitały mnie dziewczynki, wciąż ubrane w piżamy. Były podekscytowane i chciały mi pokazać swoje zabawki. Siedmioletnia Stephanie miała wielką lalkę, niemal tak wielką, jak ona sama. Maureen, która miała już jedenaście lat, promieniejąc, pokazała mi swój nowy rower. Wręczyłam im po batoniku, po czym uściskałam i ucałowałam obie. Wyglądały jak szczęśliwe, normalne dzieci i byłam zadowolona, że miło spędziły święta. Była tam nawet miniaturowa choinka.

– Jest w domu mama? – zapytałam.

Georgia i Bill byli nadal w łóżku. Spali w alkowie pomiędzy salonem a kuchnią. Nie miała ona drzwi i była w istocie jadalnią. Brak intymności nie wydawał się im przeszkadzać. Było to ich centrum dowodzenia, można było siedzieć w salonie i prowadzić z nimi rozmowę, gdy siedzieli półnadzy w łóżku. Georgia wydawała się zadowolona z mojego widoku.

– Hej, czy to nie sam „kociak z pejczem”? Jak leci? Gdzie się chowałaś?

Wiedziała, że już nie mieszkam przy Carlton Way, bo rozmawiałyśmy krótko po mojej wyprowadzce.

– Wszystko jest koncertowo. Zadomawiam się w moich nowych pieleszach, zaraz za rogiem od mamy, w Silver Lake – odparłam.

– Pracujesz? – spytała.

– Nie, i praktycznie nie szukam. Zacznę po Nowym Roku. Albo to, albo napiszę o przedłużenie zasiłku.

– No, to teraz myślisz rozsądnie – powiedziała.

Georgia była mistrzynią w manipulowaniu systemem. Gdy chodziło o pieniądze od rządu, znała każdy trik.

– Więc co cię sprowadza do miejskiej dżungli? – zapytała.

– Nie widziałam cię od jakiegoś czasu i chciałam tylko wpaść i życzyć wam wszystkim wesołych świąt – powiedziałam, dając jej szampana.

– Hej, dzięki. Chcesz kieliszek? – zapytała.

– Pewnie – odparłam. – Czemu nie?

Czułam się nieco zdołowana i nie byłam pewna dlaczego – może z wyjątkiem faktu, że byłam trzeźwa, a moje życie rozłaziło się jak stary sweter. Wcześniej po każdym okresie abstynencji, gdy już naładowałam baterię, moją pierwszą myślą było, aby znaleźć najbliższą imprezę. Tym razem miałam wrażenie, że jest inaczej, i było to niepokojące.

– Billy, bądź dobrym chłopcem i przynieś nam jakieś kieliszki, co? – poprosiła Georgia.

Bill zeskoczył z łóżka i ruszył do kuchni. Z ulgą dostrzegłam, że ma na sobie bokserki. Z ich dwojga Bill wyznawał bardziej tradycyjne wartości, ale oboje potrafili być bardzo wyzwoleni, zależnie od stężenia substancji chemicznych w organizmie.

Kiedy Bill był w kuchni, Georgia powiedziała mi, że zdobyła dobre dopalacze.

– Mam trochę czarnych piękności. Dobry towar. Chcesz parę?

– A Święty Mikołaj jest socjalistą?

Podała mi dwie i życzyła wesołych świąt. Bill wrócił z kieliszkami. Georgia strzeliła z korka, a ja włożyłam jedną z piękności do ust i popiłam łykiem szampana.

– Wesołych, kurwa, świąt – powiedziała Georgia, wyciągając kieliszek, by się z nami stuknąć.

– Wesołych, kurwa, świąt, i szczęśliwego, kurwa, nowego roku! – zaintonowaliśmy wszyscy razem.

Kiedy skończyliśmy butelkę, powiedziałam im, że zamierzam wpaść do Bukowskiego.

– Hej, chcę iść z tobą. Dawno nie widziałam tego starego potępieńca.

Chwilę jej to zajęło, ale w końcu weszła do salonu w pełni ubrana. Miała na sobie parę nisko zapiętych dzwonów i obcisły czerwony sweterek, obnażający jej brzuch. Dla zwiększenia efektu wzięła jeszcze zielone, pierzaste boa. Nosiła też długie, dyndające kolczyki oraz swoje charakterystyczne koturny, które zdawały się dodawać jej piętnaście centymetrów wzrostu. Biorąc pod uwagę, że zawsze była nawalona, nie miałam pojęcia, jak może się na nich tak sprawnie poruszać.

– No i co myślicie? – zapytała, pozując przed nami. – Wyglądam wystarczająco imprezowo jak dla starego barda?

– Wyglądasz jak milion dolarów – powiedziałam.

– Tak, cała zielona i pomarszczona – drażnił się Bill.

– Och, zamknij się, Bill – powiedziałam. – Wyglądasz świetnie. Jak seksowny elf świąteczny. Chodźmy.

W drodze do Bukowskiego kupiłyśmy sześciopak pabst blue ribbon. Było tanie, a ja, jak zwykle, byłam spłukana. Gdy dotarłyśmy na miejsce, było późne popołudnie.

Bukowski otworzył drzwi i powiedział:

– No kto by pomyślał? Czy to czasem nie nasze dekadenckie duo? Wchodźcie, dziewczyny.

Wydawał się być w dobrym nastroju. Życzyłyśmy mu wesołych świąt, a ja wręczyłam mu piwo. Wyciągnęłam jedno dla siebie i jedno podałam Georgii.

Bukowski włożył resztę do lodówki i wrócił z kieliszkiem białego wina. Zaparkowałyśmy na kanapie, a on zasiadł na swym prążkowanym tronie.

– Jak leci, George? Nie widziałem cię od naszej sesji zdjęciowej.

– Tak, to była jazda – powiedziała Georgia. – Dostałeś odbitki?

– Nie, mam to w dupie – odparł Bukowski. – Nawet nie pamiętam, do czego były. Pewnie wiszą na poczcie – powiedział.

Georgia and Hank
(© Joan Gannij)

Obrócił się do mnie i dodał:

– Szkoda, że cię tam nie było, Ruda. George i ja mieliśmy zajebisty dzień. Ostro się pośmialiśmy, co, kotku?

– Tak, niezła zabawa – odparła Georgia. – Chryste, Hank, byłam kompletnie zajebana, gdy od ciebie wyszłam, nie wiem,

jak dotarłam do domu. Myślę, że robili zdjęcia do jakiejś książki o lodówkach czy czegoś równie zakręconego.

– Przykro mi, że mnie to ominęło – powiedziałam, uśmiechając się krzywo.

Rozejrzałam się po mieszkaniu i stwierdziłam, że jest całkiem czyste i uporządkowane. Uznałam, że musiała tu niedawno być jego nowa przyjaciółka.

– Jak minęły święta, Hank? – spytałam.

– Cieszę się, że już się skończyły. Szlaaag, nienawidzę tych jebanych świąt. Zwykła granda, żeby ograbić nasze portfele i dusze… Skurwysyny.

Wydałyśmy z siebie pomruki poparcia.

Następnie zapytał:

– Jesteście głodne, dziewczyny? Mam w lodzie trochę indyka.

Choć obie byłyśmy nabuzowane tabletkami odchudzającymi, nie sądzę, żeby któraś z nas coś tego dnia jadła. Było już późne popołudnie i jedzenie wydawało się dobrym pomysłem.

– Skąd wytrzasnąłeś indyka, Hank? – zapytałam, idąc za Georgią do kuchni.

– Upiekła mi go jedna z wielbicielek.

Usłyszałam jego odpowiedź, gdy kroiłam mięso. Poczułam drobne ukłucie zazdrości, ale nie drążyłam tematu. Georgia spojrzała na mnie, by ocenić moją reakcję. Wzruszyłam ramionami, jakbym chciała powiedzieć „nie wiem”, i kroiłam dalej.

– Chcesz trochę, Hank? – krzyknęłam z kuchni.

– Nie, dzięki.

Wróciłyśmy do salonu i siadłyśmy na kanapie, by uraczyć się naszą kolacją.

Ugryzłam kawałek i powiedziałam:

– Rany, to jest naprawdę mdłe.

Poszłam do kuchni przynieść solniczkę i pieprzniczkę. Choć faktycznie indyk wydał mi się nieco mdły, to wydaje mi się, że podświadomie chciałam też umniejszyć umiejętności kucharki.

– Tak, faktycznie jest trochę bez smaku – powiedziała Georgia. – Podaj sól.

– To żywność organiczna – powiedział Bukowski.

– Organiczna? – odparłam. – A z jakiego organu pochodzi? Czy to może jakaś japońska szkoła gotowania? – zapytałam, uderzając ramieniem Georgię.

Roześmiałyśmy się. Bukowski spojrzał w sufit i westchnął.

Skończyłyśmy indyka i wypiłyśmy jeszcze po piwie, zostawiając mu dwa. Bukowski był w dobrym nastroju, ale też zachowywał się bardziej powściągliwie niż zwykle. Wkrótce nadeszła pora, by odebrać Stacey, więc podziękowałyśmy mu za kolację i pożegnałyśmy się.

– Gdzie teraz jedziecie? – zapytał.

– Czeka na nas cierpliwie tuzin nieletnich tancerzy w Time Motel – odparła Georgia.

Kiedy wsiadłyśmy do wozu, Georgia obróciła się do mnie i powiedziała:

– Żywność organiczna? Co się, kurwa, z nim dzieje?

– Może zmienia się w hippisa – odparłam.

34
TRZYDZIEŚCI CZTERY

– Nie obchodzi mnie twoja przeszłość – powiedział. – Liczy się tylko dziś i jutro.

Gdy znalazłam owego indyka w lodówce Bukowskiego, potwierdziło to moje przypuszczenia, że nie poświęcał całego czasu na tęsknotę za mną. Byłam też zaskoczona swoją reakcją na ten fakt. Zelżało poczucie winy, a pojawiła się pewna ulga odnośnie naszego nierównego związku, gdzie to on odwalał już teraz większość roboty.

Wyprowadzka z Carlton Way przyniosła zmiany. Może nadal miałam za złe Bukowskiemu, że nie pomógł mi z czynszem. Nadal odbierałam to jako zdradę. Ale jaki by nie był prawdziwy tego powód, powoli traciłam zainteresowanie. Niech rucha, kogo tam chce, mówiłam sobie, przekonana, że zawsze będzie na mnie czekał, gdybym postanowiła spróbować z nim być jeszcze raz.

Oddalenie się od Bukowskiego pozwoliło mi nabrać pewnej perspektywy do naszego związku, jak również do całokształtu mojego życia. Ale wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy, jedynie czułam, że coś się we mnie zmienia. Nadal brakło mi przenikliwości i odwagi, by dokonać samoanalizy, i trwałam w mojej pogoni za środkami chemicznymi, by trzymać się od niej jak najdalej.

W dniach po odkryciu owego indyka widziałam się z Bukowskim i rozmawiałam z nim parę razy, ale nie

przypominam sobie żadnych planów, by spędzić wspólnego Sylwestra. Pamiętam, gdzie byłam o północy 1 stycznia 1977 roku. Świętowałam z Norbertem w moim dawnym miejscu zatrudnienia, Alpine Inn w Hollywood. Nie rozstałam się z właścicielami, Tedem i Ritą, w złych stosunkach, ale nie jestem pewna, dlaczego postanowiłam tam spędzić Sylwestra. Może myślałam, że mogę odzyskać swoją dawną pracę.

Lokal był wypchany, a z głośników leciało *Auld Lang Syne*. Tłum kołysał się na boki, wznosząc wysoko kufle piwa i chlapiąc na siebie pianą.

Czy powinienem zapomnieć o starej przyjaźni i nigdy już o niej nie myśleć?

Czy powinienem zapomnieć o starej przyjaźni i dniach Auld Lang Syne?

Była to dla mnie tego wieczora właściwa piosenka do śpiewania.

Nie odzyskałam swojej dawnej pracy, ale dostałam sześciomiesięczne przedłużenie zasiłku. Mniej się widywałam z Bukowskim, a więcej z Norbertem. Choć nadal nie byłam nim szczególnie zainteresowana, on traktował mnie jak królową. Ale tak samo jak wcześniej z Bukowskim, mój związek z Norbertem był jednostronny. Widywałam się z nim tylko, gdy miałam na to akurat nastrój, i rzadko dzwoniłam przed wizytą. Zaczęłam też spotykać się z Bobem, moim dawnym chłopakiem i scenarzystą. Nie był już zaangażowany w związek z Cindy Williams i pozostaliśmy przyjaciółmi. Miałam teraz trzech cierpliwych facetów, którzy z radością sponsorowali mój destruktywny styl życia. No i oczywiście zawsze była Georgia.

Pierwsze miesiące 1977 roku zmarnowałam, dryfując od jednej bezproduktywnej sytuacji do następnej. Byłam jak pies goniący za swym ogonem. I choć nie pracowałam, wydawało

się, że spędzam mniej czasu z córką. Chociaż nadal brałam pigułki dietetyczne i piłam alkohol prawie codziennie, budziło się we mnie coś nowego. Zaczynałam czuć nieprzyjemne i nieznane emocje. Do głosu próbowało dojść sumienie, i nieważne, co zażyłam, coraz trudniej i trudniej było mi je stłumić. Zaczynałam czuć odrazę do siebie samej i wszystkich wokoło.

Georgia była już kompletnie uzależniona od heroiny. Straciła swój wspaniały dar komunikacji. Kiedy do niej wpadałam, zawsze leżała w łóżku, naćpana i niekoherentna. Pojawiła się u niej skłonność do samookaleczania, całe jej ciało pokrywały siniaki i rozcięcia. Miała ślady po ostrzu na rękach, kostkach i gardle. Kiedy udało mi się odcyfrować jej bełkoty, zrozumiałam, że ma halucynacje. Często rozmawiała w nich z diabłem. Narzekała, że szatan chodzi za nią od pokoju do pokoju, szydząc i strasząc użyciem przemocy.

Kreatywną, awangardową bohemę, która kiedyś zbierała się w mieszkaniu Georgii, zastąpił niebezpieczny, podejrzany element. Byli to najgorsi z najgorszych, wyglądali jak recydywiści. Biedna Georgia, ewidentnie pragnęła zginąć i była na najlepszej drodze do zrealizowania tego celu.

Nie licząc Norberta, wydawało się, że całe moje otoczenie niszczy sobie życie narkotykami albo alkoholem, a najczęściej obiema tymi rzeczami. Mój brat brał narkotyki częściej niż Georgia i jej znajomi. Bob, który ledwie rok temu był złotym chłopcem Hollywood, teraz tracił kontrakty wskutek

problemów z piciem. Nawet Bukowski był alkoholikiem – dobrze funkcjonującym, ale jednak – który każdy dzień musiał zacząć od napicia się i tak samo go zakończyć.

Trzeźwość Norberta była niewątpliwym powodem, dla którego zaczęłam spędzać z nim więcej czasu. Choć nadal nie byłam nim szczególnie zainteresowana pod względem romantycznym i uważałam go za nieco tępego w porównaniu do moich poprzednich mężczyzn, wprowadzał on do mojego życia jakiś pozór normalności i porządku. Był stabilny emocjonalnie i ciężko pracował, by zrobić coś ze swoim życiem. Miał pozytywne nastawienie i patrzył z nadzieją w przyszłość, mnie brakowało obu tych rzeczy. Uczył się, by zostać dentystą, a mnie tymczasem jakiś dentysta by się bardzo przydał.

Pewnego ranka w maju 1977 roku obudziłam się w łóżku Norberta, naga i okropnie skacowana. Spojrzałam na zegarek stojący na szafce nocnej. Pokazywał 1.30. Gdyby nie jasne światło słońca, wlewające się przez okno, nie wiedziałabym, czy po południu, czy w nocy. Wygramoliłam się z łóżka, trzymając się oburącz za głowę, i powlekłam się do łazienki.

– Norbert – zdołałam wydusić z krtani. – Jesteś tu?

Odczekałam, ale nie było odpowiedzi. Norberta nie było, a ja zostałam sama.

Weszłam do łazienki i krzyknęłam. Ktoś tu się włamał i stał teraz w łazience, wpatrując się we mnie oczami osadzonymi w odrażającej twarzy. Ale po chwili zdałam sobie sprawę, że nie patrzę na żadnego intruza, tylko na swoje własne odbicie w lustrze.

Nie rozpoznawałam tego widoku. Twarz miałam spuchniętą tak, że zmieniła kształt. Wyglądałam jak monstrualna rozdymka. Nawet moje włosy, ten mój największy skarb, były zmatowiałe, suche i zmierzwione – bardziej wyglądały teraz jak

największy żart. Wyglądałam jak klaun Bozo ze schorzeniem tarczycy.

Wytarłam twarz mokrą szmatką i umyłam zęby szczoteczką Norberta. Znalazłam w sypialni swoją bieliznę i wciągnęłam ją na siebie. Poszłam do salonu i usiadłam na kanapie. Czułam się chora i słaba.

Był dzień roboczy, a ja nie odwiozłam rano Stacey do szkoły. Nie wiedząc, gdzie mnie znaleźć, zapewne zrobiła to moja mama, jadąc do pracy, przez co obie się spóźniły.

Już od jakiegoś czasu Stacey mieszkała z babcią przez cały tydzień. Zabierałam ją rano do szkoły, po czym odbierałam o trzeciej i spędzałyśmy razem popołudnie. Jadłyśmy wspólnie kolację, po czym albo spałam u mamy na kanapie, albo wracałam do siebie. Zwykle to drugie, bo przez większość wieczorów balowałam. Pomimo uzależnienia od narkotyków udawało mi się trzymać tego układu.

Wiedziałam, że to nie był pierwszy raz, kiedy zostawiłam mamę i Stacey na lodzie, ale po raz pierwszy poczułam się winna. Był już prawie czas, żeby odebrać ją ze szkoły. Nagle przepełnił mnie żal, przygniotło poczucie winy i smutek.

Było to, jakby z sufitu strzelił we mnie piorun. Poraziło mnie oślepiające olśnienie i świadomość moich czynów. Zupełnie jakbym do tej pory ukrywała sama przed sobą jakiś skandaliczny sekret. Jak kobieta, która słyszy pukanie, otwiera drzwi i widzi tam dziecko, które porzuciła po porodzie dwadzieścia lat wcześniej. Rzeczywistość w końcu mnie dogoniła.

Zaczęłam sobie głośno zadawać pytania.

– Co ja tu robię? Dlaczego siedzę w samej bieliźnie w mieszkaniu jakiegoś faceta, którego wcale nie lubię? Dlaczego żyję w ten sposób? Dlaczego zmierzam ku

samozagładzie? Dlaczego zaniedbuję każdego, kogo kocham i o kogo się troszczę? Co się ze mną dzieje?

Było to bolesne i przygniatające. Potrzebowałam odpowiedzi, a żadne nie nadchodziły. Choć zawsze byłam dumna ze swej siły i niezależności, wiedziałam, że temu wyzwaniu nie podołam samotnie. Potrzebowałam pomocy, fachowej pomocy.

Rozejrzałam się po mieszkaniu Norberta w poszukiwaniu książki telefonicznej. Znalazłam żółte strony w szufladzie w jego kuchni i przekartkowałam je, aż znalazłam rubrykę „zdrowie psychiczne". Problemem były pieniądze, czy raczej ich brak, więc osoby podpisane jako doktor medycyny nie wchodziły w grę.

Wodziłam palcem po stronie, aż w końcu to znalazłam: „Centrum doradztwa Sunrise, organizacja non-profit". Nazwa brzmiała przyjaźnie i wesoło, a adres wskazywał na miejsce w pobliżu, róg Zachodzącego Słońca i Alvarado.

Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer. Odebrał mężczyzna o łagodnym, kojącym głosie.

– Doradztwo Sunrise, mówi John.

Zawahałam się, nie wiedząc, od czego zacząć. Wreszcie zwyczajnie wypaliłam:

– Cześć, jestem Pam i naprawdę potrzebuję pomocy.

– Dobra, w czym uważasz, że potrzebujesz pomocy, Pam?

– Nie jestem pewna, ale wiem, że jej potrzebuję.

– Dobra, co sprawia, że jesteś tego taka pewna?

– Cóż, ponieważ siedzę półnaga, sama i skacowana w domu faceta, którego niespecjalnie lubię, kiedy moja siedmioletnia córka zastanawia się, gdzie się, do diabła, podziewam!

– Dobra, proszę, zwolnij trochę. Gdzie jest ten dom? Jesteś w pobliżu?

– Jestem w Los Feliz, niedaleko skrzyżowania Hillhurst i Franklin.

– Dobra, to całkiem niedaleko. Jestem przy skrzyżowaniu Zachodzącego Słońca i Alvarado. Masz samochód?

– Tak.

– Możesz się ze mną teraz spotkać?

– Nie, muszę odebrać córkę ze szkoły.

– Możesz ją zabrać ze sobą. Mamy salę dla dzieci.

– Nie, nie mogę tego zrobić.

– Chcesz, żebym to ja przyjechał?

– Nie. Słuchaj, muszę lecieć.

Musiał pomyśleć, że ma do czynienia z samobójczynią, bo jego łagodny, wyważony głos stał się głośniejszy i bardziej naglący.

– NIE! PROSZĘ, NIE ROZŁĄCZAJ SIĘ!

Byłam tak zaskoczona tą szczerą troską i stanowczością, że powiedziałam:

– Dobra, nie rozłączę się. – Jakby to on potrzebował pomocy, a nie ja.

Jego głos znowu złagodniał, gdy pytał, czy mogę do niego przyjść jutro o jedenastej. Zaczęłam żałować, że zadzwoniłam, i prawie odłożyłam słuchawkę, ale jednak zgodziłam się z nim spotkać nazajutrz, żeby tylko się rozłączył.

Zakończyłam rozmowę, wśliznęłam się w sukienkę, wsunęłam stopy w sandały i pojechałam odebrać Stacey.

Następnego dnia wysadziłam ją pod szkołą o 8.30 i wróciłam do swojego mieszkania jeszcze się zdrzemnąć. Leżąc w łóżku, zastanawiałam się, co zrobić z resztą dnia. Nie zamierzałam spotykać się z Johnem z Doradztwa Sunrise. *Dam sobie radę*, pomyślałam. Poprzedniego dnia miałam potężnego kaca i spanikowałam, przez to wykonałam tamten telefon. Spotkam się dziś z Bukowskim, pomyślałam. Sprawi, że poczuję się lepiej.

Spałam przez jakąś godzinę, po czym wzięłam prysznic i ubrałam się. Pojechałam na południe, w stronę Zachodzącego Słońca. Z radia dobiegł głos didżeja, obwieszczający godzinę. Gdy wjechałam na bulwar, była 10.50. Stwierdziłam, że to za wcześnie, by wbijać się do Bukowskiego, więc zamiast skręcić w prawo, skręciłam w lewo. Stwierdziłam, że mogę przynajmniej przejechać obok tego Sunrise i zobaczyć, jak wygląda.

Pod wskazanym adresem mieścił się duży, stary, zaniedbany, biały, piętrowy dom. Promieniał zetlałym pięknem, pięćdziesiąt lat temu musiał być prawdziwym klejnotem, z pewnością zbudował go ktoś, kto miał pieniądze i władzę.

W latach dwudziestych okolica ta pełna była wspaniałych domów sławnych i bogatych, ale obecnie przemieniła się w podrzędną dzielnicę handlową, zapchaną burrito kingami, warsztatami samochodowymi i spożywczakami. Stojąc pośród tego wszystkiego, ten niegdyś królewski dom, mimo lat zaniedbania, próbował zachować swoją godność, choć przemienił się w darmową klinikę. Nad drzwiami frontowymi wisiał wielki szyld z napisem „Centrum doradztwa Sunrise", z namalowanym ręcznie jasnożółtym słońcem, który dodawał mu nieco wypasu.

Stwierdziłam, że miejsce wygląda dość bajerancko. Objechałam je kilka razy, zastanawiając się, czy wstąpić, czy nie.

– Ech, do diabła z tym, już tu jesteś. Co masz do stracenia? – powiedziałam na głos.

Zaparkowałam na miejscu oznaczonym „tylko dla dostaw" i niezdecydowanie podeszłam parę kroków do wejścia. Znak przy drzwiach głosił „Proszę zadzwonić przed wejściem". Była to nieprzyjemna okolica, więc drzwi były zamknięte nawet w godzinach urzędowania.

Z ociąganiem wcisnęłam przycisk dzwonka. Po chwili w drzwiach powitał mnie najwspanialszy okaz mężczyzny, jaki kiedykolwiek widziałam. Był młody i opalony, miał blond włosy i przepiękne, bystre, błękitne oczy, lśniące jak szafiry. Nosił także brodę, która nadawała mu uduchowionego wyglądu. Przypominał mi aktora Jeffreya Huntera, kiedy ów grał Jezusa w *Królu królów*. Choć miał na sobie nieskazitelną białą koszulę z podwiniętymi rękawami, niebieskie dżinsy i sandały Birkenstock, ja wyobraziłam go sobie w długiej, białej szacie, przewiązanej złotym sznurem, oraz z tańczącymi mu wokół głowy cherubami. Było w nim coś świętego.

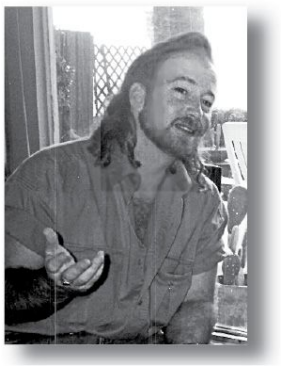

John, 1976 r.
(Dzięki uprzejmości Johna Elliota)

– Cześć. Wejdź, proszę – powiedział z uśmiechem, błyskając idealnymi, białymi zębami.

Nawet brzmiał tak, jak spodziewałabym się po Jezusie, spokojnie i pokrzepiająco. Stałam tam oniemiała, porażona jego urodą.

Wyrwałam się z transu i powiedziałam.

– Och, dziękuję. Jestem tu, by spotkać się z Johnem.

– John to ja. A ty jesteś Pam? – spytał.

– Tak, tak, to ja – powiedziałam, nadal gapiąc się w te niesamowite oczy.

Łagodnie położył mi dłoń na ramieniu i poprowadził do jednego z małych pokojów wewnątrz. Maleńkie biuro nie miało żadnych ozdób, było tam tylko stare biurko i para niepasujących do siebie krzeseł.

Na początku rozmawialiśmy w zasadzie o niczym, po czym zaczął zadawać mi wnikliwe pytania o cel mojego wczorajszego telefonu.

– Nie chcesz się najpierw dowiedzieć o moich traumach z dzieciństwa? – zapytałam swym najdowcipniejszym tonem.

– Nie obchodzi mnie twoja przeszłość – powiedział. – Liczy się tylko dziś i jutro.

Tak zaczęła się nasza pierwsza sesja terapeutyczna. Choć rozpraszała mnie jego uroda, polubiłam rozmowy z nim i zaczęłam go widywać przynajmniej raz w tygodniu. Mimo to nadal brałam i piłam (choć rzadziej) i czasami pojawiałam się na spotkaniach nietrzeźwa. Był wobec mnie wyrozumiały i cierpliwy.

Mój zasiłek miał się niedługo skończyć, więc zrobiłam to, czego najbardziej chciałam uniknąć – zapytałam mamy, czy mogę się wprowadzić. Był to idealny moment, bo zaoszczędziła akurat dość pieniędzy, by kupić dom. Był on mały, z dwiema sypialniami i łazienką, w Glendale, przy ulicy o nazwie Midway i naprzeciwko publicznej szkoły wyższej. Nim nadszedł koniec czerwca, zadomowiłyśmy się tam we trójkę.

Kiedy zaczął się lipiec, zdałam sobie sprawę, że już od ponad miesiąca nie widziałam się z Bukowskim. Unikałam go. Chyba nie chciałam, żeby wiedział o moich spotkaniach terapeutycznych. Bałam się, że może mnie od tego odwodzić albo ze mnie szydzić.

Kontynuowałam wizyty u Johna w Doradztwie Sunrise. Naszym celem było, bym odstawiła pigułki i wróciła do pracy. Pewnego dnia zasugerował, bym przyszła na jedną z jego sesji terapii grupowej. Nadal nie czułam się całkowicie komfortowo, spotykając się z psychologiem w cztery oczy, więc siedzenie w jednym pokoju z grupą neurotyków zupełnie mnie nie pociągało. Mimo to ostatecznie zgodziłam się przyjść w następny wtorek wieczorem.

Przyszłam na spotkanie z odrobiną arogancji i rezerwy. Byłam nastawiona sceptycznie do myśli, że to może być coś dla mnie. Usiedliśmy w ośmioro, tworząc krąg na podłodze. Grupa była relatywnie młoda, zaskoczyła mnie jej różnorodność. Był tam atrakcyjny gej w wieku około trzydziestu pięciu lat – oficjel z dużej korporacji, który bał się, że jego orientacja zostanie odkryta, przez co straci pracę. Były tam też dwie kobiety, nie licząc mnie. Jedna wychodziła z alkoholizmu i miała agresywnego męża, który wciąż pił. Druga była ćpunką i sprzedawała się na ulicy. Desperacko próbowała porzucić obie te rzeczy.

Był tam młody mężczyzna mniej więcej w moim wieku, który wciąż mieszkał z rodzicami. Powiedział, że go nienawidzą, a on nienawidzi ich. Byli wobec niego napastliwi, czuli zawód, bo porzucił studia, by podjąć karierę muzyka, tymczasem jego brat nadal uczęszczał do szkoły medycznej. Nazywał się Tommy. Był niski, pucułowaty i miał faliste rudoblond włosy z przedziałkiem pośrodku. Choć nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat, linia włosów już zaczynała mu się cofać. Nosił okulary w drucianych oprawkach i mówił nosowym głosem. Był chronicznym malkontentem i ustawicznie narzekał tym swoim irytującym tonem. Jego blada twarz robiła się czerwona, gdy rozprawiał o swej strasznej niedoli. Przypominał mi kreskówkową postać z *Jaskiniowców*,

Schleprocka, ale z zajęczą wargą. Wyobrażałam sobie, że był ulubioną ofiarą szkolnych osiłków, gdy dorastał. Nigdy nie podejrzewałam, że ten żałosny młodzieniec z problemami będzie miał tak wielki wpływ na moją przyszłość.

Gdy nadszedł sierpień, minęły dwa miesiące, odkąd ostatnio widziałam się z Bukowskim. Czasami dzwonił, ale ja zachowywałam się wyniośle i zbywałam jego pytania pojedynczymi słowami odpowiedzi. Ponieważ się zmieniałam, znudził mnie jego tryb życia. Podświadomie wiedziałam, że Bukowski reprezentuje wszystko, od czego próbowałam się uwolnić.

Kiedy jest się uzależnionym, określeni ludzie i miejsca wzbudzają w człowieku impuls, by pić lub ćpać. Bukowski żył właśnie w tego rodzaju destruktywnym środowisku.

Są tacy ludzie, z którymi zadajemy się tylko po to, by folgować swoim nałogom, i — co smutne – stwierdziłam, że Bukowski był dla mnie kimś takim. Nie zachęcał mnie do złego zachowania; po prostu jakoś działo się tak samo. Oczywiście Georgia była drugą osobą, która zaliczała się do tej kategorii. Znowu nie podjęłam świadomej decyzji, by unikać takich ludzi, nikt też nic takiego mi nie zasugerował, po prostu przebywanie w ich otoczeniu zaczęło mi coraz bardziej przeszkadzać. Moje zdystansowanie się od Bukowskiego i Georgii przyszło instynktownie – i było sprawą mego życia lub śmierci.

35
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

– Nie mogę już tego znieść. Słyszysz? Od dzisiaj zrywamy! Dobra?

Bukowski zadzwonił 16 sierpnia 1977 roku około południa.

– Hej, Ruda, jak leci, skarbie?

– W porządku, Hank. Co u ciebie?

– Nie złożysz mi życzeń urodzinowych?

– O rany, racja – powiedziałam. – Wszystkiego najlepszego, Hank!

– Słuchaj, wiem, że ostatnio mnie unikałaś, ale naprawdę chciałbym cię dziś zobaczyć.

– No nie wiem, Hank… – powiedziałam.

– Przestań, mała, dziś są moje urodziny. Spraw starcowi prezent. Wszystko, czego chcę na urodziny, to cię zobaczyć. Masz dość serca, by zrobić przysługę staremu dziadydze? Przynajmniej zjedz ze mną obiad. To moje urodziny, na miłość boską. Być może nie mam ich przed sobą już zbyt wiele. Nie będę cię długo trzymał, obiecuję. Zgódź się. Zabiorę cię do Musso.

– No dobra – odparłam.

– Podjadę po ciebie za dwadzieścia minut.

Przyjechał punktualnie i ruszyliśmy jego volkswagenem do Musso & Frank.

Nie brałam już pigułek, ale wciąż sporadycznie piłam. Picie nigdy nie było moim głównym problemem. To pigułki mnie niszczyły.

Zamówiliśmy obiad i butelkę szampana, po czym następną i następną. Rozmowa toczyła się w lekkim, przyjaznym nastroju. Tym razem nie wiercił mi dziury w brzuchu o innych mężczyzn, a ja nie wsadzałam nosa w jego życie osobiste.

Narzekałam, że muszę mieszkać z mamą i szukać roboty, i że przeraża mnie perspektywa powrotu do fachu kelnerki. On powiedział, że dużo teraz pisze, i przekazał najnowsze wieści o sąsiadach z Carlton Way. Pośmialiśmy się trochę i opuściliśmy lokal parę godzin później, przyjemnie podchmieleni.

W drodze do domu Bukowski powiedział, że musi podskoczyć do swego mieszkania przy Carlton Way. Powiedział, że chce coś zabrać. Nie musieliśmy nadkładać drogi i nie pomyślałam, że cokolwiek się stanie. Kiedy zatrzymał się przed budynkiem, zaprosił mnie do środka. Byłam w niezłym nastroju i nie spieszyło mi się z powrotem do mamy, więc się zgodziłam.

Poprowadził mnie do mieszkania, trzymając za dłoń. Ruszył prosto do sypialni i posadził mnie na skraju łóżka. Ukląkł przede mną, jakby chciał się oświadczyć. O co tu, u diabła, chodzi? – zastanawiałam się. Wyraz jego twarzy nagle stał się bardzo poważny. Nadal trzymał moją dłoń.

– Słuchaj, młoda, już nie mogę. Musimy skończyć to szaleństwo. Rozumiesz?

– Co? – odparłam.

– Mówię ci, że musimy od dzisiaj zerwać. Wyrywasz mi bebechy. Nie mogę myśleć. Nie mogę jeść. Nie mogę spać. To się musi skończyć!

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Bez czekania na zgodę Bukowskiego do środka wszedł facet w czarnych okularach i z aparatem zawieszonym na szyi. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, miał długie, ciemne włosy oraz brodę.

– Cześć, Hank. No, co my tu mamy? – powiedział z przyjemnym, niemieckim akcentem, mając na myśli mnie. Po czym obejrzał mnie od stóp do głów i zapytał:

– Kim jesteś i skąd znasz Bukowskiego?

Kiedy zaczęłam odpowiadać, Bukowski wstał i wyprowadził go do salonu.

– Nieważne, chłopie – powiedział. – To nie jest dobry moment.

– Dobra, przyjdę później.

– Tak zrób – powiedział Bukowski, nie przedstawiając go i praktycznie wypychając go za drzwi. Później dowiedziałam się, że był to fotograf Bukowskiego, Michael Monfort.

Nadal siedziałam na łóżku, gdy Bukowski podjął swą mowę pożegnalną.

– Jak mówiłem, Cups – powiedział, po czym przerwał na moment. – Pozwoliłem, żebyś wyrwała mi serce i powiewała nim na kiju. To koniec. Nie mogę już tego znieść. Słyszysz? Od dzisiaj zrywamy! Dobra?

Patrzyłam na niego, wyglądając jak padły jeleń. Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Choć nigdy to nie zostało wprost powiedziane, w mojej głowie nasz romantyczny związek był skończony od miesięcy i uznawałam, że on też to rozumie. Byłam zaskoczona i zdezorientowana emocjami w jego głosie oraz całą tą nagłością. Jego sercowy edykt wydawał się dziwaczny i niewłaściwy.

Nadal gapiąc się mu w oczy, wyszeptałam:

– Dobra.

– Świetnie – powiedział. – A teraz chodźmy.

Droga do domu minęła w krępującej ciszy. Nadal zawiana po szampanie, od razu poszłam do łóżka. Obudziłam się około 8.00 wieczorem i włączyłam telewizor w sypialni. Dwóch doktorów prowadziło konferencję prasową w sprawie śmierci Elvisa Presleya. Uznałam, że musi mi się to śnić, więc wyłączyłam TV i z powrotem zasnęłam.

Obudziłam się rano, zastanawiając się, czy wczorajsze wydarzenia nie były dziwacznym snem. Włączyłam telewizor i faktycznie, Elvis nie żył. Moje myśli zwróciły się ku Bukowskiemu.

O co chodziło w tym naszym spotkaniu? Nigdy nie widziałam, żeby był równie poważny. Był jak zupełnie inna osoba, nawet jego głos się odmienił. Typowa maniera Bukowskiego wyparowała, znikło nawet jego lekkie seplenienie. Było to tak, jakby przez cały czas naszej znajomości nosił maskę – aż do wczoraj. Ten gość nie był Bukowskim, którego znałam.

Czując, że czegoś tu nie kapuję, próbowałam wymyślić, czemu miałby stosować tak złożony podstęp, ale nie mogłam nic z tego pojąć. Nie czułam, żebym go uwiodła. Choć wyraził się jasno, że chce być ze mną w monogamicznym związku, ja dałam mu znać, że tak zapewne się nie stanie – choć przyznam, że nie chciałam całkiem zamykać przed sobą drzwi. Wydawał się zadowalać naszymi sporadycznymi spotkaniami i nigdy nie mówił, że czuje się udręczony moją osobą czy naszym związkiem. Choć wiedziałam, że nigdy nie będę szczęśliwa, mieszkając z Bukowskim, nie chciałam go stracić całkowicie jako przyjaciela. Teraz zrozumiałam, że to będzie niemożliwe.

W popkulturze tamtego okresu nie funkcjonowało słowo „zamknięcie”, ale to właśnie próbował zrobić – znaleźć jakieś zamknięcie dla żałoby, którą czuł po moim odejściu. Ale nie

rozumiejąc tego wówczas, uznałam, że poturbowałam mu ego swoją dominującą rolą w związku i kontrolą, którą nad nim miałam.

Skoro miał się poczuć lepiej, mówiąc sobie, że miał ostatnie słowo w próbach odzyskania tej kontroli, niech tak będzie. Stałam się jego nałogiem. I tak, jak ja próbowałam zwalczyć własny nałóg, on próbował pokonać swój. Czułam, że to zapewne będzie najlepsze dla nas obojga.

36
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

Złożyłam papiery o pracę i zostałam przyjęta. Zarobki wynosiły 550 dolarów miesięcznie, a ja byłam zachwycona!

Był już październik 1977. Nie widziałam się z Bukowskim ani z nim nie rozmawiałam od jego urodzin, gdy złożył swą dramatyczną prośbę. Przez ten czas byłam zajęta nauką, jak być dobrą matką, i chodzeniem na sesje terapeutyczne.

Aktywnie uczestniczyłam już w sesjach mojej grupy i nawet wyglądałam spotkań z moimi neurotycznymi znajomymi. Wychodziłam na prostą. Nie zażyłam żadnej tabletki od miesięcy i czułam się ze sobą dobrze.

Podczas jednej z sesji grupowych wspomniałam, że jestem z siebie dumna, bo skończyłam z tabletkami, ale wciąż dręczy mnie brak pracy.

Mój ciamajdowaty znajomy, Tommy, powiedział, że pracuje dla firmy ubezpieczeniowej od tytułów prawnych, znajdującej się w Gmachu Rejestrów. Powiedział, że szukają kogoś do działu obsługi klienta.

Praca obejmowała odbieranie zleceń telefonicznych od firmowych oficjeli i urzędników od tytułów prawnych z głównej siedziby. Potrzebowali kserokopii dokumentów, których nie mieli w swoim systemie komputerowym. Brałabym od nich numer dokumentu, lokalizowała księgę, w której się znajdował, robiła kopię i odsyłała kurierem do głównej

siedziby. Brzmiało jak coś łatwego do nauczenia się nawet dla mnie.

Dwa dni później złożyłam papiery o pracę i zostałam przyjęta. Zarobki wynosiły 550 dolarów miesięcznie, a ja byłam zachwycona!

Kiedy przyszedł listopad, cieszyłam się swoją pozycją najniższego poziomu w Stewart Title Company. Pracowałam w Gmachu Rejestrów, położonym w sercu Los Angeles, przy rogu Temple i Hill. Uwielbiałam tę robotę i nie przeszkadzało mi nawet codzienne wstawanie o piątej rano, by o 6.15 złapać autobus na aleję Glendale.

Inside The Times

ome Costs of Probe Will Never Be Known

Bianchi Charged in Five of 13 Strangler Deaths

Chronology of Strangler Case

Bianchi's Cousin Emerges as a Comic Figure in Hillside Strangler Murder C

Kenneth Bianchi, jeden z „Dusicieli z Hillside", pracował w tej samej firmie co ja i zabijał bardzo blisko miejsca, gdzie mieszkałam.

Choć lubiłam swoją nową pracę, dojazdy to zupełnie inna historia. W połowie października 1977 roku całe miasto było przerażone informacjami o brutalnych gwałtach i morderstwach młodych kobiet. Ich ciała porzucano niedaleko mojej dzielnicy w Glendale. Bałam się chodzić sama na przystanek, więc podwoziła mnie tam mama. Siedziałam na ławce, ściskając w ręku puszkę środka czyszczącego Dow dla samoobrony i nieruchomiejąc na widok każdego nieznajomego.

Wydawało się, że każdy nowy tydzień przynosi nową ofiarę, a ciało każdej kolejnej z tych młodych kobiet znajdowano coraz bliżej miejsca, gdzie mieszkałam. Jedno ciało znaleziono niedaleko ratusza, kilka kroków od mojego miejsca pracy. Było to przerażające i miało niepokojąco osobisty charakter. Media ochrzciły mordercę „Dusicielem z Hillside".

Dwa lata później policja miała wreszcie aresztować morderców. Było to dwóch kuzynów, Angelo Buono i Kenneth Bianchi. Buono miał warsztat samochodowy w Glendale, trzy przecznice od mojego przystanku, a Bianchi pracował jako urzędnik od tytułów prawnych w głównej siedzibie Stewart Title Company. W tej samej firmie co ja, i w tym samym czasie!

Parę lat później brat przysłał mi starą listę świąteczną ze Stewart Title Company. Nazywałam się wówczas Brandes. Nazwisko Kennetha Bianchiego figurowało bezpośrednio nad moim. Wiadomość od Larry'ego brzmiała: „Miałaś o wiele lepsze święta, niż ci się wydawało!".

Larry miał dostęp do listy świątecznej, ponieważ wkrótce po tym, jak mnie przyjęli, zaczął mnie dręczyć o znalezienie mu pracy w mojej firmie. Wszystkie firmy od tytułów prawnych w Los Angeles wynajmowały pomieszczenia na siódmym piętrze Gmachu Rejestrów. Mieściły się jedna obok drugiej, oddzielone jedynie przepierzeniami, więc większość pracowników znała się nawzajem. Znałam wszystkich menedżerów i cyklicznie pytałam ich, czy nie mieliby jakiegoś miejsca dla mojego brata. Pewnego dnia menedżer Chicago Title powiedział, że ma wolną pozycję przy korespondencji. Larry poszedł na rozmowę i dostał tę pracę. Choć pracowaliśmy dla różnych firm, codziennie widywałam go na korytarzu.

Pewnego dnia podszedł do mnie szukacz z firmy brata. Nazywał się Walden „Monty" Muns. Powiedział, że Larry twierdzi, iż znam Charlesa Bukowskiego. Próbowałam zostawić przeszłość za sobą, ale przyznałam, że go znam. Miałam poczucie, jakbym przyznawała się do przestępstwa. Monty powiedział mi, że on też jest poetą i był publikowany w małych czasopismach literackich. Pracował kiedyś jako nauczyciel angielskiego, potem przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Był miłym człowiekiem i bardzo go lubiłam. On i mój brat mieli stać się przyjaciółmi. Czasami jedliśmy we trójkę lunch.

Pewnego dnia Monty zapytał, czy mogłabym zaaranżować spotkanie z „Wielkim". Obiecałam, że zobaczę, co da się zrobić.

Następnego dnia zadzwoniłam do Bukowskiego z pracy. Nie rozmawiałam z nim od czterech miesięcy – od 16 sierpnia 1977 roku – i nie wiedziałam, jak zareaguje na mój telefon. Byłam zaskoczona jego przyjaznym tonem. Opowiedziałam mu o nowej robocie i współpracowniku, który chciał się z nim spotkać. Spodziewałam się, że Bukowski się rozłączy albo przynajmniej każe dać mu spokój i nie zawracać głowy takimi sprawami (wiedziałam, jak nienawidzi spotykać się z fanami). Ale on okazał się łaskawy i zgodził się z nami spotkać tego wieczora u siebie przy Carlton Way.

Monty prowadził. Po drodze zatrzymaliśmy się, żeby kupić sześciopak. Bukowski powitał nas w drzwiach i nawet uścisnął dłoń Monty'emu. Monty wydawał się nieco przestraszony i nie mówił wiele. Bukowski też był bardzo powściągliwy, więc głównie to ja mówiłam. Było widać, że nie wypił dużo przed naszą wizytą i wydawał się nieco zmęczony. Ja też byłam trzeźwa i doskonale zdawałam sobie sprawę z zakłopotania wszystkich obecnych, ale byłam wdzięczna Bukowskiemu za gościnność. Nie było to nieprzyjemne

spotkanie, jedynie nieco krępujące. Wypiliśmy parę piw i po jakiejś godzinie pożegnaliśmy się.

Kiedy szliśmy do samochodu, Monty obrócił się do mnie i powiedział:

– W ogóle nie jest taki, jak to sobie wyobrażałem. Jest taki… uprzejmy!

Był to ostatni raz, kiedy widziałam się albo rozmawiałam z Charlesem Bukowskim.

37
TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Zabiła się, przedawkowując narkotyki.

Po sześciu miesiącach od znalezienia pracy zaoszczędziłam dość pieniędzy, by wyprowadzić się ze Stacey od mamy do naszego własnego mieszkania. Po ośmiu miesiącach awansowałam do głównej siedziby, gdzie zostałam asystentką urzędnika od tytułów prawnych i zaczęłam zarabiać potrójną stawkę. Po dwóch latach sama awansowałam na urzędnika od tytułów prawnych i miałam własne biuro z dwójką asystentów. Wreszcie miałam swoje biurko z drzewa wiśniowego i skórzane krzesło. Byłam już dobrze zadomowiona w świecie korporacji i kochałam go z całego serca.

Życie było dla mnie i Stacey łaskawe. Mieszkałyśmy w przytulnym domku w Los Feliz przy skrzyżowaniu Tracy Street i alei Claremont. W 1981 roku minęły cztery lata, odkąd ostatnio widziałam czy słyszałam Bukowskiego albo Georgię.

Miałam nowe życie oraz nowy krąg znajomych. Nie byłam już uzależniona od narkotyków i nigdy nie opowiadałam o swojej przeszłości, włączając w to związek z Bukowskim. Nadal lubiłam czasem sobie wypić, ale omijałam każdego, kto używał narkotyków. Nie, żebym została świętoszkowatą przeciwniczką narkotyków, chciałam jedynie unikać tych kręgów.

W lutym 1981 roku odwiedziła mnie siostra, Tracey. Mieszkała teraz w Seattle i pracowała jako prezenterka

w wiadomościach radia KING. Chciała, żebym zabrała ją do baru country. Bary te były wówczas supermodne z powodu filmu *Miejski kowboj* z Johnem Travoltą. Choć tego rodzaju bar nie mieścił się w mojej definicji dobrej zabawy, z radością się zgodziłam. Ponieważ tak rzadko ją widywałam, chciałam, żeby dobrze się bawiła w czasie swojej krótkiej wizyty.

David
(zdjęcie dzięki uprzejmości Pameli Wood)

Poszłyśmy do baru Landmark w Glendale, byli tam kowboje i tańce z ich epoki. Tego wieczora poznałam Davida Wooda, mojego przyszłego męża, brokera, który opiekował się trzema synami: Jeffreyem (19 lat), Erikiem (14 lat) i Davidem Juniorem (10 lat). Mieszkał w La Cañada Flintridge, prestiżowym, rustykalnym przedmieściu na wschód od Pasadeny. David był dziesięć lat ode mnie starszy i o wiele bardziej konserwatywny, ale bardzo miło było z nim spędzać czas. Był bystry i dowcipny, i chociaż nasze poglądy polityczne oraz pochodzenie były diametralnie odmienne, odbyliśmy wiele stymulujących intelektualnie rozmów, pełnych dobrego

humoru i wzajemnego szacunku. Chodziliśmy ze sobą pięć miesięcy, nim się zaręczyliśmy. Ślub został zaplanowany na 1 sierpnia 1981 roku.

Pewnego wieczora w czasie naszego narzeczeństwa byliśmy na kolacji, po czym zatrzymaliśmy się u mnie na kieliszek przed snem. David obejrzał książki na moich półkach. Był zapalonym czytelnikiem. Czytał trzy albo cztery książki miesięcznie. Wyciągnął książkę z dolnej półki. Była to *Scarlet*.

– Czytasz Bukowskiego? – zapytał.

– Cóż… w sumie to nie – odpowiedziałam.

Pokrótce opowiedziałam mu o swoim związku z Bukowskim i myślałam, że na tym koniec.

Tydzień później jedliśmy kolację w Nite Watch w Pasadenie.

Po kilku drinkach David powiedział:

– Muszę ci się do czegoś przyznać. Przeczytałem ostatnią książkę Bukowskiego, *Kobiety*, i niemal nie odwołałem naszego ślubu.

– O czym ty mówisz? – zapytałam. – Jak się nazywa ta książka?

Wówczas pierwszy raz usłyszałam o tej powieści. David opowiedział, jak mój związek z Bukowskim i jego obraz mnie, przedstawiony w książce, przyprawiły go o wielkie strapienie. Był tak poruszony, że zasięgnął rady u znajomych i nawet skonsultował się z psychologiem. Powiedziałam, że nie mogę się bronić, nie przeczytawszy wpierw książki.

Następnego dnia zakupiłam egzemplarz *Kobiet*. Kiedy dotarłam do kapryśnej Tammie, stało się dla mnie oczywiste, że jej opis fizyczny jest oparty na moim wyglądzie, ale na tym podobieństwa się kończą. Książka wydała mi się bardzo zabawna i nie mogłam powstrzymać się od głośnego śmiechu przy wielu fantastycznych scenach. Niektóre sytuacje były tak niedorzeczne, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby

ktokolwiek potraktował je inaczej niż jako fikcję. Spodobał mi się styl pisania Bukowskiego i jego sardoniczny humor, książka sprawiła mi ogromną frajdę. Była to pierwsza powieść Bukowskiego, którą przeczytałam.

Bukowski był świetny w pisaniu humoreski. Dobry pisarz używa krzywego zwierciadła i wyolbrzymienia, nawet jeśli jego postacie oparte są na prawdziwych osobach. Nie gniewałam się na Bukowskiego za przedstawienie mnie w *Kobietach* w niezbyt pozytywnym świetle. Ale zastanawiałam się, jak światły człowiek pokroju Davida mógł pomyśleć, że stworzona przez Bukowskiego fikcja przypomina w jakimkolwiek stopniu rzeczywistość. David znał mnie dość dobrze, by wiedzieć, że ten opis nie ma żadnego pokrycia w faktach. Był również wystarczająco bystry, by pojmować koncepcję „licencji poetyckiej".

Mój wizerunek w powieści Kobiety *niemal zniszczył moje plany małżeństwa z Davidem.*

Po wielokrotnych zapewnieniach z mojej strony, że Tammie nie jest moim alter ego, David uspokoił się. Pobraliśmy się zgodnie z planem 1 sierpnia.

Po ceremonii ślubnej wprowadziłyśmy się ze Stacey do domu Davida w La Cañada. Larry uwielbiał mój domek przy Tracy Street i zaoferował, że go podnajmie. Nie wiedziałam tylko, że zostawiłam tam parę rzeczy.

Jakiś rok po moim ślubie zadzwonił do mnie mój były chłopak, scenarzysta Bob. Nadal przyjaźnił się z Larrym. Bob powiedział mi, że Larry znalazł pudło z listami i malunkami Bukowskiego na szafie w przedpokoju domu, który dla mnie podnajmował, i sprzedał je. Zabrałam ze sobą pudło z książkami, które Bukowski mi zadedykował, ale to drugie pudło musiało być zepchnięte głęboko pod ścianę, przez co go nie zauważyłam. Nie zauważyłam też, że czegoś brakuje. Musiałam uznać, że leżą gdzieś wśród wielu innych pudeł w garażu domu Davida.

Z uwagi na to, jak zbulwersowany był David moim związkiem z Bukowskim, postanowiłam nie robić z tego sprawy. W końcu Bukowski był moim byłym, a nie towarem, a do tego nieomal zniszczył mój związek z przyszłym mężem. Mimo to byłam zła i smutna, ale głównie z powodu kradzieży i braku poszanowania mojej własności ze strony Larry'ego. Nigdy jednak mu o tym nie powiedziałam.

Larry sprawiał mi zawód przez całe życie. Nigdy nie miał owego opiekuńczego instynktu starszego brata i nigdy nie przepuścił okazji, by mnie zranić. Ale raczej czułam wobec niego litość, niż się na niego gniewałam. Kochałam brata, a on został samolubnym narkomanem – po co miałabym?

Lata później przeczytałam książkę pod tytułem *Literackie Los Angeles*. Autor Lionel Rolfe prowadzi tam wywiad z Montym Munnsem (moim kolegą z pracy, którego przedstawiłam Bukowskiemu w grudniu 1977 roku). Munns pokazuje mu obraz autorstwa Bukowskiego i mówi, że dostał go od mojego brata, Larry'ego. Był to jeden z moich. Z czasem nabrałam

również powodów, by przypuszczać, że większość listów została sprzedana właścicielowi pewnej księgarni w Hollywood, niejakiemu Redowi Stodolsky'emu, który już nie żyje. Pozyskałam te malunki w moralnie wątpliwy sposób, więc przypisałam to działaniu karmy. Jednak utrata listów, wiadomości i wierszy była naprawdę bolesna.

Dzień, gdy wprowadziłam się do Davida, na długo, zanim dowiedziałam się o losie drugiego pudełka, spędziłam na rozpakowywaniu się. Gdy dotarłam do pudła z podpisanymi książkami Bukowskiego oraz moim pamiętnikiem z czasów, gdy z nim byłam, zatrzymałam sobie książki, ale postanowiłam pozbyć się pamiętnika. Nie chciałam ryzykować, że David go odkryje.

Dopiero co wyszłam za mąż i byłam gotowa zrobić wszystko, by mój nowy związek się nie rozpadł. Zniszczenie dziennika było dla mnie symbolem odcięcia się od niemoralnej przeszłości. Włożyłam ów zeszyt pełen dowodów namiętności i destrukcji do paleniska i zapaliłam gazowy starter. Dziś dałabym wszystko, by go przeczytać. Ach, głupia młodość. Gdy jesteśmy młodzi, nigdy nie potrafimy sobie wyobrazić dnia, gdy takie zapisane wspomnienia będą mieć dla nas ogromną wartość.

Stacey i ja zamieszkałyśmy w bajkowej, podmiejskiej dzielnicy klasy wyższej La Cañada z Davidem i jego synami. Stacey kochała Davida, a on był dla niej wspaniałym ojcem. Była też zachwycona trójką uroczych braci. Mieliśmy swoje problemy, jak większość rodzin łączonych, ale nasz dom pełen był komediantów i nie dało się narzekać na nudę.

Podczas naszego pierwszego roku razem David zasugerował, żebyśmy zorganizowali w domu Święto Dziękczynienia. Uwielbiał zabawiać gości i był wyśmienitym kucharzem.

Prawdziwe błogosławieństwo, bo ja nie miałam żadnych zdolności kulinarnych.

Zaprosiliśmy obie nasze rodziny. Larry przyjechał z dawnym chłopakiem Georgii, Billem. Zapytałam, co u niej. On powiedział mi, że zmarła cztery miesiące wcześniej. Rozstali się przed dwoma laty. Wyszła za mąż za kogoś innego i przeprowadziła się z nim do Wschodniego Los Angeles. Bill stwierdził, że pewnego dnia, gdy jej mąż wrócił do domu, znalazł jej martwe ciało na podłodze salonu. Zabiła się, przedawkowując narkotyki. Nie był pewny, czy był to wypadek, ale tak założył.

Biedna Georgia. Miała tak wielki potencjał, by zrobić coś wyjątkowego ze swoim życiem. Miała genialny, kreatywny umysł i wspaniały dar dowcipu. Choć ewidentnie dążyła do samozagłady, czego dowodem było niekontrolowane używanie narkotyków, miała też zabawny, karykaturalny obraz świata i wydawała się cieszyć życiem. Rzadko rozmawiała o przeszłości; zastanawiałam się, skąd wzięły się jej demony.

Georgia powiedziała mi, że uważała się za odszczepieńca, dorastając w małym, prowincjonalnym miasteczku. Mówiła, że gdy była małą dziewczynką, podziwiała lokalną rozpustnicę imieniem Tullah.

Tullah Hanley, która zainspirowała styl i manierę Georgii.

Według opowieści Georgii Tullah była tancerką egzotyczną w miejscowym klubie nocnym. Była ekstrawagancką, bezwstydną seksbombą. Pełne fałszywej skromności i moralizatorstwa kobiety z miasteczka zazdrościły jej pożądania, które wzbudzała w mężczyznach. Wielokrotnie próbowały pozbyć się jej z miasta przy użyciu rozdmuchanych oskarżeń o nieobyczajność, ale nigdy im się to nie udało.

Od bardzo młodego wieku Georgia była wyczulona na punkcie swojego wyglądu. Jej rysy były ostre i surowe, ale trudno było ją nazwać brzydką. Po prostu była odmienna. Wiedziała, że nikt jej nigdy nie nazwie delikatnym kwiatuszkiem. Chciała być śliczna jak inne dziewczyny i desperacko poszukiwała uwagi płci przeciwnej.

Często widziała, jak Tullah przechadza się po miasteczku pewnym siebie krokiem, bez skrępowania obnosząc się ze swoimi fizycznymi walorami. Georgia obserwowała z bólem, jak mężczyźni ślinią się i przepychają, by choć przez chwilę zobaczyć ten czarujący symbol seksu. Uważała, że w Tullah jest coś magicznego, i chciała być taka, jak ona.

Idealizowanie lokalnej rozpustnicy nie wzbudziło sympatii jej konserwatywnych rodziców, zatwardziałych katolików. Według Georgii byli to fanatycy religijni, którzy posłali ją i jej młodszego brata do szkoły katolickiej, gdy tylko nauczyli się chodzić, i trzymali ich tam do skończenia liceum. Pobożna matka Georgii była szczególnie zawiedzona niemoralnymi skłonnościami córki i odprawiała nad nią miniegzorcyzmy, codziennie czytając jej Biblię i modląc się głośno do Boga, niczym kaznodzieja ewangeliczny – błagając Pana, by zawrócił jej zagubioną córkę z drogi do piekła.

Gdy Georgia skończyła osiemnaście lat, zbuntowała się przeciwko religijnym rodzicom. Wykonała 180-stopniowy zwrot duchowy, kompletnie porzucając wszystkie nakazy swego ściśle moralnego wychowania i wypinając się na swych rodziców, święte księgi i świętoszkowatych mieszkańców miasteczka. Zastanawiałam się, jak wielką rolę w jej hedonistycznym, autodestruktywnym stylu życia odgrywała religia. W końcu kiedy ostatni raz ją widziałam, była ścigana przez diabła.

Choć wieści te mnie zasmuciły, nie były wielkim szokiem. Gdy ostatni raz ją widziałam, była w okropnym stanie. Wiedziałam, że to już nie kwestia „czy", ale „kiedy" narkotyki ją wykończą. Podążała za swoją idolką Janis Joplin w życiu, a teraz też w śmierci. Georgia miała trzydzieści siedem lat.

38
TRZYDZIEŚCI OSIEM

Wpuścił mnie do swego ściśle strzeżonego, osobistego sanktuarium…

Mijał czas, a życie moje i mojej nowej rodziny toczyło się gładko. Wszyscy popadliśmy w wygodną, przewidywalną rutynę. Jedynymi dramatami w moim życiu były okazjonalne kłótnie między rodzeństwem, które musiałam rozsądzać. Wreszcie zdobyłam poczucie celu i stabilności, o którym marzyłam od dzieciństwa.

Po paru latach małżeństwa David zasugerował, bym zmieniła pracę. Zachęcał mnie, bym została przedstawicielką handlową. „W końcu to tam są prawdziwe pieniądze".

Wahałam się przed zmianą kariery, bowiem ta nowa nie wydawała się do mnie pasować, a poza tym byłam osobą raczej skromną. Nie byłam też zachwycona zachowaniem przedstawicieli handlowych, z którymi weszłam w kontakt w biurze. Większość z nich sprawiała wrażenie podejrzanych, oślizłych typków i była jak na mój gust za bardzo agresywna. Naprawdę nie sądziłam, że mogę odnieść sukces w tej dziedzinie biznesu. Nie byłam niezadowolona ze swojej pozycji, ale lubiłam stawiać sobie wyzwania i pomyślałam, że może pora wprowadzić nieco chaosu. Mając zapewnione wsparcie Davida, uznałam, że nie mam nic do stracenia. Postanowiłam spróbować.

Odbyłam rozmowę kwalifikacyjną w innej firmie tytułowej i dostałam pracę. Po kilku latach stałam się najwydajniejszą przedstawicielką handlową w hrabstwie Los Angeles. Miałam utrzymać ten tytuł przez kilka kolejnych lat, zbierając po drodze wiele nagród. Ostatecznie zostałam wicedyrektorem asystującym do spraw sprzedaży w dużej firmie z Fortune 500.

Przez wszystkie te lata od czasu do czasu myślałam o Bukowskim i miałam nadzieję, że wszystko u niego w porządku. Od czasu do czasu spędzaliśmy z Davidem dzień na torze wyścigowym Santa Anita. Fantazjowałam, że zobaczę Bukowskiego siedzącego gdzieś w Club House albo stojącego w kolejce do bukmachera, i zastanawiałam się, jak by zareagował na mój widok. Widziałam się, jak podbiegam do niego i biorę go w ramiona. Byłby tak dumny, widząc, jak daleko zaszłam, myślałam. Może wypilibyśmy piwa i śmialibyśmy się z dawnych lat. A potem, w 1987 roku, wyszedł jego film, *Ćma barowa*. Tego samego roku przeczytałam o nim artykuł w listopadowym wydaniu „People Magazine". Byłam zadowolona, że wreszcie zdobył uznanie głównonurtowych mediów i jakiś sukces komercyjny. W artykule pisali też, że mieszkał z żoną Lindą w domu położonym w San Pedro w Kalifornii. Uśmiechnęłam się z ironii faktu, że oboje, będąc nonkonformistami, skończyliśmy na bogatych przedmieściach.

Po siedmiu latach małżeństwa rozwiedliśmy się z Davidem, ale pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Nasze uczucie nigdy nie wygasło i w 1994 roku postanowiliśmy dać mu drugą szansę. Nasze dzieci były już dorosłe i mieszkały na swoim. Może teraz, kiedy już nie musieliśmy się nimi zajmować, mogło nam pójść lepiej.

Nadal odnosiłam sukcesy zawodowe w sprzedaży, a David był w radzie dyrektorów znanej firmy informacyjno-reklamowej.

9 marca 1994 roku jechałam na spotkanie z klientem. Radio miałam ustawione na stację nadającą same informacje, KFWB.

Pornograficzny poeta, Charles Bukowski, zmarł dzisiaj na białaczkę w San Pedro w stanie Kalifornia.

Zalała mnie fala smutku, a moje oczy zaczęły wilgotnieć. Po czym ogarnęła mnie wściekłość na prezentera.

– Pornograficzny poeta? Tylko tyle? Pornograficzny poeta? Do tego go zredukowaliście? Ponad trzydzieści lat prozy, poezji, nawet scenariusz, a was stać tylko na tyle?! – krzyczałam na radio.

Popełniłam tę samą pomyłkę, gdy poznałam Bukowskiego w wieku dwudziestu trzech lat, prawie dwadzieścia lat wcześniej. Teraz rozumiałam, jak bardzo się myliłam. *Kto napisał tę notkę?* – zastanawiałam się. *Jakaś dziewiętnastoletnia stażystka?*

Po czym pomyślałam o nim samym. Nie mogłam uwierzyć, że odszedł. Nie wydawało się to możliwe. Mężczyźni jego pokroju nigdy nie odchodzą. Wydawał się postacią heroiczną. Myśl, że któregoś dnia może opuścić ten świat, nigdy nie postała w mojej głowie.

Przepełnił mnie żal. Nigdy nie miałam czasu powiedzieć mu, jak bardzo cenię jego samego oraz wszystkie rzeczy, których mnie nauczył. Był moim przyjacielem, kochankiem, mentorem. Okazał tak wielką cierpliwość i troskę wobec mojej córki i mnie. Gdzieś z tyłu głowy zawsze miałam pewność, że kiedyś znów go zobaczę. Teraz to było już niemożliwe.

Napłynęły wspomnienia. Pomyślałam o tym, jak kupił dla Stacey sukienkę, żeby miała co na siebie włożyć na imprezę

urodzinową swojej koleżanki. Wyrosła z jedynej imprezowej sukienki, jaką miała, a mnie nie było stać na nową. Bukowski po cichu wziął na siebie pójście na zakupy i nabył dla niej przepiękną żółtą sukienkę z koronkami. Zaniósł sukienkę do domu mojej mamy, gdzie tego dnia przebywała Stacey, zostawił ją tam i poszedł bez słowa. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała, gdyby nie powiedziała mi matka.

Pomyślałam o tym, jak zawsze był gotów przyjść z pomocą, nieważne, gdzie byłam ani w jakie kłopoty się wpakowałam, ani razu nie prawiąc mi kazania ani mnie nie osądzając.

Pomyślałam, jak lubił się tulić – jak żaden inny mężczyzna, którego poznałam. Potrafił być tak czuły i delikatny. Był bardzo sentymentalny – tylko gruboskórny, gburowaty i strasznie przylepny, pomyślałam.

Pomyślałam też o łzach w jego smutnych oczach i udręczonym wyrazie twarzy owej nocy, gdy błagał, bym została, a ja mimo to pojechałam – ten obraz zawsze będzie mnie prześladował.

Miało minąć dziesięć lat od jego śmierci, nim poznałam prawdziwe rozmiary bólu, który odczuwał z mego powodu. Dopiero gdy skontaktował się ze mną John Dullaghan, filmowiec, który wyprodukował dokument o Bukowskim *Born Into This*, oraz, w tym samym czasie, Howard Sounes, autor biografii Bukowskiego *W ramionach szalonego życia*, dowiedziałam się o wielkim emocjonalnym wpływie, który wywarłam na Bukowskiego. Wiedza ta wprawiła mnie w osłupienie.

Szczerze żałuję bólu, który mogłam sprawić Bukowskiemu swoją niewrażliwością i brakiem wyczucia, ale nie żałuję decyzji o odejściu. Mogłam pójść po linii najmniejszego oporu i zostać. Jestem pewna, że z radością opiekowałby się mną nadal, gdy ja podążałabym drogą ku samozagładzie.

Z pewnością bym się nie nudziła. Ale to nudy właśnie potrzebowałam. Choć go kochałam, to córkę kochałam bardziej. Potrzebowała stabilnej, przewidywalnej matki i takiego samego otoczenia, a nie toksycznego życia, które pędziłam z Bukowskim. Oboje posiadaliśmy zbyt wiele głębokich kompleksów i nierozwiązanych problemów z zaufaniem do innych. Jestem pewna, że z „Artura i Marilyn" zmienilibyśmy się w „Sida i Nancy", a potem czekałby nas tragiczny koniec. Jestem także przekonana, że nigdy nie zyskałabym osobistej satysfakcji i poczucia własnej wartości, które teraz posiadam. Zasługiwał na kogoś dojrzalszego i bardziej wyczulonego na jego potrzeby – i wedle wszelkich relacji, kogoś takiego zyskał w swojej żonie, Lindzie Lee.

Kochałam Charlesa Bukowskiego tak bardzo, jak bardzo potrafiłam kochać mężczyznę na tym etapie swego życia. Choć czasami byłam niedojrzała i bezmyślna, to zawsze wiedziałam, że stoję przed człowiekiem niezwykłym. Niektórzy nazywają go geniuszem, a ja się z tą opinią zgadzam. Był skomplikowany w niezwykły sposób, przepięknie ekscentryczny. Żył życiem pełnym rozpalonej namiętności, często motywowanym miłością i gniewem. Miał też niezwykły dar „osadzania słowa" w sposób przejrzysty i niewymuszony. Nie bojąc się obnażać duszy, pisał z pierwotną pasją na tematy, które wielu uznałoby za zbyt intymne lub zakazane, by się nimi zająć. Niezwykłym czyniło go to, jak umiał ukazać brudną stronę życia z humorem, godnością i ukrytą elegancją, a przy tym ujmując za serce miliony, w tym mnie samą.

Nasz romans potrwał niecałe dwa lata, ale zawsze będę sobie cenić to doświadczenie. Czasami balansując na granicy szaleństwa – kule, alkohol i polityka – tworzyliśmy wybuchową mieszankę. Ale mimo całego wariactwa i burzliwości naszego związku, dzieliliśmy też wiele czułych i wzruszających chwil.

Wpuścił mnie do swego ściśle strzeżonego, osobistego sanktuarium i powierzył rzadki dar wejrzenia, choć na moment, w swe wrażliwe serce i duszę. Nieliczni dostąpili tego przywileju. Teraz rozumiem, jak cennym było mieć okazję kochać i być kochaną przez Charlesa Bukowskiego. Zawsze będę za to wdzięczna.

© Joan Gannij

Może miał to gdzieś, ale mam nadzieję, że opuścił nasz świat, wiedząc, jak bardzo go kochałam i ceniłam. Widzę go teraz, jak siedzi na brązowo-musztardowym, prążkowanym tronie w swym królestwie niebieskim, otoczony przez adorujące go cherubiny, z piwem w jednym ręku i papierosem w drugiej, i świetnie się bawi, racząc bogów swymi szalenie wciągającymi opowieściami o pięknych, szalonych, upadłych aniołach, które zostawił za sobą.

SPECJALNE PODZIĘKOWANIA

Norman Mailer powiedział kiedyś: „Pisanie książek to najbliższe porodowi doświadczenie, jakie mężczyźni mogą przeżyć". Doświadczywszy obu tych rzeczy, mogę się jedynie w pełni zgodzić. Podobieństwa między nimi są niemal niepokojące.

Podobnie jak rodzicielstwo, napisanie tej książki było najbardziej monumentalnym wyzwaniem, jakiemu się dobrowolnie poddałam bez znieczulenia. Choć było dziełem miłości, czasami było frustrujące, bolesne emocjonalnie i pełne zwykłej, ciężkiej roboty. Wielu uważa, że pisanie jest występem całkowicie solowym; tak, wyłącznie ja jestem odpowiedzialna za produkt końcowy, z moim podpisem i literackim DNA, ale w trakcie jego powstawania pozyskałam pomoc mądrzejszych ode mnie, z których większość mam przywilej nazywać przyjaciółmi, i czułabym się obłudnie, zbierając całe uznanie.

Pisanie tego pamiętnika było jednym z najbardziej pouczających doświadczeń mego życia. Gdybym z góry wiedziała, jak niewiele wiem o angielskiej składni i procesie pisarskim, niniejsza książka nigdy by nie powstała. Na szczęście ignorancja jest błogosławieństwem, a poza tym miałam dostęp, pośredni bądź bezpośredni, do wielu sprawnych umysłów, które w wielkim stopniu przyczyniły się do powstania tego dziecka. A są to następujące osoby:

Specjalne podziękowania i wyrazy szczerego uczucia należą się mojej rodzinie, przyjaciołom i klientom, którzy zaufali mi tak osobiście, jak i profesjonalnie, swoimi pieniędzmi

i sekretami. Wasza niezachwiana lojalność i wsparcie pozwoliły mi wygospodarować dość wolnego czasu, by napisać niniejszą książkę. Kocham was wszystkich.

Istnieje pięcioro drogich (i cierpliwych) przyjaciół, których szczególnie prosiłam o pomoc (czy też ją wymuszałam) w sprawach literackich, gdy czułam, że „utknęłam". Choć jestem pewna, że woleliby nie być niepokojeni, litościwie znaleźli czas w swoich napiętych programach, by, gdy na to nalegałam, przekazać swoje surowe opinie i konstruktywną krytykę, co ogromnie mi pomogło. Są to: Dan Jordinelli, Patty Barr, Alice Hartwell, Angela i Barbara Cardinal. Dziękuję, przyjaciele.

Wiele uznania należy się kowalowi słów, Jeffowi Menellowi, redaktorowi o niezwykłych zdolnościach. Bez pomocy tego dżentelmena książka ta nigdy nie przeszłaby przez biurko segregatora poczty w wydawnictwie. Dziękuję za pańską obsesję na punkcie języka angielskiego.

Wielkie dzięki należą się filmowcowi Johnowi Dullaghanowi oraz pisarzowi Howardowi Sounesowi, którzy umieścili mnie w swych mistrzowskich projektach. Johnowi za jego genialny dokument *Born Into This*, a Howardowi za fascynującą i popartą niezwykle drobiazgowymi badaniami biografię *Charles Bukowski. W ramionach szalonego życia*; dwa wspaniale skonstruowane dzieła sztuki, oparte na życiu Charlesa Bukowskiego. Podczas wywiadów ze mną obaj podzielili się niesamowitymi osobistymi przemyśleniami odnośnie mojego związku z Bukiem, skłaniając mnie do ponownego otwarcia tego zamkniętego rozdziału mego życia, co stało się motywacją do napisania niniejszej książki.

Jestem wdzięczna Michaelowi Phillipsowi, twórcy Bukowski.net, wartościowego źródła wiedzy o Bukowskim. Bez tej witryny nigdy zapewne nie poznałabym Roniego Brauna,

założyciela niemieckiego Stowarzyszenia Bukowskiego. Mam u niego ogromny dług wdzięczności za przywrócenie mi dawno straconych tekstów listów i wierszy, które Buk napisał do mnie w czasie naszego związku (kopie znaleziono w ogromnej kolekcji pism Bukowskiego, będącej w posiadaniu Michaela Monforta). Dziękuję wam obu za codzienne unieśmiertelnianie jego głosu i prawdziwego ducha.

Niezmierna wdzięczność należy się mej przyjaciółce, mentorce i „wygładzaczce", Melanie Viline. Nie napisałabym tej książki bez wsparcia twych niezwykłych talentów, świętej cierpliwości i przenikliwych przemyśleń. W ciągu roku, który zajęło pisanie niniejszej książki, nauczyłaś mnie więcej o pisarstwie i odwadze, niż wszyscy akademicy przed tobą. Byłaś ze mną na każdym kroku – dając wszystko, od profesjonalnych i duchowych wskazówek, przez podtrzymywanie na duchu, aż po dyplomatycznie podane rady literackie. Pomogłaś nadać moim słowom blask oraz jasność; twój udział w tworzeniu tej książki był nieoceniony; nigdy wystarczająco ci za to nie podziękuję.

Osobne słowo „dziękuję" należy się fotograf Joan Gannij za nowo odkryte zdjęcie Bukowskiego, widoczne na ostatniej stronie.

Byłoby okropnym niedopatrzeniem z mojej strony nie podziękować czołowemu niemieckiemu filmowcowi i człowiekowi renesansu, Thomasowi Schmittowi, za hojność, w której pozwolił mi wykorzystać zdjęcia z pierwszego z trzech wnikliwych dokumentów o Bukowskim, *Charles Bukowski – Wschodnie Hollywood 1976*. Twój wkład pomógł ożywić moją opowieść, jak również cenne, osobiste wspomnienia, za co będę ci wdzięczna na wieki (mam nadzieję).

I w końcu głębokie wyrazy uczucia i wdzięczności należą się Alowi i Judy Berlinskim z Sun Dog Press. Niczym legendarny

duet wydawniczy z Black Sparrow Press, John i Barbara Martinowie, wiele mi ofiarowaliście, okazaliście ciepłe uczucia i wspaniałe poczucie humoru, dzięki czemu moje pierwsze doświadczenie wydawnicze było prawdziwą przyjemnością. Profesjonalne zaangażowanie, które oddaliście tej książce, oraz osobista dobroć, którą mi okazaliście, znaczy dla mnie więcej, niż sądzicie. Dziękuję, że zaryzykowaliście dla mnie.

PAMELA MILLER WOOD DZISIAJ

Pochodząca z Kalifornii Pamela Miller Wood mieszkała w okolicy Los Angeles przez większość życia. Przez ponad 30 lat robiła znakomitą karierę w kalifornijskim biznesie nieruchomości, zbierając po drodze wiele nagród za swoje wspaniałe osiągnięcia, w tym „Najlepszy Producent" hrabstwa Los Angeles przez dziesięć kolejnych lat.

Niniejsza książka to pierwsze pełnowymiarowe dzieło pani Wood – i prawdziwie mistrzowska robota!

SPIS TREŚCI

JEDEN
DWA
TRZY
CZTERY
PIĘĆ
SZEŚĆ
SIEDEM
OSIEM
DZIEWIĘĆ
DZIESIĘĆ
JEDENAŚCIE
DWANAŚCIE
TRZYNAŚCIE
CZTERNAŚCIE
PIĘTNAŚCIE
SZESNAŚCIE
SIEDEMNAŚCIE
OSIEMNAŚCIE
DZIEWIĘTNAŚCIE
DWADZIEŚCIA
DWADZIEŚCIA JEDEN
DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY
DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM
SPECJALNE PODZIĘKOWANIA
PAMELA MILLER WOOD DZISIAJ